



HELENA SEKULA

ORCHIDEE Z ULICY SZKARŁATNEJ

CZYTELNIK

Helena Sekuła

ORCHIDEE Z ULICY SZKARŁATNEJ



1.
DEBIUT ORANGUTANA

Wczesny jesienny zmierzch zapadł nad Warszawą. Przed chwilą przeszedł gwałtowny, zimny deszcz. Chodniki i jezdnie lśniły wilgocią, w perspektywie Alej Jerozolimskich odbijały się na mokrym asfalcie kolorowe neony reklam i czerwone światła samochodów.

W sznurze pojazdów sunął coraz wolniej beżowy Volvo. Arvid Van der Meneer znowu spojrzął na plan Warszawy. Zorientował się, że zmylił drogę. Na widok umundurowanego funkcjonariusza milicji zatrzymał wóz przy krawężniku. Używając słów francuskich, niemieckich, holenderskich i niemiłosiernie przekręconych polskich usiłował dowiedzieć się, gdzie jest ulica Szkarłatna.

Ponieważ dość znośnie wymawiał trudną dla cudzoziemca nazwę, podsuwając przy tym milicjantowi pod oczy wymięty plan Warszawy, tamten zrozumiał i czerwonym długopisem zaznaczył na mapie trasę, którą można dojechać do poszukiwanego miejsca.

Beżowy Volvo pomknął teraz szybciej ku Ślimakowi prowadzącemu na Solec. Gdy wjechał w Czerniakowską, zaczął znów padać rześisty deszcz. Samochód skręcił w Szkarłatną - ulewa bębniła po masce i zalewała szyby. Nieliczne gazowe latarnie za ruchomą ścianą wody nie rozświetlały mroku. Van der Meneer włączył długie światła. Jechał dość szybko, rozpryskując kałuże.

Mijając ogródki działkowe, ujrzał nagle - zaledwie o kilka metrów od zderzaka wozu - rozciągniętą na bruku jezdni nieruchomą sylwetkę.

Człowiek! - przemknęło mu przez myśl.

Z całej siły nacisnął na pedał hamulca. Samochód zarzucił

na śliskim błocie, szarpnięty w bok, wpadł w poślizg i zaczął toczyć się wbrew woli kierowcy. Van der Meneer błyskawicznie zwolnił hamulec, dodał gazu i stopując szybkość sprzęgłem wyprowadził wóz z groźnej sytuacji. Musiał tylko jeszcze wykonać ostry skręt kierownicą, bo odległość od leżącej postaci była już niebezpiecznie bliska, i znów posłuszny jego dłoniom Volvo zatrzymał się o centymetry od ludzkiej sylwetki.

Cudzoziemiec wyskoczył z wozu i pochylił się nad leżącym człowiekiem. Była to młoda dziewczyna. Zastygła w poprzek ulicy na kształt kamiennej postaci, jakie można jeszcze zobaczyć na starych grobowcach. Tylko jej ręce leżały rozrzucone szeroko, jakby chciały objąć strugi płynące z czarnego nieba. Przemoczona spódniczka oblepiała szczupłe uda. Jeden znoszony pantofel spadł z nogi i leżał opodal. Złote, zmierzwiłone włosy przykrywały białe policzki; reszta tego bogactwa nurzała się w kałuży. Dziewczyna wyglądała jak wyrzucona na brzeg topielica.

Van der Meneer przyklęknął i chwycił jej dłoń; palce były chłodne, ale wyraźnie wyczuł bijące tętno. Żyje - ucieszył się.

W tym momencie poczuł na karku lodowaty ucisk i usłyszał schrypnięty męski głos. Nie zrozumiał wypowiedzianych słów, lecz brzmiały one nieprzyjaźnie i rozkazująco.

Dwie pary rąk chwyciły go za ramiona i odsunęły od leżącej. Dwie sylwetki, które wyłoniły się z mroku i deszczu, przywarły do jego boków.

- O co chodzi? - zapytał odruchowo, kalecząc język, mimo że sytuacja była zupełnie jednoznaczna.

W odpowiedzi został gwałtownie szarpnięty, a milcząca eskorta pociągnęła go bliżej parkanu ogródków działkowych. Oplatana pnąciami siatka sprawiała, że w tym miejscu ciemność była już zupełna.

- Ruszajcie się! - rozkazał nagle miły w brzmieniu, kobiecy głos i... topielica ożyła. Energicznie podniosła się z kałuży. Sięgnęła po pantofel, przezornie wytrząsnęła z niego wodę i wsunęła stopę. Zebrała w dłonie splątaną gęstwę włosów i dokładnie je wyżeła.

Van der Meneer widział ją dość dobrze, poruszała się bowiem w smudze reflektorów samochodu; wpatrywał się w dziewczynę z gorzkim osłupieniem. Nawet w fatalnej sytuacji, w jakiej się znalazł, wprawiał go w mimowolny podziw jej spokój i zachowanie, nie zdradzające cienia zdenerwowania czy napięcia.

- Dostanę kataru - oznajmiła tłumiąc kichnięcie. - No, co wy tam robicie? - podniosła nieco głos. - Przynajmniej zgaście tę iluminację! Za widno jest.

Van der Meneera dobiegło z ciemności krótkie zdanie. To trzeci, niewidoczny dla niego towarzysz dziewczyny coś jej odpowiedział.

- Dawaj - zażądała topielica - i chłodny ucisk stali na jego karku zelżał na moment. Zaraz ten sam chłód uczył na swej krtani.

- Bądź grzeczny, króliczku - rzekła łagodnie - a włos ci z głowy nie spadnie. Jeżeli nie będziesz mnie słuchał, to... - nacisnęła mu szyję owym przedmiotem i roześmiała się cicho.

Van der Meneer nie był tchórzem, uchodził nawet za odważnego człowieka, ale teraz wstrząsnął nim dreszcz, i to nie tylko w wyniku doszczętnego przemoczenia.

- Trzęsiesz się? - zaszcebiotała. - Rzeczywiście, trochę mokro, dostaniesz kataru, podobnie jak ja - znowu stłumiła kichnięcie.

- A jeżeli te matyły! - podniosła głos - będą dalej tak się ślimaczyć, to może nawet i zapalenia płuc... Prędkiej - rzuciła niecierpliwie do swych niewidocznych towarzyszy - bo jak nadciągną gliny...

- Eee, za mokro... - odpowiedział z ciemności flegmatyczny, lekko sepleniący głos.

Dopiero w tym momencie Van der Meneer zdał sobie sprawę, że otacza go zupełna ciemność. Zgasili reflektory samochodu - pomyślał.

Dwóch opryszków płądowało teraz wewnątrz jego wozu. Trzeci podszedł do cudzoziemca i Van der Meneer poczuł ruchliwe dłonie, które opróżniały zawartość jego kieszeni.

- Wypatroszony - mruknął po chwili niewidoczny bandyta.

Cudzoziemiec zrozumiał i zapamiętał to szeleszczące słowo, ponieważ w tym momencie nabrał przekonania, że poza oblepiającym jego ciało mokrym odzieniem już nic przy sobie nie posiada. To słowo zresztą oddało mu później nieocenioną przysługę.

Od strony samochodu rozległ się przeraźliwy gwizd, zachlupo- tała woda pod ciężkimi krokami, towarzyszył temu stłumiony brzęk blachy. Następnie zachybotła siatka ogrodzenia, coś runęło na drugą stronę parkanu, plasnęło o rozmiękłą ziemię, znowu powtórzył się ten odgłos i znowu. Wkrótce ucichł szelest oddalających się nierównych kroków, człapiących po błocie.

Z szyi Van der Meneera ustąpił chłodny ucisk metalu. Niespodziewane, brutalne pchnięcie pozbawiło go równowagi; potoczył się z niewielkiej, śliskiej pochyłości, która oddzielała parkan od drogi, i uderzył twarzą o kamienie ulicy. Poczul piekący ból nad brwią. Poderwał się wreszcie na nogi, coś ciepłego, lepkiego ściekało mu na oko.

Jak długo to trwało? - Van der Meneer stracił poczucie czasu. Było mu podle, roznosiła go złość, poza tym był bardzo zmęczony.

W ciągu tego dnia pokonał odległość z Berlina do Warszawy.

Wszedł do wnętrza wozu. Wyglądało na to, że samochód nie został uszkodzony, ale kluczyków w stacyjce nie było. Biegąc do leżącej dziewczyny nie zabrał ich ze sobą.

Opuścił wóz i poszedł w górę ulicy - po drodze nie spotkał nikogo. Wreszcie dotarł do jakiegoś domu - załomotał do pierwszych drzwi. Przeraził mieszkańców okrwawioną twarzą i niezrozumiałym bełkotem.

- Police! - wykrzyknął rozpaczliwie.

Ludzie pojęli. Stara kobieta obmyła mu twarz i opatrzyła skaleczenia. Usiłowała także, bezskutecznie zresztą, oczyścić mokre i utyłane błotem ubranie. Wreszcie zrezygnowała i podała mu drelichowy kombinezon; jej mąż pobiegł do telefonu.

- Wypatroszony! - wyskandował dramatycznie Van der

Meneer, gdy znalazł się w komendzie przed dyżurnym oficerem milicji. - Nederland, Holandia... - dodał na jednym oddechu i przedstawił się.

W tym momencie do pokoju oficera dyżurnego zajrzał porucznik Cieślik, kierownik wydziału stołecznej służby X.

- Daj rozkaz, aby mnie odwieźli do domu. Za mokro na spaceru.

- Dobrze, ale przedtem pomóż mi - poprosił tamten. - Ty znasz niemiecki - dodał wskazując Holendra.

- Jestem stworzony do wyższych celów - pouczył go Cieślik.

- Co się stało temu łapserdakowi? - krytycznie zlustrował cudzoziemca. - Wyrósł ze spencerka - zauważył. Rzeczywiście, rękawy drelichu sięgały Van der Meneerowi tuż za łokcie, a nogawki kończyły się w połowie włochatych łydek.

Cieślik zaczął z nim rozmawiać. Tamten trochę beładnie, ale szczegółowo opowiedział przebieg wypadku.

- Bulwy i nasiona storczyków - Holender z ciężkim westchnieniem zaczął wyliczanie strat. - Bardzo rzadkie okazy - tłumaczył gorączkowo, widząc ironiczny grymas na twarzy porucznika.

- Biedny maniak - mruknął Cieślik do kolegi. - Podbito mu oko z powodu storczyków.

- Co to takiego? - chciał wiedzieć oficer.

- Takie kwiatki, analfabeto botaniczny - wyjął wargi Cieślik.

Poza nasionami zrabowana została walizka z ubraniami, neseser z osobistymi drobiazgami. A przede wszystkim kamera filmowa: Bauer, o własnym napędzie elektrycznym, z obiektywem o zmiennej ogniskowej, kupiona w Bremie za trzysta dolarów, i... kakao. Znakomite, najlepsze na świecie holenderskie kakao, znane na wszystkich kontynentach ze swej fenomenalnej jakości, firmy: Veneer - jak zapewnił Holender.

- Meneer, Veneer - przedrzeźniał Cieślik. - Ile było tego kakao, w jakim opakowaniu?

- Osiemdziesiąt kilogramów - westchnął boleśnie cudzozie-

miec. - A... - przypomniał sobie - jeszcze złoty zegarek i wszystkie pieniądze...

- Osiemdziesiąt kilogramów?! - Cieślik sądził, że się przesłyszał. - Czy jest pan przedstawicielem handlowym firmy Veneer? - indagował oszołomiony tą ilością. - A w czym było przewożone?

- No, oczywiście, w metalowych, szczelnie zamkniętych pudełkach, wagi jeden kilogram każde, z etykietkami firmowymi. Tak doskonale kakao musi być odpowiednio pakowane. Inaczej straci wartość i aromat.

- Ratunku! ale wpadłem. Przecież to encyklopedia storczyko-wo-kakaowa - jęknął Cieślik po polsku i zwrócił się do cudzoziemca: - W jakim celu wiozł pan do Warszawy aż tyle kakao? Chciał pan to sprzedać, wymienić na nasiona, czy jak?

- Sprzedać?! - zgorszył się Holender. - To było pomyślane jako prezent - powiedział z urazą. - Przyjechałem do polskiego kolegi, wybitnego specjalisty od hodowania storczyków.

- To już do samej śmierci chciał go pan zaopatrzyć w kakao. On tak je lubi, z mleczkiem, co? - powątpiewał Cieślik.

- On ma znajomych i kolegów, innych plantatorów - cierpliwie wyjaśniał Van der Meneer. - Więc, żeby wszystkich mógł obdzielić takimi samymi prezentami... - wreszcie zdenerwowała go sceptyczna mina porucznika. - Ja jestem plantatorem kwiatów, specjalistą, rozumie pan? - powiedział dobitnie - a nie akwizytorem kakao. Pan mnie podejrzewa, że ja przemyciłem na handel...

- No nie - uspokoił go Cieślik. - Osiemdziesiąt kilo trudno przewieźć nie zauważone.

- Jestem plantatorem-eksporterem - podjął Holender. - Moje kwiaty są znane na kontynencie... W tym roku na wystawie w Amsterdamie otrzymałem złoty medal... to już dziewiąty złoty medal...

- Co on mówi? - zainteresował się oficer.

- Że jest najlepszym badylarzem w Holandii i okolicach.

- Trzeba go ulokować na noc w hotelu - stwierdził oficer.

Cieślik powtórzył propozycję Holendrowi. Tamten pokręcił głową i podziękował za troskę o jego nocleg. Wyjaśnił, że pojedzie do swego polskiego kolegi, do którego podjął tę daleką podróż.

- Mam duże szczęście, że ci bandyci zostawili mi dokumenty - westchnął na koniec.

Cieślik, według wskazówek cudzoziemca, odtwarzał portret pamięciowy dziewczyny, którą tamten spotkał na drodze. Portrety takie składa się na zasadzie łamigłówki. Na stole leżały wyrysowane na oddzielnych kawałkach przezrystej kalki technicznej fragmenty twarzy ludzkiej. Osobno: brwi, usta, oczy, owal twarzy.

- Włosy bardzo gęste, jasne włosy... może peruka? - skorygował Holender przyglądając się bacznie czynnościom Cieślika.

Na białym tle kalki czarne linie tuszu utworzyły rysunek trójkątnej, drobnej twarzy, z wielką grzywą włosów. Co do innych szczegółów Van der Meneer nie miał pewności, czy je właściwie zapamiętał.

Tymczasem wróciła ekipa dochodzeniowa, wysłana poprzednio przez dyżurnego na ulicę Szkarłatną. Ludzie byli zabłoceni i przemarznięci. Ociekali wodą. Wraz z nimi wszedł również uszargany i mokry pies. Przywarował do nóg swego przewodnika, ułożywszy pysk na wyciągniętych łapach.

- Ani śladu - zameldował młody podporucznik. - As nie chwycił tropu...

Nie trzeba było tego wyjaśnienia. Wystarczyło spojrzeć na imiennika bohatera czytane z elementarza, aby przekonać się, że tym razem As nie spisał się. Leżał apatyczny, osowiały i wyraźnie zawstydzony.

- Nie można mieć do niego pretensji - stanął w obronie swego psa przewodnik. - Ślad mógł iść tylko od wozu. Nie dosyć, że samochód śmierdzi benzyną, to jeszcze błoto po kolana.

- A ogródki? - nie ustępował oficer. - Przecież oni uciekli przez ogródki, wyraźnie wam to powiedziałem.

- Spójrz, jak wyglądamy - parsknął porucznik. - To przez te

cholerne ogródki. Złaziliśmy je wzdłuż i wszerz.

- Znaleźliśmy kluczyki od wozu. To zasługa Asa - nie omieszkął ratować honoru psa przewodnik i rzucił na biurko lśniący przedmiot. - Znaleźliśmy je nad odnogą jeziora Czerniakowskiego. Prawdopodobnie sprawcy mieli zamiar je utopić. Ugrzęzły w błocie nad brzegiem.

Van der Meneer, który śledził z napięciem twarzy przybyłych i ich gesty, ożywił się na widok kluczyków do swego samochodu. Okazało się, że ekipa dochodzeniowa przyprowadziła wóz na dziedziniec komendy.

Cieślik opowiedział pokrótce Holendrowi o wynikach poszukiwań, poinformował go też, że następnego dnia powinien zgłosić się w komendzie dzielnicowej. Na kartce wykaligrafował adres i podał go cudzoziemcowi. Zanotował również adres warszawskiego znajomego Van der Meneera i wpiął kartkę w akta rozpoczętego dochodzenia.

- Trzeba pana Meneera odholować do znajomego - zdecydował oficer dyżurny.

Holender, pilotowany przez milicyjny radiowóz, tym razem bez przeszkód dotarł do celu swej podróży.

Za wysoką siatką, w głębi ciemnego ogrodu, stał biały dom. Niewyraźnie majaczyły plamy oświetlonych okien. Van der Meneer nacisnął dzwonek umieszczony na furtce. Po chwili z tamtej strony ukazała się postać otulona w długą, nieprzemakalną pelerynę. Rozwarła się brama i beżowy Volvo wtoczył się na asfaltowy podjazd.

- Doktor Adam Brożek? - upewnił się Holender. Tamten skinął głową i gestem zaprosił zmarzniętego gościa do mieszkania.

Wprost z tarasu weszli do ciepłego hallu. Stały w nim nieliczne stylowe meble, podłogę zaścielał puszysty, pastelowy w barwie dywan.

Van der Meneer zatrzymał się przy progu na lśniącym parkiecie, bowiem przypomniał sobie, że ma nieznośnie zabłocone obuwie. Niezdecydowany spojrzął na swego gospodarza.

Doktor Brożek również przyjrzał się swemu gościowi i

dopiero teraz spostrzegł jego dziwaczny strój.

- Zaraz panu wszystko wyjaśnię - szybko po niemiecku powiedział Holender. - Spotkał mnie bardzo przykry wypadek...

- Później - uprzedził dalsze wynurzenia doktor; w jego tonie zabrzmiała rezerwa. - Na pewno chce się pan odświeżyć - nie czekając na odpowiedź Holendra, skierował go do bocznych drzwi i przekazał pod opiekę kobiety w ciemnej, luźnej sukni, o nijakim wyglądzie.

Gdy po kilku minutach Van der Meneer opuścił łazienkę, przyodziany w płaszcz kąpielowy pana domu, ta sama niewiasta wskazała mu powrotną drogę do stylowego hallu. Przy stoliku nakrytym już do kolacji oczekiwał gospodarz.

Holender zlustrował pokój i zobaczył kunsztownie intarsjowane jasnym drzewem biureczko, na którym stały rozstawione duże, proste figury turniejowego kompletu szachów. Podeszedł do antycznego biureczka, ujął w dłoń gońca białych.

- Zagramy? - poprosił tonem namiętnego gracza. - Pan pozwoli, że zjemy później - dodał śpiesznie, jak gdyby chciał uprzedzić sprzeciw gospodarza.

Doktor Brożek skinął głową na znak aprobaty i zasiadł po przeciwnej stronie szachownicy. Grał czarnymi. Białe gościnnie pozostawił swemu ekscentrycznemu gościowi, któremu pragnienie rozegrania partii odsunęło na drugi plan nie tylko kolację, ale i cel dalekiej podróży oraz niedawne kłopoty, o których jeszcze nie zdążył opowiedzieć.

Ruchem b 2 - gość rozpoczął grę; w odpowiedzi czarny pion przesunął się na pole b 4.

W skupieniu śledzili swoje posunięcia na szachownicy. Partia trwała nader krótko - każdy z graczy wykonał tylko dziewięć ruchów.

- Remis! - przerwał milczenie Brożek. - Ciekawa obrona...

- A propos obrony - westchnął gość. - Nie obroniłem się przed napadem rabunkowym. - Po czym dokładnie, z najdrobniejszymi szczegółami opowiedział wszystko, co go spotkało tego wieczoru.

- Dopiero teraz pan mi to mówi? - z wyrzutem zawołał Bro-

żek.

- Dotychczas nie dał mi pan okazji, żeby to opowiedzieć - mruknął Holender. - Mam zwyczaj szanować zwyczaje, szczególnie w nie znanym mi domu.

- Dlaczego pan zawiadomił milicję bez porozumienia ze mną?

- Doktor był bardzo niezadowolony.

- Aby były większe szanse chwycenia złodziei. Dłuższa zwłoka zmniejsza prawdopodobieństwo odzyskania zrabowanych rzeczy. Chyba to logiczne? - wzruszył ramionami Holender.

- Na jakim świecie pan żyje?! - zirytował się Brożek.

- Nad ujściem Skaldy - uśmiechnął się gość. - Zrabowano mi storczyki, kamerę, zegarek... - wyliznął odginając palce - i... osiemdziesiąt kilogramów kakao. T r z e b a to odzyskać...

- Koniecznie przy pomocy milicji?

- Uważam, że ściganie bandytów leży w kompetencjach policji - z przekonaniem oświadczył gość. Zna pan lepszy sposób? - z zaciekawieniem przyjrzał się gospodarzowi.

- Znam - stwierdził sucho doktor.

- To może tych rabusiów też pan zna? - Holender nie spuszczał wzroku z gospodarza.

- Bardzo prawdopodobne - przyznał doktor.

- Mam rozumieć - Van der Meneer ostrożnie dobierał słowa - że to pana znajomi zgotowali mi takie powitanie w Warszawie?

- Panie Van der Meneer, mówi pan niedorzeczności, za które będzie panu wstyd. Nie znając warszawskiej specyfiki, zrobił pan już drugi błąd w ocenie sytuacji. Po pierwsze: ja nie mam, nazwijmy to, oddanych sobie milicjantów, którzy specjalnie przejmą się stratą moją lub mego zagranicznego gościa. Po drugie: demonizuje pan moją rolę... Przecież to pomysł jak z kiepskiego filmu. Ja! współuczestniczący w ograbieniu pana?

- Nie powiedziałem tego dosłownie - bronił się Holender. - Tylko że brak im dyscypliny... no, że działają na własną rękę... - tłumaczył coraz bardziej zakłopotany.

Doktor wybuchnął serdecznym śmiechem - Holender nie podzielał jego wesołości.

- Ja nie mam na swoich usługach ani na swoje rozkazy żadnych ICH - podjął Brożek. - Ludzie NASZEJ SPECJALNOŚCI pracują nieco inaczej nad Wisłą niż nad Skaldą. Musi pan to zrozumieć, w przeciwnym wypadku nie uniknie pan groźnych pomyłek. Moich interesów nie muszą strzec żadni ONI. Wystarczy ogrodzenie z siatki i czujny pies. Spróbuję odzyskać to, co panu zrabowano, bez pomocy milicji.

- Układy? - zaczynał rozumieć Holender. - To może bardzo drogo kosztować - westchnął zaniepokojony.

- Mam nadzieję, że wcale nie tak dużo. Widzi pan, podejrzewam o ten numer jedną nieznośną dziewczynkę... to amatorka...

- To wyrafinowany gangster w krótkiej spódnicy! - z nienawiścią syknął Van der Meneer.

- Jeszcze jedno. Jeżeli podejrzewania okażą się słuszne, to jutro milicja również zajmie się tą dziewczyną. Oni ją znają, wprawdzie nie aż z takich wyczynów, ale wystarczająco, aby się nią zainteresować w związku z tą sprawą. Jeżeli dojdzie do jakiegokolwiek konfrontacji, to pan nikogo nie rozpozna, Van der Meneer. Nikogo! - podkreślił.

- Ja, ja! nikogo - ze zrozumieniem przyrzekł Holender.

Zmęczony cudzoziemiec położył się spać, Brożek natomiast wyszedł z domu i po chwili kroczył dobrze znaną sobie drogą na przelaj, przez puste, błotniste pole. Jego pies, wielki dog-arlekin, sunął przy nim bezgłośnie jak cień.

Po kwadransie ostrego marszu doszli do majaczącej w mroku rudery. Był to kawałek murowanego baraku - bo reszta była rumowiskiem - nakrytego byle jak skleconym dachem z papy.

Brożek zostawił przed domem psa, który przywarował pod okapem, i pchnął koślawe drzwi. Znalazł się w ciasnej sionce, coś z brzękiem potoczyło się po podłodze. Namacał klamkę, wszedł do obszernej izby, oświetlonej lampą naftową i smugami czerwonego blasku z żelaznego piecyka, w którym buzował ogień. Przy progu klęczała dziewczyna, kończyła mycie podłogi.

- Proszę usiąść, doktorze - gestem zaczerwienionej ręki wskazała tapczan. Energicznie podciągnęła za obszerne na nią, męskie spodnie. - Tylko wyleję brudy! - chwyciła wiadro i wybiegła na dwór.

Brożek jeszcze nie bardzo wiedział, jak zacząć rozmowę, gdy jego wzrok padł na ścianę obok piecyka. Na haku suszyła się kurtka i jeszcze jakieś łachy, a na samym wierzchu wisiało coś, co przypominało jasne, obfite blond loki.

Doktor był wstrząśnięty tym odkryciem. Mimo swych podejrzeń miał dotychczas niejakie wątpliwości co do bezpośredniego udziału dziewczyny w, napadzie na Holendra. Te medytacje przerwał jej powrót.

- Znowu upiła się do nieprzytomności - poskarżyła się ze złością dziewczyna, wskazując dłonią w stronę kotary przedzielającej pokój.

- Za co się upiła? - zapytał odruchowo; znał stosunki panujące w tej rodzinie, niejednokrotnie też wysłuchiwał żalów dziewczyny.

- W poniedziałek nazbierałam butelek. Wie pan, po niedzieli to na ogródkach butelek pełno. Wyszłam tylko na chwilę do sklepu, a ona włamała się do komórki i wszystkie co do jednej wyniosła... Niech tylko wytrzeźwieje stara zaraza, to Marian jej tak przyłoży, że znowu przez jaki miesiąc będzie spokój... Żeby własne dzieci okradać? - krzyknęła oburzona.

- Gdzie jest Marian?

- Pojechał do kumpli na Pelcowiznę. Dzisiaj go nie będzie. Szmat drogi, po co ma moknąć na tej cholernej plusze. Ale leje, co? Psa szkoda wygnąć na taką pogodę. Niech pan zawoła Arlekiną, żal go... Nic nie szkodzi, że zabłoci podłogę. Zetrę po nim - dodała wielkodusznie.

- Dlaczego nie przysłiszcie z Marianem do roboty przy inspektach? - zapytał ostro.

- W taką pluchę to kości bolą - ziewnęła ostentacyjnie. - Kilka godzin przy kompoście widłami machać, to pan wie, jaka to orka? A jeszcze człowiek przemięknie na wylot i skostnieje przy tym. Zdrowia szkoda... - pozezowała na

Brożka.

- Wolicie zbierać butelki?

- Eee, w taki deszcz to też się nie zbiera - znów ten zmęczony, gorzki ton. - Ale, teraz to sobie odpoczniemy, doktorze! - zapewniła go nagle. Głos uległ natychmiastowej zmianie, zabrzmiał jasno, radośnie.

- Kto odpocznie?

- Ja z Mańkiem. Pożyjemy jak te paniska! - pobiegła spojrzeniem za jego wzrokiem i poderwała się do łańców schnących przy piecyku. Ostrożnie zdjęła z wieszaka jasnozłotą perukę. Strzepnęła obfite pasma lśniących włosów. Pieściwie rozczesała je palcami. - W dechę, nie? - zapytała z dumą, biorąc zainteresowanie Brożka tym przedmiotem za zachwyty.

- Owszem, niczego - powściągliwie pochwalił Brożek. - Skąd to masz?

- Kupiłam na bazarze. Cztery stówy jak jeden grosz wyłożyłam. Ale piękna, no nie? I bardzo praktyczna - zachwalała. - Jest ciepła i elegancka. Teraz to bardzo modne, wie pan?

Odgarnęła z czoła czarne, krótkie włosy i energicznie nadziała na głowę połyskujące jak złoty hełm loki z nylonowych włókien. Okręciła się na pięcie, niecierpliwie podciągnęła opadające spodnie. Wykonała kilka łabędzich ruchów głową, demonstrując bogactwo sztucznych włosów.

- A jakie są mięciutkie, niech pan dotknie - zachęcała. Nachyliła się, aby mógł to sprawdzić.

- Magda... - Brożek wstał. - Była już po ciebie milicja? - zapytał sucho.

Spojrzała na niego zaskoczona. Nie zdobyła się na odpowiedź.

- Zatkano cię, co? - pokiwał głową doktor. - To ciesz się, że jeszcze nie była, ale lada moment może być. Wiesz, co ci poradzę?

Dawaj to - ściągnął jej z głowy perukę i wtoczył do kieszeni.

Zamarła, ale nie zrobiła żadnego ruchu, aby ją odebrać.

- Ubierz się i natychmiast chodź ze mną.

- A dlaczego ma być milicja? - odzyskała mowę, dobrze

udawała zdziwienie. Mimo to zaczęła gorączkowo przebierać w stercie ubrań na wieszaku. - Wilgotne, cholera!

- Matka dawno śpi? - chciał wiedzieć doktor.

- Mówiłam, że rano urzęnęła się w trupa, że też się taka cholera nie zapije na śmierć, i od tej pory śpi, o bożym świecie nie wie - odparła z rozdrażnieniem. - Sto osiemdziesiąt butelek przechląła, niewąska norma, no nie? Niech się pan odwróci, będę zakładała spódnicę - oznajmiła.

Wyszli. W milczeniu przebyli drogę do willi Brożka. Domownicy już spali.

- Marian pojechał ukryć łup? - stwierdził raczej niż zapytał doktor, gdy znaleźli się w jego pokoju.

- Nie wiem, o czym pan mówi? - popatrzyła na niego spoode łba.

- Słuchaj, smarkata - powiedział bez złości - zostało bardzo mało czasu. Wolisz rozmawiać z dzielnicowym? Mogę ci to natychmiast umożliwić.

Zaczęła płakać i rozcierać kulakiem łzy. Zerknęła przy tym na Brożka, sprawdzając wrażenie.

- Przestań się mazać. Nie rób przedstawienia. Za dobrze cię znam, aby dać się nabrać. Jeżeli masz zamiar twierdzić, że nic nie wiesz, to po co tutaj przyszedłeś?

- Bo jestem biedny człowiek - chlipnęła - a pan jest bogaty i znany w okolicy, to pan może i pomóc, i skrzywdzić - wyłożyła swoją życiową filozofię.

- Napadliście na mego przyjaciela, który przyjechał z Holandii - zawiadomił dziewczynę.

- O rany! - ze szczerego zdumienia zaokrągliły się jej oczy. - Panie doktorze, myśmy nie wiedzieli, niech mnie wesz rozszarpie! - uderzyła się w pierś kulakiem.

- W to wierzę - skinął głową. - Oprócz ciebie i Mariana kto jeszcze był, znam ich?

- Nie. Oni nie z Czerniakowa. Kolesie, bracia-bliźniaki z Pel-cowizny.

- Piękny zawód sobie wybrałaś. Bardziej popłatny niż butelki i drobne kradzieże...

- U pana nie kradnę i pan o tym wie - powiedziała

wymijająco. - Inaczej to pan by mnie do swego ogrodu nigdy nie wpuścił.

- Który to już napad?

- Pierwszy raz. I to nie napad. To teraz tak paskudnie wygląda. Tylko dla draki założyłam się z chłopakami, że facet zatrzyma się, żeby mnie ratować.

- I dla draki został doszczętnie obrabowany?

- Tak to jakoś później wyszło. Chłopaki brali... - mruknęła nie patrząc mu w oczy. - Nawet mi trochę było łyso...

- Wzruszające - zakpił. - Aha, z tego rabunku macie sobie pożyć jak te paniska? - użył jej niedawnego zwrotu.

- Oddamy - oświadczyła niepewnie.

- Czym terroryzowaliście?

- Kluczem - parsknęła śmiechem na to wspomnienie. - Zwykłym kluczem od chaty. A trząśł się jak zajęcza kita!

- Gdzie Marian zawiózł łup?

- Oni trzej powieźli majdan do Kazka i Zenka na Pelcowiznę - wymieniła dokładny adres.

- Kto wie, czy nie trafili już do jakiegoś komisariatu. Sądzę jednak, że mają szczęście łobuzy, bo gdyby ich zatrzymano, to u was byłaby już milicja. Ile oni mają lat?

- W wieku Mańka - odparła ponuro.

- Dawno masz perukę?

- Jakiś tydzień.

- Kto ją widział i komu się chwaliłaś?

- Chłopaki i matka... raz byłam w niej w sklepie.

- Zaraz ją spalę - zawiadomił. - Nigdy nikomu nie przyznasz się, że w ogóle ją miałaś.

- Spalić! Co pan, taką piękną rzecz, taką drogą - zaprotestowała. - Kupiłam ją za uczciwe pieniądze.

- Jesteś skończona idiotka. Gdyby milicja przyszła przede mną, już byś siedziała. Ten cudzoziemiec złożył zameldowanie. Podał w rysopisie długie, jasne włosy, nie wykluczył peruki. A ty ją trzymałaś w najbardziej widocznym miejscu. Ech ty, Mata Hari z Czerniakowa. Wymyśliłaś napad, ale co dalej, to już zabrakło ci pomysłu... Co masz w domu z kradzionych rzeczy?

Zanurzyła rękę w kieszeni kurtki i położyła przed doktorem zegarek ze złotą bransoletką - własność Holendra.

- W domu nic więcej nie ma, już taka głupia nie jestem - rzekła.

- To by wystarczyło. Gdzie pieniądze, walizki? One są bardzo charakterystyczne.

- Pieniądze ma Maniek. Walizki w jeziorze Czerniakowskim. Za dużo tego było na jeden raz. Właśnie te walizki takie znaczne, to się je zatopiło. Pomyślałam sobie, że są w nich lachy, to potem się wyciągnie i wysuszy.

- Wszystkie pudełka z kakao zabrali na Pelcowiznę?

- Nie. Za ciężko było. Jeden worek z puszkami też w jeziorze. Szczelne są i w nylonowym worku, to nie zamoknie.

- Słuchaj mnie uważnie - podjął Brożek. - Zaraz pojedziesz na Pelcowiznę, powtórzysz chłopakom naszą rozmowę i powiesz, że jutro wieczorem przyjadę po kakao. Nie ma prawa brakować ani jednego pudełka. Rozumiesz? Wszystkich pudełek było osiemdziesiąt...

- Nie liczyliśmy...

- Powtarzam, osiemdziesiąt! Jeżeli zabraknie chociaż jednego, oddam sprawę milicji.

- Nic nie ukradniemy - zapewniła gorąco. - Przecież wszystko panu powiedziałam, co, gdzie, kto... O chłopakach z Pelcowizny mogłam nie mówić, no nie? A ja szczerze...

- Umawiamy się, że dzisiaj od dwunastej do dziewiętej wieczorem wszyscy pracowaliście u mnie w inspektach. Rozumiesz, ty nic dobrego, że was bronię. Idź teraz szybko i koniecznie wracaj razem z Marianem. Oboje musicie nocować w domu. Jeśli nawet przyjdzie do was milicja, nie wspominajcie o kumplach z Pelcowizny, a na przyszłość trzymać mi się od nich z daleka! Rano punkt siódma oboje z Marianem przyjdziecie do mnie do pracy. Ruszaj! to masz na taksówkę - wetknął jej banknot do ręki.

O szóstej rano do mieszkania w ruderze zapukał dzielnicowy. Już z daleka usłyszał krzyki i wyzwiska, więc przyspieszył kroku i wszedł do izby.

- Zabił mnie, zabił! - histerycznie zawyła niemłoda,

zniszczona kobieta na widok milicjanta. Ten odsunął od niej krępego osiłka o tępej twarzy.

- Własne dzieci okrada - wyseplenił usprawiedliwiająco i wlepił wodniste oczy w sierżanta.

- Kazałam Mańkowi, żeby jej dołał - powiedziała Magda i wyjaśniła, na czym polegało przewinienie ich matki.

- Jeżeli będziesz podburzała Mariana do maltretowania matki - powiedział surowo dzielnicowy - to zrobię wam sprawę i pójdziecie do więzienia...

- Poprawczak, jestem nieletnia! - skorygowała bezczelnie.

- Nie podskakuj! - zgromił ją dzielnicowy. - Wiesz, że załatwiam dla niej miejsce w szpitalu. Alkoholizm to choroba, miejcie dla niej trochę litości... Gdzieście wczoraj byli oboje między szesnastą a osiemnastą?

- W szklarniach doktora - burknęła Magda.

- Gdzie masz perukę? - dzielnicowy przyjrzał się dziewczynie, a następnie rozejrzał po mieszkaniu.

- Nie ma żadnej peruki - skłamała przekonująco. - Nie rozumiem, o co znowu pan się nas czepia.

- Ma perukę, ma! - wykrzyknęła mściwie matka. - Czego kłamiesz, sama mówiłaś, że na bazarze kupiłaś!

- Delirek cię znowu bierze - zaopiniowała Magda. - Zaraz zobaczysz stado karaluchów, co, nie zna jej pan? - powołała się na świadectwo dzielnicowego. - Pamięta pan, co pan z nią miał wtedy, jak się jej zwidziały karaluchy?

- W sklepie też cię widzieli w peruce. Oni nie mają zwidów.

- Aaa... pewno chodzi panu o moją włochatą czapkę - lekko przypomniała sobie Magda. Pogrzebała w stercie łachów na wieszaku. - Proszę - wręczyła milicjantowi podniszczoną beżową czapkę, która bardzo przypominała perukę. Nylonowe krótkie runo miało nawet przedziałek.

- Ubierajcie się - rozkazał sierżant, pakując czapkę do raportówki.

- Niech pan nie zabiera mi dzieci!!! - kobieta zanosła się histerycznym szlochem.

W komendzie zajął się rodzeństwem oficer dochodzeniowy.

- W moim rejonie to tylko ich mogę typować - zawiadomił

dzielnicowy. - Z długimi, jasnymi włosami nie mam u siebie żadnej dziewczyny. Potem powiedział o peruce i położył na biurku sfatygowaną czapkę Magdy.

Porucznik przyglądał się portretowi na kalce technicznej i porównywał z twarzą podopiecznej sierżanta. Dostrzegł podobieństwo w trójkątym owalu twarzy.

Porucznik poprosił z sąsiedniego pokoju Van der Meneera. Zapytał go, czy rozpoznaje dziewczynę. Holender miał wątpliwości. Tamte jasne włosy jednak bardzo ją zmieniały. Oficer śledczy nie dał za wygraną - przeprosił Van der Meneera i wyciągnął jasną perukę.

Pod Magdą ugięły się nogi, o mało nie załamała się i nie zawołała głośno, że doktor zdradził. Ale w tym samym momencie spostrzegła, że to nie jest jej peruka, tylko trochę podobna do tamtej. Marian nawet nie drgnął. Z niezmaconym spokojem gapił się na perukę. Ociężały umysłowo, przyzwyczaił się ślepo słuchać siostry. Mimo że młodsza - była dla niego wyrocznią w każdej sprawie. Poprzednio nakazała mu milczenie. Małomówny z natury, milczał, spokojny, że Magda wszystko załatwi.

Oficer znów zaprosił Holendra. Teraz, gdy jej chudy pyszczek okalały jasne, długie włosy, cudzoziemiec był pewien, że ma przed sobą owego gangstera w spódnicy. Pomny jednak umowy z Brożkiem, zaprzeczył kategorycznie, mimo że zakipiała w nim złość.

Dopiero teraz oficer zaprosił do pokoju oczekującego w poczekalni doktora. Na jego widok Magda rozplakała się naprawdę; mimo swego niewątpliwego cwaniactwa pobyt w komisariacie bardzo ją przeraził.

Brożek potwierdził to, co zgodnie utrzymywało rodzeństwo, że krytycznego dnia zajęci byli na jego plantacji.

- Może gdzieś wychodzili bez pana wiedzy? - indagował oficer.

- Cały czas pracowałem razem z nimi - uśmiechnął się doktor.

Opinia ogrodnika i nierozpoznanie rodzeństwa przez ofiarę napadu przeważały szalę na ich korzyść. Dość słaba poszlaka z

peruką - ponieważ Holender stwierdził w swoim zeznaniu: „...mogła to być również peruka...” - upadła wobec godnego zaufania świadectwa doktora Brożka.

- Chodźcie, dzisiaj też mam dla was zajęcie - powiedział ogrodnik, gdy oficer dochodzeniowy oznajmił siostrze i bratu, że są wolni. Podreptali potulnie, usiłując nie patrzeć na idącego obok Holendra. Cudzoziemiec również udawał, że nie zwraca na nich uwagi.

Doktor zaprowadził rodzeństwo do oranżerii. Oboje poczuli się wyraźnie lepiej bez towarzystwa Van der Meneera.

- Panie doktorze - zaczęła dziewczyna - oni od razu zanieśli wszystko do takiego jednego, co skupuje lewy towar. Bali się i nie chcieli targać do chaty. Ojciec znajomków od ręki załatwił... Sprzedał od razu wszystko... Sześćdziesiąt pudełek kakao...

Brożka ogarnęła wściekłość, z trudem ją pohamował. Magda zauważyła, co się z nim dzieje, ogarnął ją strach.

- Ja nie kłamię! - powiedziała błagalnie. - On im zapłacił po sto złotych za puszkę, razem dostali sześć tysięcy. Te kretyny - ze złością szturchnęła w bok swego brata - zaraz czterysta złotych przepili i przeżarli. Mam z nim życie, nie mogę tego bałwana z oczu spuścić. Jakbym przyjechała później, to jeszcze więcej by przetracili. Mariana zaraz wysłałam do domu, a z ojcem kumpli pojechaliśmy na Brzeską, żeby odebrać towar i zwrócić pieniądze. Meliniarz obśmiał się tylko i powiedział, że nie po to kupuje trefny towar, żeby go z powrotem za te same pieniądze sprzedawać. To powiedziałam, że zapłacimy z jego zyskiem. Wie pan, ile ten dziad zażądał za jedną puszkę?

- Tysiąc sześćset złotych! - niespodziewanie zaseplenił Marian, widać dotychczas wstrząśnięty wysokością sumy.

- Cicho bądź, gnojku! - zgromiła go siostra. - Tysiąc sześćset złotych! - potwierdziła ze zgrozą. - No to powiedziałam mu, żeby sobie te puszki wetknął w zadek. W Delikatesach taniej się kupi...

- Co zrobiliście z dolarami?

- Te osły spuściły je również za jednym zamachem u tego dziadygi, razem z puszkami, bo on wszystko kupuje. Ale

pieniędzy jeszcze za dolary nie dał, obiecał pojutrze. Ale da na pewno, pod tym względem to on jest solidny.

Brożek z trudem powściągał wybuch złości. Dziewczyna usiłowała załagodzić sytuację. Była naprawdę szczerze zmartwiona, że powstały takie komplikacje.

- Mam te pięć tysięcy sześćset złotych - wysuwała banknoty zza podszewki kurtki i rozłożyła w wachlarzyk, aby się mógł naocznie przekonać. - Ja i Maniek będziemy u pana tyrali, żeby zarobić, i odkupimy panu całe kakao co do jednego deka. Wybierze pan sobie w Delikatesach, jakie pan tylko zechce, najdroższe - zapewniła. - W nocy wyciągniemy ten zatopiony worek, według pana rachunku powinno tam być dwadzieścia puszek, i nie będzie pan stratny.

- Marian, idź przetrzucić kompost - rozkazał Brożek. Osilek wstał i posłusznie wyszedł z oranżerii.

- Magda - powiedział doktor. - Pójdiesz do tego pasera i odkupisz wszystkie pudełka kakao.

- O rany! - jęknęła. - Warto panu? Po co bulić tyle forsy dziadydze, przecież w Delikatesach...

- Milcz! - krzyknął rozzłoszczony. Przestraszona ucichła. - Chodź, zawiozę cię na Brzeską, poczekam na dole. Dobijesz z nim targu i zejdziesz do mnie do samochodu po pieniądze.

Pojechali na Brzeską - Brożek zatrzymał się na podjeździe Dworca Wschodniego. Magda poszła dalej piechotą. Weszła do bramy starego, czynszowego domu. Skierowała swe kroki ku oficynie i drewnianymi schodami wspięła się na piąte piętro. Była to ostatnia kondygnacja - wyżej znajdowały się już tylko strychy. Zadzwoniła do drzwi. Na mosiężnej tabliczce widniało wygrawerowane imię i nazwisko gospodarza: Paweł Hilarczyk.

- Ale tu wysoko, musi się pan zdrowo namęczyć, w pana wieku - zaczęła towarzysko. Paser nie był zgrzybiałym starcem, a człowiekiem w pełni sił, ale Magdzie wydawał się wiekowy.

- Czego chcesz? - spod nawisłych brwi badawczo przyjrzały się dziewczynie ciemne, przenikliwe oczy.

- Przyszłam wykupić towar - mruknęła nonszalancko.

- Aha! Namysłiał się? Już nie chcesz w Delikatesach,

mimo że tam podobno taniej? Znasz moją cenę - sondował ją spojrzeniem.

- Znam - uspokoiła się nieco, bo przypomniała sobie o celu swej misji. - Niech pan daje wszystko - burknęła.

- Warto ci? - dziwił się Hilarczyk. - Dlaczegoś się tak uparła właśnie na te pudełka.

- Obchodzi? - parsknęła. - Pan ma towar i zysk, ja jestem kupiec i płacę gotówką.

- Masz tyle pieniędzy? - zwrócił Hilarczyk.

- A co, udziela pan kredytu?

- Dobrym znajomym udzielam - skinął głową.

- Szkoda śliny. Mnie pan nie udzieli. Mam pieniądze - wysupłała ze skrytki za podszewką kurtki zwitek banknotów.

- Zadek...

- machnęła nimi przed nosem pasera.

- Nie trzymam towaru w domu, moja mała - mruknął. - Tutaj mam tylko pięć pudełek. O resztę możemy się umówić.

- Dawaj pan za wszystkie pieniądze - podała mu banknoty.

- Kiedy i gdzie przyjechać po resztę?

Po namyśle zdecydował, że spotkają się następnego dnia wieczorem koło cmentarza bródnowskiego.

2.

ZŁODZIEJSKI DEKALOG

Paweł Hilarczyk był właścicielem i kierowcą taksówki bagażowej. Dochód z niej stanowił oficjalną podstawę jego egzystencji. Zajmował dość obszerne mieszkanie. W podwórku miał garaż dla swego samochodu. Porządny człowiek, spokojne małżeństwo - taka była o nich utarta opinia.

Ale Paweł Hilarczyk miał od wielu lat również drugie, mniej banalne wcielenie. Wśród pewnych kręgów obywateli cieszył się popularnością, szacunkiem i wysokim autorytetem. Znany był wśród nich jako: Tata Hilarczyk, a najczęściej jako: Tata. To ciepłe, rodzinne miano nadali mu złodzieje wszelkiej

specjalności, włamywacze i brać różnego autoramentu, co to ni sieje, ni orze...

Trzydzieści lat temu był pensjonariuszem zakładów karnych, lecz przyszła wojna i zmiotła bogatą hipotekę Hilarczyka w rejestrze skazanych. Po wojnie wyporządniał, ożenił się, stał się właścicielem taksówki bagażowej i wcielił się w... Tatę.

Przestępcza społeczność Pragi i Pelcowizny, Bródna i Zacisza wiedziała, że Tata kupi każdy towar, pomoże ukryć się ściganemu, poratuje w każdej biedzie, udzieli pożyczki.

Ogólnie było wiadomo, że Tata jest przy tym wszystkim niesłychanie ostrożny, bardzo przebiegły i nie opuszcza go... fart. Dzięki tym zaletom od przeszło dwudziestu lat prosperował bez większych wstrząsów. Znano zasadę, której przestrzegania Tata bezwzględnie wymagał: nie wolno było przychodzić do niego bezpośrednio z żadnym towarem.

Hilarczyk mógł już dawno wyprowadzić się z Brzeskiej i zamieszkać w o wiele bardziej komfortowych warunkach. Ale, po pierwsze, przy jego kontaktach handlowych ten punkt był miejscem wymarżonym; a po drugie, stara czynszówka miała wprost nieocenione zalety. Można było do niej wejść przez trzy różne bramy, z trzech różnych ulic, a do oficyny prowadziły cztery łączące się ze sobą klatki schodowe.

Tata był inteligentny, a długoletnia praktyka przyniosła mu wielką znajomość psychiki i charakterów ludzkich, dawało to nieocenione usługi i przewagę nad klientami.

Zaintrygowały go uporczywe usiłowania odkupienia przez dziewczynę towaru, uprzednio sprzedanego przez ojca jej współników. Gdy późnym wieczorem przyprowadził ją stary złodziej, w lot zauważył, że to ona - mimo że bardzo młoda - dyryguje tym trochę ociężałym, znacznie starszym od niej mężczyzną. Z początku sądził, że znalazła innego pasera, który obiecał korzystniejsze warunki kupna.

Ale dzisiaj? Kto stoi za dziewczyną? Był przekonany, że tym razem przyszła nie z własnej inicjatywy. Skąd by wzięła kilkadziesiąt tysięcy złotych?

Te pudełka mogą być dowodem w jakiejś paskudnej sprawie - medytował stary paser. Może pasują jak ulał do jakiegoś

morderstwa? Niewykluczone. Ten, kto wysłał dziewczynę, musi być człowiekiem bogatym; należy więc koniecznie dowiedzieć się, kto to jest i co go łączy z ofiarą i sprawcami napadu - postanowił Tata.

Na kilka minut przed wyznaczonym spotkaniem zjawił się w umówionym miejscu i ukryty w cieniu drzew obserwował ulicę. Punktualnie o określonej porze dostrzegł piękny samochód Brożka, z którego wysiadła dziewczyna.

- Rozbijasz się Mercedesem - stwierdził z podziwem. - Czyj to wóz? - zapytał prowadząc ją w mrok pod drzewa.

- Nie pana interes - zjeżyła się nieufnie. - Dawaj, dziadek, towar i żegnaj - przeciągnęła sylaby.

- Wprawdzie masz mleko pod nosem, ale zadatki nieźle - pochwalił. - To najważniejsza zasada nic nie mówić o wspólnikach. Ale powiedz swemu protektorowi - jego ton nie brzmiał już dobrodusznie - że z niepełnoletnimi nie załatwiam poważnych transakcji. Jeżeli ma do mnie interes, to niech przyjdzie na Brzeską. Zrozumiałaś? - pchnął ją lekko.

Jego ton przestraszył Magdę, posłusznie wróciła do samochodu.

Hilarczyk jeszcze tego samego dnia dowiedział się wiele o właścicielu szarego Mercedesa i jego zagranicznym gościu. Posłużył się starym złodziejem, ojcem wspólników Magdy.

Gdy późnym wieczorem wrócił do domu, czekała na niego żona i przykra wiadomość.

- Sprzedałam kakao - zawiadomiła go, gdy tylko zdążył zamknąć za sobą drzwi. - Wzięłam dobrą cenę.

- Sprzedałaś wszystko? - jęknął; pomyślał przy tym, że to tamten z Mercedesa ubiegł go i odkupił towar od jego żony.

- Pięć pudełek zostało, przyda się w gospodarstwie - oświadczyła.

- Coś ty najlepszego zrobiła, kobieto! - prawie zapłakał Tata. - Przeszło nam koło nosa kilkadziesiąt tysięcy złotych... - potem opowiedział o ofercie mężczyzny z Mercedesa.

- Nie wydaje mi się, aby wykupił go twój klient. Połowę wziął Antczak ze Skaryszewskiej, a resztę czterech z

ręczniaka.

- Mógł ich podstawić - upierał się Tata.

- Chyba nie. Zresztą jutro będziesz wiedział. Jeżeli przyjedzie, to znaczy, że to nie on. Tylko co ty mu sprzedasz, niebożę, te pozostałe pięć pudełek? - zafrasowała się i zaplatając dłonie stanęła przy mężu.

- Holenderskie kakao, oczywiście, firmy Veneer - po głębokim namyśle odpowiedział z triumfem Tata.

- Chcesz odkupić towar z bazaru? - domyśliła się. To trzeba raniutko wysłać koników, bo jak się tamci zorientują, że Tata chce kakao z powrotem, to pomyślą, że to Bóg wie jaki cymes...

- Nie bój się, są jeszcze dobrzy złodzieje w tym mieście! - roześmiał się Tata.

Następnego dnia rano - jeszcze na dobre nie rozwidniło się - w mieszkaniu Hilarczyka pojawił się elegancki mężczyzna w średnim wieku.

- Nie chciał pan handlować z moim przedstawicielem - powiedział żartobliwie - więc przybywam sam.

Stary paser ocenił przybysza jednym spojrzeniem. Ten człowiek bardzo się różnił od jego stałej klienteli.

- Ale u mnie zdrożało - wycedził Tata.

- Ile? - gość ani drgnął.

- Będzie dwa tysiące złotych za puszkę. Dwa tysiące do targu, może się co opuści... ale dojdzie za transport - dodał leniwie.

- Transport mam własny.

- Nie szkodzi. Liczę i za transport. Jak pan ma czym wieźć, to pana zysk, inaczej musiałby pan opłacić taksówkę. U mnie płaci się za transport bez transportu. Rozumie pan?

- Pan zwariował?! - oburzył się Brożek mocno już poirytowany.

- Wiem, w MHD taniej - zgodził się paser. - Ale ja daję, najlepszy towar, bo taki, jakiego pan bardzo potrzebuje.

Brożek, zmęczony wydarzeniami ostatnich dni i zdenerwowany bezczelnością tego człowieka, popełnił błąd. Nie poznał się na klasie partnera, od którego był przecież uzależniony. Wpadł

w złość. Nigdy dotychczas nie miał do czynienia z ludźmi pokroju Hilarczyka, a jego wyobrażenia o osobnikach z marginesu kryminalnego były niezmiernie mgliste.

- Daję tysiąc dziewięćset złotych za pudełko i ani grosza więcej - zastrzegł groźnie.

- Dwa tysiące do targu, plus prowizja - nie ustępował paser.

- I jeszcze dzisiaj otrzymam towar! - kategorycznie oświadczył Brożek.

- A jak nie, to co, da mi pan w skórę? - prowokował Tata.

- Zrezygnuję z kupna towaru, a panem zajmie się milicja - wycedził doktor.

- Eee, nie wierzę... - ziewnął ostentacyjnie Tata.

- Panie, ja nie żartuję - zaperzył się Brożek. - Wiem, że to kakao i dolary, które też pan ma, pochodzą z napadu rabunkowego. Znam sprawców napadu i ich ofiarę, teraz poznałem pasera... Mało?

- Dużo pan wie - przyznał Tata. - Dziwię się tylko, dlaczego dotychczas nie zameldował pan tego wszystkiego milicji.

Brożek za późno pożałował swego uniesienia.

- Panie - rzekł dobrotliwie Tata - wygląda pan na niegłupiego człowieka, szpakowaty włos na głowie, a gada pan jak dziecko...

- Do rzeczy - mruknął Brożek; było mu wstyd, że nie potrafił właściwie rozegrać tej partii.

- Do rzeczy - zgodził się Tata. - Ale jeszcze muszę pana uświadomić, bo pewno pan nie wie, bo i skąd pan może wiedzieć sadząc kwiatki na Mokotowie, kto to jest Paweł Hilarczyk z Brzeskiej na Pradze...

- Informacje Magdy - skrzywił się Brożek.

- Nie jej. Nie pękła ani jednym słowem, od kogo przychodzi. Sądzi pan, że to taka trudna rzecz dowiedzieć się o profesję klienta? I jeszcze jedno - niech mnie pan dobrze zrozumie, bo to nie będą czeże pogróżki, nie psuję śliny na darmo. Mówię to panu dla porządku, może się zdarzyć, że się jeszcze spotkamy...

- Wątpię...

- ...dotychczas był tylko jeden, co groził i porozmawiał

sobie z milicją o Hilarczyku. Wie pan, co teraz za to ma? - pytanie było czysto retoryczne. - Zupełnie skromny nagrobek na Bródnie - paser powiedział to bardzo łagodnie.

Tym razem doktor nie zdobył się na żadną odpowiedź.

Uzgodnili wreszcie, że paser otrzyma po tysiąc osiemset złotych za pudełko. Brożek chciał otrzymać to nader kosztowne kakao natychmiast. Hilarczyk nie zgodził się.

- Za jakiś tydzień - oświadczył.

- Za tydzień zażąda pan znacznie więcej - obawiał się doktor.

- Wziąłem zadatek, a to tyle, co dać słowo.

- Dlaczego ta zwłoka? - denerwował się Brożek.

- Nie trzymam towaru w domu, a ostatnio gliny kręcą się blisko moich skrytek, oczywiście nic o nich nie wiedzą, ale muszę odczekać, aż zmienią rejon. Jasne?

*

Major Andrzej Korosz przyjął telefon z komendy dzielnicowej.

- Jedziemy - trącił drzemiącego technika - jest grubsze włamanie.

- Już myślałem, że skończymy dyżur na drzemce - ziewnął technik. Termin ich nocnej służby mijał za dwie godziny, a noc była spokojna.

Byli przy drzwiach, gdy znów niecierpliwie zadzwieczał telefon.

- Róbcie swoje, mam na rozkładzie SAM., oczywiście przyjadę, tylko obejrzę ten sklep. Prawo serii - mruknął do technika. - Dzwonili z innej dzielnicy... włamanie do Delikatesów.

Na miejscu w sklepie SAM-u uwijało się już dwóch pracowników dochodzeniowych.

Major zszedł do piwnicy, przez którą dostali się złodzieje. Obejrzał pomieszczenia.

- Błąd - wskazał drzwi. - Wystarczy dobrze kopnąć...

Solidne, grube drzwi piwnicy zaopatrzone w kłódkę i zasuwę miały zawiasy, które wystarczyło podważyć dłutem, by metal

odwinął się jak kapsel.

- Dla złodziei nie ma zamków - westchnął usprawiedliwiająco kierownik SAM-u, gdy tylko inspektor zwrócił jego uwagę na te zawiasy.

- Są, są. Wystarczyłyby dwie sztaby. Kto oprócz personelu miał dostęp do tego magazynu?

- Konwojenci - oznajmił kierownik sklepu. - Tutaj trzymamy towar zajmujący wiele miejsca, jak: kasza, mąka, cukier, ryż...

Major wynotował adres bazy transportowej i hurtowni, która zaopatruje ten sklep.

Technik brodził po mące rozsypanej z rozdartych toreb. Fotografował ten bałagan. Porucznik przyniósł mu poszarpaną cynfolię z opakowania i nadgryziony kawałek czekolady.

- Piękny ślad - orzekł technik, prezentując odcisk zgrzyzu zębów, pozostawiony na czekoladzie.

- Śladów pełno - zawiadomił porucznik. - Szczególnie na butelkach z wódką.

Milicja skończyła oględziny; personel zabierał się do porządkowania sklepu. Oczekująca już komisja przystąpiła do sporządzania remanentu, aby ustalić wysokość strat.

Major pojechał na miejsce drugiego włamania. Sklep Delikatesów prezentował strzaskaną szybę i splądrowaną wystawę.

- Amatorzy, ujęci w pościgu - zawiadomił milicjant pilnujący tego rozgardiaszu.

- Towar odzyskano?

- Kilkanaście pudełek kawy, kakao, jakieś konserwy. Rzucili to podczas ucieczki.

Major nie z obowiązku, lecz z prostej ciekawości wstąpił do komisariatu. Mimo że przez jego ręce przeszły setki poważnych, trudnych spraw, zawsze z jednakową pasją interesował się ludźmi, którzy weszli w kolizję z prawem, bez względu na rodzaj i wagę ich przestępstwa.

- Wszystko proste, banał, majorze - odparł zapytany przez niego młody oficer w komisariacie.

- Co to za ludzie?

- Nieciekawo. Bliźniacy, Kazek i Zenek, po dziewiętnaście lat. Zdemoralizowana rodzina z Pelcowizny. Matka umarła, gdy byli mali. Ojciec to stary, wysłużony złodziej. Zdaje się, że w chwilach trzeźwości, ale to u niego stan rzadki, zajmuje się przyuczaniem synów do swego zawodu. Z taty widocznie niezbyt biegły pedagog, a synowie nie bardzo pojętni, wychodzą z tego drobne, partackie kradzieże. To wiadomości od dzielnicowego z ich rejonu.

- Poprzednio karani?

- Tak, ale wówczas byli jeszcze nieletni. Komórki, piwnice, budki w ogródkach działkowych. W ogóle specjaliści od marnych zamków. Nie gardzą królikami, gołębiami - lepkie ręce. Słabsze głowy od bicepsów. Dzielnicowy załatwił im ostatnio pracę przy przeładunku węgla. Według jego opinii pracowali i nawet poprawili się. Przestały w okolicy ginąć kury... Jak widać, nie wytrzymali tego cnotliwego życia.

Zawołał bliźniaków z sąsiedniego pokoju i zaprezentował ich majorowi. Weszli gęsiego i potulnie stanęli pod ścianą, łypnęli na inspektora i zaczęli przestępować z nogi na nogę.

- Potrzebne wam to było? - pokiwał głową major.

- Nam to niepotrzebne, my tego nie kcielim - skwapliwie, unisono zapewnili bracia. - Mielim pieniądze - dodał Zenek - przy węglu zarobilim. Może pan sprawdzić u profosa w depozycie.

Istotnie, sprawa była prosta, a sprawcy prymitywni, nie godni większej uwagi.

Korosz wreszcie pojechał do domu, aby położyć się po nocnym dyżurze. W tym czasie ukończono remanent w sklepie SAM. Wykazał on braki na sumę stu dziewięćdziesięciu tysięcy złotych. Na żądanie milicji kierownik sklepu przedłożył zestawienie asortymentowe i ilościowe skradzionych towarów. Figurowały tam wódki, koniaki, kawa, kakao, pieprz, herbata, czekolada.

Zrozumiałe, że złodzieje brali towary najbardziej atrakcyjne i drogie, trudno jednak było uwierzyć w tak wysoką sumę strat. Wyniesienie takiej partii towaru wymagałoby kilku ludzi, natomiast ze śladów pozostawionych w sklepie wynikało

niezbicie, że włamywaczy było tylko dwóch.

Wyłoniło się uzasadnione podejrzenie, że sklep miał manko i przy okazji kradzieży scedowano je na konto włamywaczy.

Tymczasem wywiadowcy penetrowali bazy i znane meliny w poszukiwaniu skradzionych towarów, a dzielnicowi tradycyjnie składali wizyty podopiecznym kryminalistom.

Sierżant, stary dzielnicowy z Zacisza, który pracował tam już kilkanaście lat, znał na wylot swoich kłopotliwych mieszkańców.

- U mnie - powiedział na porannej odprawie dzielnicowych - włamanie na lewarek to tylko może zrobić Łysek.

Podążył wprost do małego drewniaka, w którym tamten mieszkał. W schludnej kuchni zastał krzątającą się kobietę.

- Dzień dobry, pani Łyskowa, piękny dzień mamy dzisiaj - pozdrowił ją. Sierżant bez względu na sprawę, z jaką przychodził, nigdy nie używał służbowego tonu. - Gdzie mąż?

- Słabuje - odpowiedziała kobieta. - Tak to z płucami jest, a najgorszy to marzec i listopad. Od trzech dni w domu leży, znowu krwią pluje - westchnęła, uchyliła drzwi do pokoju. - Stary, pan dzielnicowy do ciebie!

Spod kopiastej pierzyny dobył się słaby, jękliwy głos. Łysek drobniawo poinformował sierżanta o stanie swego zdrowia w ogóle, a od trzech dni w szczególności. Dzielnicowy wysłuchał bez zniecierpliwienia, a później oświadczył:

- Wstawaj, Łysek. Jedyne prawdziwa rzecz z tego, co mówisz, to twoje chore płuca, reszta się okaże...

Gdy porównano odciski palców Łyska, nie było wątpliwości, że to jeden ze sprawców włamania do SAM-u. Stary włamywacz już się nie wypierał swego czynu, utrzymywał tylko, że włamania dokonał bez niczyjej pomocy. Znana złodziejska zasada, która w tym wypadku nie na wiele się zdała, ponieważ sierżant znał doskonale koneksje Łyska.

- Pewno był z Siwym z Utraty - domyślił się dzielnicowy. - To przyjaciele i od skoków, i od wódki.

Siwy w ślad za Łyskiem powędrował do milicyjnego aresztu. Oprócz linii papilarnych ślad zębów na kawałku czekolady, który tak ucieszył technika, należał do Siwego.

Jak było do przewidzenia, zarówno w mieszkaniu Łyska, jak i Siwego, nie znaleziono żadnych artykułów pochodzących z kradzieży w SAM-ie.

Rewizje w znanych milicji melinach również nie przyniosły skutku. Byli przestępcy - nie było łupu.

Sprawa, wyglądająca początkowo na klasyczne włamanie, skomplikowała się niespodziewanie przez tę nierzeczywistą listę strat, wystawioną przez kierownika sklepu. Należało teraz rozgranaczyć winę kryminalistów od ciemnych sprawek personelu sklepu.

Pułkownik Henryk Lis, szef służby kryminalnej, powiadomiony o charakterze dochodzenia, bez namysłu zlecił je majorowi Koroszowi.

Inspektor pojechał do komendy. Gdy dowiedział się, że przestępców odszukał dzielnicowy, zadzwonił do sierżanta z Zacisza. Wprawdzie otrzymał notatki dotyczące obu włamywaczy, ale major wołał żywe słowo.

- Łysek? - zaczął sierżant, gdy usiadł naprzeciw inspektora
- stary worycha, operujący klasycznymi metodami: na parasol, na szybkę, ale najczęściej na lewarek - to jego ulubiony sposób.

- Ile wyroków?

- Pięć. Łącznie ponad osiem lat. To znaczy tyle naprawdę odsiedział, ale ciągle ma zaległości w kiciu, bo chory... Twardy jest i uparty jak muł. Przyznaje się tylko do tego, co jest udowodnione czarno na białym. W tym wypadku na pewno panu opowie, jak robił to włamanie, ale kto stał na lipku, to się już major od niego nie dowie. Żadne wybiegi nie skutkują. Milczy jak grób.

- Nikogo pan nie widzi, kto mógłby ich obstawiać?

- Widzieć, tobym widział... tylko pozostałym moim barankom alibi na tę noc nie brakuje, chyba tam niejeden ma naciągnięte, ale jak pewności nie ma, to oficjalnie nie chcę wkraczać.

- Słusznie - przyznał inspektor. - Ci dwaj pozostawili ślady, w stosunku do tego trzeciego nie dysponujemy niczym.

- Męcę się z tym Łyskiem już od kilkunastu lat - westchnął

dzielnicowy. - Wraca mi na Zacisze jak nie zapłacony weksel. I teraz tylko patrzeć, jak będzie z powrotem... Właściwie to on nie odsiadyje wyroków, tylko je odleguje w więziennym szpitalu. Potrzymają, trochę podleczą i robią mu przerwę w karze; odkładają odsiadkę, gdy będzie zdrowszy... Aha, tutaj Łyskowa dała lekarstwo dla niego - postawił na stole butlę z ciemnego szkła, wypełnioną pomarańczowymi drażetkami.

Major podziękował i pożegnał dzielnicowego. Następnie polecił sprowadzić Łyska. Wszedł chudy, przygarbiony, z charakterystyczną cerą gruźlika. Od progu zaniósł się kaszlem, trochę z potrzeby, a trochę na efekt dla majora. Inspektor wskazał mu krzesło.

- A to żona wam przysłała - podał mu lekarstwo.

- Pewno to pan dzielnicowy przyniósł - ucieszył się Łysek. - Jak mnie do pana prowadzili, to on wychodził. Porządny człowiek, panie majorze, chociaż milicjant. Po prawdzie to przez tyle lat zżyliśmy się ze sobą, jak ten guzik i pętelka. Ale on ze mną ma lepiej niż ja z nim - westchnął. - Mnie to on ciągle: Łysek, gdzie byłeś, co robiłeś? Jak tego przedszkolaka strofuje. A gdzie tylko grubszy skok zrobią, to po komisariatach mnie wozi jak Cygan niedźwiedzia. A ja mu statystykę wykrywalności poprawiam i honor jego utwierdzam. Bo chociażby i to włamanie, kto wykrył? Sierżant z Zacisza. Może mu nawet jaka premia wleci...

- Łysek, remanent w SAM-ie wykazał niedobory na sto dziewięćdziesiąt tysięcy złotych. Zdaje mi się, że za to można załapać duży wyrok. Rabunek mienia państwowego wartości powyżej stu tysięcy złotych kosztuje dziesięć lat.

- Pan major chce mnie zażyć - chytrze uśmiechnął się Łysek. - Ma pan nasz kimmel?

- Łysek, od pytań to ja tu jestem! Poczytaj sobie - podał mu zestawienie skradzionych towarów.

- Major w to wierzy?! - krzyknął oburzony włamywacz. - Te złodzieje nas w to wrabiają. Im wiara, bo oni nie recydywa. Recydywa pójdzie za nich do mamra, a oni dalej będą kradli. Sprawiedliwość!

- Gdzie jest łup?

- Spuszczony na bazarze - oznajmił Łysek. - Powiem panu prawdę, że ten skok zrobiłem przez jeden głupi towar: kakao. Ten parszywy sklep też wybrałem tylko przez to cholerne kakao, no i... bo były słabe zawiasy. Cynk szedł po bazarze, że dobrze zapłacą...

- Kto tak miał dobrze zapłacić? - zainteresował się major.

- Handlarze, a kto inny?

- Znacie ich? - to pytanie major zadał raczej z przyzwyczajenia. Wiedział z góry, jaką otrzyma odpowiedź. - No i dostałeś dobrą cenę?

- Eee, ledwo to opchnęłem, nikt nie chciał brać - skrzywił się Łysek.

- Łysek, zupełnie nie wierzę w ten bazar, handlarzy, kakao...

- A w to, że wynieśliśmy towar z SAM-u za taką forszę, to pan major wierzy? Niech pan sam oceni, kto tu jest gorsza świnia i łachudra i kogo bardziej trzeba karać. Z jednej strony ja i Siwy - notowani recydywiści. Niech się tylko co w mieście stanie, to już dzielnicowy u nas mieszka. Przeciw nam kraty, zamki, milicja, ORMÓ, nocni stróże i byle człowiek na ulicy też jest przeciw nam. Nasza gra jest uczciwa, więcej ryzykujemy i nie wkradamy się w łaski i zaufanie, jak taka szmata... Powierzyli mu sklep, żeby go pilnował? A co on z tym robi? W oczy szkli, piaskiem sypie, jaki to on spec od handlu, a łapy trzyma w państwowej kieszeni. Ja się pytam, kto tu jest gorszy złodziej, majorze?

Po przesłuchaniu włamywaczy inspektor poprosił kierownika sklepu.

- Straty z powodu włamania wydają się nam nieprawdopodobne - zimno zawiadomił go major. - Są sprawcy i skradziony przez nich łup - kłamał bez najmniejszych skrupułów. - Jego wartość nie przekracza pięćdziesięciu tysięcy złotych. Gdzie pozostałe sto czterdzieści tysięcy?

- Pan mnie posądza o... - wykrztusił błady jak papier kierownik.

- Pana, pana! - rozwiął jego wątpliwości major. - Jest pan podejrzany o sprzeniewierzenie mienia państwowego na taką

właśnie sumę.

Po przedstawieniu dokumentacji sporządzonej przez ekspertów kierownik zaczął przyznawać się do pewnych niedoborów. Zatrzymał się jednak na sumie osiemdziesięciu tysięcy.

Dla majora rzecz była jasna. Sprzeniewierzenie ponad stu tysięcy złotych to dziesięć lat więzienia. Kierownik rozpoczął walkę o niższy wyrok.

Major wezwał z aresztu Łyska.

- Kierownik chce odpowiadać tylko za osiemdziesiąt tysięcy - zawiadomił włamywacza i zaczął konfrontowanie wykazu braków z zeznaniem Łyska. Teraz kierownik staczał heroiczne boje o każdą butelkę, pudełko konserw, niemal o każdą torebkę pieprzu.

- Ukradli dwadzieścia kilogramów najlepszego holenderskiego kakao po tysiąc sześćset złotych kilogram - płacząliwie poskarżył kierownik.

O dziwo, do ilości holenderskiego kakao Łysek nie wniósł zastrzeżeń. Przyznał, że rzeczywiście wyniósł ze sklepu dwadzieścia kilogramów tego artykułu.

- Już panu majorowi mówiłem, że tylko przez to cholerne kakao zdecydowałem się na tę robotę - westchnął.

Dopiero teraz inspektor zwrócił na ten szczegół uwagę. Poprzednio puścił mimo uszu zapewnienia Łyska, że właśnie ten produkt skusił go do popełnienia włamania.

- Co to za kakao, jakiej firmy? - zainteresował się major.

- Takie na V... zaraz... wyleciało mi z głowy - zastanawiał się Łysek. - No, brązowa nalepka i srebrno-złote litery...

- Veneer, najlepsze holenderskie kakao - usłużnie poinformował kierownik.

- Mówiłem już panu, majorze, że cynk szedł po bazarze... poszukiwali pilnie tego artykułu - wtrącił Łysek.

W tej chwili zastanowił majora fakt, że cały ukradziony przez Łyska zapas kakao był w kilogramowych opakowaniach.

Komu i w jakim celu było ono potrzebne? Stary włamywacz musiał otrzymać konkretne zamówienie i propozycję wysokiej zapłaty za ten produkt, skoro na jego rzecz zrezygnował z wyniesienia większej ilości trunków, najbardziej

poszukiwanych na złodziejskim rynku.

Niewątpliwie za Łyskiem stoi paser - medytował major - i on zlecił tę robotę. Mógł również zamówić ten towar ktoś podstawiony przez pasera, handlarz, a nawet grupa handlarzy. Taki był mechanizm i zależności rządzące kryminalnym rynkiem.

Ciekawiło go, czy ten popyt na holenderskie kakao firmy Veneer był chwilowy, czy też utrzymuje się nadal i dlaczego.

Przypomniał sobie braci bliźniaków. Natychmiast połączył się z kierownikiem sklepu Delikatesów, w których usiłowali oni okraść wystawę. Zapytał, jakie artykuły były eksponowane w witrynie. Dowiedział się, że jednym z elementów dekoracji były kilogramowe pudełka holenderskiego kakao firmy Veneer.

Teraz miał pewność, że to właśnie skusiło chłopaków z Pelcowizny. Odwiedził ich w więzieniu. Weszli do pokoju widzeń w towarzystwie strażnika.

- Dla kogo kradliście kakao? - bez wstępów zadał pytanie.

- Dla nikogo, my na bazar kcielim - Kazek łypnął na majora.

- Dla kogo na bazar? - nie ustępował inspektor.

Z niemrawego dukania braci wynikało, że w ogóle cały bazar chciał kakao firmy Veneer, ale tylko w kilogramowych pudełkach. To był warunek dobrej zapłaty. Poza tym inspektor już nic więcej z nich nie wydobył.

Albo nic więcej nie wiedzą -- pomyślał major - albo ojcowska szkoła skutecznie wbiła w te tępe mózgownice święte złodziejskie przykazanie: NIE SYPAC.

To wyjątkowe zainteresowanie bazaru kakao firmy Veneer bardzo zaintrygowało majora. Wobec tego zebrał informacje na temat importu tego artykułu. Okazało się, że jest on przysyłany z Holandii w stukilogramowych, hermetycznie zamkniętych beczkach z metalu. Z transportu trafia do magazynu w Poznaniu. Holenderskie przedsiębiorstwo przysyła również firmowe etykiety do pudełek. Pudełka natomiast są dostarczane hurtowni poznańskiej z miejscowej fabryki. W magazynach rozładowuje się pojemniki, kakao

paczkuje w porcje o różnej wadze. Holenderski eksporter, bardzo dbający o opinię i tradycję swego towaru, zastrzegł sobie nawet takie detale jak: kształt pudełek, ich zamknięcie, pergaminową wyściółkę wewnątrz oraz osłonkę z cynfolii pod wieczkami.

Wszystkie te informacje nic mu jednak nie wyjaśniły; dlaczego bazar poszukuje towaru, którego dosyć jest w sklepach?

Na wszelki wypadek porozumiał się z komendantem dzielnicowym na Pradze. Poprosił go, aby dyskretnie sprawdził, czy ten artykuł pojawił się w sprzedaży na prywatnym rynku.

- Kakao, mówisz...? Coś takiego było... Aha! Dzielnicowy z Targowej wspomniał o zatruciu kobiety, rzekomo przez zepsute kakao - odpowiedział komendant dzielnicy. - Jemu o tym wydarzeniu opowiedziała dozorczyńni.

Major chciał znać szczegóły dotyczące zatrucia, lecz dzielnicowy, który nie wziął na serio plotek dozorczyńni, nie umiał nic bliższego na ten temat powiedzieć. Podał tylko adres pani Amelii Kowalskiej, niedosłej ofiary wypadku.

Jeszcze tego samego dnia inspektor odwiedził panią Kowalską i dowiedział się, że trującym produktem było holenderskie kakao marki Veneer, kupione na bazarze na Skaryszewskiej w straganie Antczaka.

- Proszę tylko nie robić mi przykrości, bo to bardzo uczciwy człowiek. Kupuję u niego już od wielu lat...

Major nie mógł jednak pojąć, jak można się zatruć kakao, i poprosił panią Amelię, aby opowiedziała mu, jak do tego doszło.

- Upiekłam blaszkę ciasta Murzynka, tak mniej więcej z osiemdziesięciu deko kakao, no i... jakoś tak, kawałek po kawałku... zjadłam prawie wszystko - pełną twarz kobiety powlókł ciemny rumieniec.

Z zawodowego nawyku inspektor zapytał, czy zostały jakieś resztki z tego kakao. Dowiedział się, że pan Kowalski zwrócił je sprzedawcy, składając reklamacje w dość burzliwej formie.

Major poszedł jeszcze do szpitala, w którym była leczona pani Amelia. Lekarz doskonale pamiętał przypadek, ponieważ po

raz pierwszy w swej praktyce natrafił na zatrucie tym produktem.

- To jednak nie było przejedzenie? - chciał się upewnić inspektor. Lekarz kategorycznie zaprzeczył i jeszcze raz podkreślił, że było to ciężkie zatrucie.

- Jakie były objawy?

- Trochę podobne do zatrucia jadem kiełbasianym, na szczegółowe analizy nie miałem czasu. Pacjentka była nieprzytomna.

- Może zatrąła się mięsem?

- Nie, jad kiełbasiany na pewno nie był przyczyną tego zatrucia - stwierdził doktor. - Poza tym pacjentka uporczywie twierdziła, że krytycznego dnia nie jadła nic oprócz babki upieczonej z tego kakao; jej oświadczenia potwierdziły badania.

Major podziękował doktorowi i poszedł na Skaryszewską do sprzedawcy fatalnego artykułu.

Właściciel znanej na bazarze firmy handlowej, pan Antczak, pozieleniał, gdy major okazał mu znaczek służby kryminalnej, ale głowy nie stracił. Na wiadomość, że milicję interesuje kakao, które spowodowało zatrucie, wyraził głębokie ubolewanie.

- Co za ludzie, jak rany! Panu zabierają cenny czas, a mnie niszczą nerwy i opinię. Na Emhade to z pyskiem nie polecą do milicji, bo państwowe, a na prywaciarza to jak kozy na pochyłe drzewo skaczą. Napuścili pana na wodę, panie władzo szanowny! - usprawiedliwiał się płynnie.

- Od kogo kupił pan ten towar?

- Przyniosła go kobieta, taka gruba i siwa... Nic więcej o jej reprezentacji powiedzieć nie mogę, bo nie pamiętam. Tyle się człowiek ludzi napatrzy... Za kolonialny towar skóry nie darła, więc wziąłem.

Wyjaśnił ponadto, że zapisał dane z dowodu owej pani i gdzieś tę kartkę ma. Jeżeli władzy na niej zależy, to on znajdzie i w zębach przyniesie - zapewnił żarliwie.

Major poprosił o przyniesienie tego dokumentu do komendy dzielnicowej. Odchodząc kupił u Antczaka pudełko

kakao Veneer.

- To już ostatnie, panie władzo - zawiadomił sprzedawca podając paczkę.

Major pośpieszył do komendy i natychmiast oddał nabytek ekspertom, prosząc o przeprowadzenie szczegółowej analizy chemicznej.

Kakao ze straganu Antczaka okazało się jednak niewinnym produktem, bez groźnych właściwości, które spowodowały zatrucie Amelii Kowalskiej.

Cała ta historia stawała się coraz bardziej zagadkowa. Postanowił porozumieć się ze swoim szefem, pułkownikiem Lisem.

- Nie mam pojęcia, co to może być? Kilka oderwanych, nader skąpych faktów, które w konsekwencji oznaczać mogą jedynie to, iż kilku handlarzy z bazaru przezornie zaopatrzyło się w większą ilość kakao na Święta Bożego Narodzenia i Nowy Rok. Ale ta cała kakaowa hossa może również sygnalizować bardzo interesującą aferę. Ciekawe jest, że zapotrzebowanie czarnego rynku dotyczy tylko produktu określonej firmy i określonej w a g i ! Dlaczego?

- Ta firma ma ustaloną renomę - zauważył Lis.

- To nie jest argument. Są inne firmy, które produkują kakao równie doskonałe, jak Veneer - odpowiedział major i zrobił Lisowi mały wykład na temat tego artykułu. - No, a co powiesz na to, że zamawiano tylko kilogramowe pudełka, które wcale nie są takie tanie. Przecież ludzie chętniej kupują mniejsze ilości.

- Weź Cieślika i każ mu wysondować bazarę - poradził Lis. - Wywiadowców z komendy dzielnicowej handlarze znają doskonale... Poza tym sprawdź w szpitalach, może zatrucie tego łakomczucha z Targowej nie było odosobnione?

- Chciałbym wiedzieć, kto zamawiał ten towar. Bardzo interesują mnie zleceniodawcy Łyska i tych dwóch braci - ciągnął major.

- Co kryje się za tym stwierdzeniem: na bazarze poszedł cynk.

Inspektor skomunikował się z porucznikiem Cieślikiem i przedstawił mu całą sprawę. Kierownik służby X lubił pracować

z majorem, twierdził, że Korosz z najnudniejszej i z pozoru banalnej sprawy zawsze w końcu wykrzesze coś ciekawego.

- Holenderskie kakao firmy Veneer...? taką sprawę prowadzi przecież Mokotów! - wykrzyknął porucznik i opowiedział Koroszo- wi, jak przypadkowo został tłumaczem holenderskiego plantatora kwiatów. - Dokumenty z komory celnej miał na blachę, opłacił cło co do złotówki... Nie mógł odżalować nasion storczyków, no i jeszcze kamery filmowej, którą po drodze zakupił w Bremie. Kakao i nasiona wiozł dla podobnego jak i on cudaka na Czerniaków, a tam zrabowali mu te skarby. Gangster!!! Gangsteer!!! - naśladował oburzenie Holendra.

Inspektor zażądał z komendy dzielnicowej akt dochodzenia w sprawie napadu na Van der Meneera. Przejrzał dokładnie wszystkie dokumenty, znajdujące się w grubej teczce.

- O rany! Zabrano mu osiemdziesiąt kilogramów kakao marki Veneer w opakowaniach kilogramowych. Dlaczego mi o tym dotychczas nic nie mówili? - zawołał z pretensją.

- Widać, że pan major nie czytuje codziennych biuletynów wydawanych przez komendę miasta. Rozumiem, to nie najciekawsza lektura, ale nawet wyżsi oficerowie powinni to czytać - złośliwie zauważył Cieślik.

- Cholera, rzeczywiście nie czytałem - mruknął inspektor.

Korosz skonfrontował posiadane dotychczas informacje: włamanie do SAM-u, nieudana kradzież w Delikatesach, zatrucie Kowalskiej, napad na Holendra - we wszystkich przypadkach występuje holenderskie kakao marki Veneer w kilogramowych pudełkach.

Przypadek, nic nie znaczący zbieg okoliczności? Być może. Ale jeżeli nie, to co to znaczy?

Jego wieloletnia praktyka śledcza podpowiadała mu, że trafił na jakiś sygnał, wątlutką nić, która może się zerwać, ale która przy umiejętnym postępowaniu może również doprowadzić do wyjaśnienia zupełnie niebanalnej historii...

- Zanim zajmiesz się bazarem, zbierz informacje o przyjacielu Holendra z ulicy Szkarłatnej - polecił wywiadowcy.

Po kilku dniach kierownik służby X zameldował się u majora.

- Doktor Adam Brożek, specjalista od uprawy kwiatków i najpiękniejszego koperku. Duży ogród, oranżeria, szklarnie, inspekty. Trzy złote medale na wystawach zagranicznych, wszystkie za storczyki. W Amsterdamie, w Paryżu i w Belgii na EXPO. Znakomitość wśród badylarzy. Podobno na tych kwiatkach najlepiej zna się w Polsce on i jeszcze jeden profesor z Krakowa. Pewno major nie ma bladego pojęcia, co to za zielsko. Więc proszę uważnie słuchać, Cieślik wszystko wie, wszystkiego nauczy. Otóż są to rośliny storczy- kowate albo orchidee, rodzina zielnych, jednoliściennych. Przeważnie podzwrotnikowe. Budowa grzbiecista, uważa major? Grzbiecista! Mają warżkę i ostrogę. Jest tego około piętnastu tysięcy gatunków. W Polsce dziko występuje tylko czterdzieści siedem odmian. Ubóstwo! Cierpimy na permanentną monotonię storczyka...

- Wczytałeś to, Cieślik, w Małej Encyklopedii - przerwał inspektor. - Tyle to ja też wiem.

- No, to obaj jesteście wybitnymi botanikami i ekspertami od storczyków - wykrzywił się wywiadowca. - Wracając do ogrodnika; facet zamożny, z opinią bardzo porządnego człowieka. Oprócz storczyków, samych delikatesowych jarzyn sprzedaje w zimie za ładnych kilkaset tysięcy złotych. Już teraz w grudniu dojrzewają u niego ogórki, pomidory, szparagi, truskawki. Opchnie to za grubą forszę przed świętami, a później aż do lata będzie miał nie najgorsze dochody. Ma już umowy z kontrahentami. Zatrudnia sezonowo ludzi, ale sam ryje się na równi z nimi od świtu do nocy. Córka studiuje ogrodnictwo, żona-dewotka nie hańbi się żadną pracą. Ostatnio Brożek dniami i nocami przygląda się, jak kiełkuje nowa piętnaście tysięcy i pierwsza odmiana storczyka - fantazjował porucznik. - Podobno jest u progu rewolucji i przewrotu w tej dziedzinie. Badylarze z całego świata pękną z zazdrości...

- Cieślik, do rzeczy, mnie interesuje kakao - zniecierpliwił się major.

- Cały czas mówię do rzeczy - obruszył się porucznik. - Rysuję majorowi tło i za to proszę mi pięknie podziękować.

Otóż on tego nowego storczyka hoduje na gruncie nawożonym przez... k a k a o ! - Cieślik zrobił efektowną pauzę.

- Niemożliwe! - nie mógł uwierzyć inspektor.

- Niech zjem własną kaburę od pistoletu, jeżeli to nieprawda. Miesza gówno, przepraszam, nawóz z tym artykułem i sadi w nim storczyki. Mój chłopak musiał się zdrowo namęczyć, zanim zdobył garść tego cymesu. Ogrodnik, jak wspomniałem, zatrudnia teraz więcej ludzi, więc podesłałem mu podwładnego. Mój pracownik przez kilka dni mieszał tam to paskudztwo, że hej! Pracuje u Brożka dziewczyna, którą dzielnicowy typował do napadu na Holendra - Magda, z bratem półgłówkiem. Ta wściekła kocica, jak zobaczyła, że mój chłopak chciał wziąć trochę tego kakao, to zaprawiła go widłami i wrzasnęła: - nie bierz, durniu, bo dostaniesz sraczki. To niejadalne, to preparat, i wymądrzała się na temat właściwości mieszanki. Ale z pyskiem do Brożka nie poszła, tylko pouczyła mi jeszcze podwładnego, że tu się nie kradnie. Po tej lekcji mój pracownik stał się ostrożniejszy i trzymał się od niej z daleka. Dziewczyna jest chyba przywiązana do ogrodnika... Zabiedzona szczeniara, z nielekkim życiem i ciężką opinią...

- Gdzie jest to preparowane kakao? - znów zniecierpliwił się inspektor.

- Cieślik ma ten skarb - pochwalił się wywiadowca; wyjął z kieszeni i położył przed majorem zawiniątko opakowane w plastikowy woreczek.

Spreparowane kakao natychmiast oddano ekspertom; porucznik, równie jak major ciekawy wyników, oczekiwał na ekspertyzę i bawił Korosza opowiadaniem o obyczajach panujących w rodzinie Brożka.

- Pani Niusia Brożkowa jest patologicznie skąpa. Robotnicy pracujący u niego na dniówkę otrzymują również obiad. Te obiadki podaje służąca, a babsko siedzi, patrzy jej na ręce i sama serwuje porcje. Do zupy wydziela po dwie kromki chleba na twarz, krojone maszynką, więc skibeczki przezroczyście. Pieczywko stareńkie, można ząbki połamać.

Wiadomo, świeże nie da się tak ekonomicznie pokroić. Do robotników zwraca się: niech weźmie, niech pójdzie. Brożek nic nie mówi, razem z ludźmi siada na werandzie - bo tam się odbywa ta obiadowa heca - i siorbie cienką zupkę. Następnie idą wszyscy do oranżerii, tam czeka kosz pełen kielbasy i bułek. Dostarcza to córka albo ta wściekła kocica. W ten sposób ogrodnik, cichcem przed swoją megerą, dokarmia ludzi, którzy ciężko pracują. Robotnicy go chwalą, że dobry, tylko straszny pantofel...

Biegły przyniósł gotową analizę preparatu.

- ...% kakao, ... % mocznika, ...% azotu, ...% gnilnych cząsteczek roślinnych, ... % obornika - szczegółowo wyliczył ekspert.

- Uspokój się z procentami - przerwał Cieślik. - Gówno to gówno, procenty nic tu nie zmieniają.

- Ty prymitywie - mruknął bez złości biegły.

- Wyjaśnij przystępniej - poprosił major. - W sprawach agrarnych jestem noga.

- Mieszanka kakao, kompostu, nieco obornika. Największa część mocznika nawozowego. Jest to preparat zawierający na sto kilogramów mocznika koło czterdziestu sześciu kilogramów czystego azotu. Stosuje się na wszystkie gleby i pod wszystkie rośliny, w przedsięwzięciu i pogłównym nawożeniu. Zawiera azot łatwo przyswajalny dla roślin. Ten preparat może być mieszany ze wszystkimi nawozami bezpośrednio przed wysiewem. Największy jego producent to Zakłady Azotowe w Puławach.

- To jest trujące? - dowiadywał się inspektor.

- Tak. Szkodliwe dla zdrowia. Dlatego jest granulowany. To znaczy, produkowany w kryształkach. Wówczas przy nawożeniu nie wydziela pyłu, który wdychaliby ludzie.

- A gdyby ten mocznik wymieszać z kakao i zjeść? - zaproponował major. - Można się otruć?

- W zależności od proporcji, można popaść w niedyspozycję żołądkową, można ulec ciężkiemu zatruciu, a również śmiertelnemu.

Inspektor wyjął pudełko kakao kupione u Antczaka. Poprosił

eksperta, aby zrobił z niego trzy różne mieszanki z azotem o odpowiednich proporcjach i wypróbował na królikach.

Wszyscy trzej pojechali do Zakładu Kryminalistyki.

Ekspert sporządził preparat i podał go dwóm różnym zwierzątkom. Po upływie przewidzianego przez niego czasu zajrzeli do klatek.

- Proszę, laksuje - biegły wskazał szarego królika, który otrzymał najmniejszą dawkę trującej pożywki.

- Rzeczywiście, niezwykle, laksuje zamiast bobkować - natrząsał się Cieślik. - Dajcie spokój tym zwierzątkom -- zawołał na widok białego kłapoucha, który zdradzał objawy ciężkiego zatrucia.

Ekspert zajął się zdrowiem białego zwierzątka. Trzeciej kombinacji azotu z kakao nie wypróbowywano, wiadomo było, że królik od niej padnie.

Major zabrał trzy oznakowane próbki spreparowanego kakao.

Oglądał te mieszanki i nie mógł nadziwić się, że Amelia Kowalska mogła coś takiego użyć do wypieku ciasta. Szare granulki azotniaku widoczne były gołym okiem i zmieniały całkowicie zapach, konsystencję oraz barwę produktu.

Zaprosił jednak panią Kowalską i sprezentował jej mieszankę numer dwa - tą, która sprowadziła na białego królika ciężkie zatrucie.

- Czy tak wyglądało kakao, z którego upiekła pani ciasto? - podsunął jej otwarte pudełko.

- Nigdy nie użyłabym takiego świństwa! - wykrzyknęła z obrzydzeniem pani Kowalska.

Po pewnym czasie komenda dzielnicowa na Pradze przysłała majorowi kartkę przyniesioną przez Antczaka, na której widniały personalia i adres dostawczym zatrutego artykułu.

Dane okazały się - co nie zaskoczyło inspektora - nieprawdziwe. We wskazanym domu nie mieszkała żadna kobieta o takim nazwisku.

Sprawdził w Biurze Adresowym. Pań o podanym nazwisku wyszukano mu ponad pięćdziesiąt - nazwisko należało do popularnych. Major gwoili skrupulatności podjął ten wątpliwy ślad. Niestety, wśród tylu kobiet żadna nie otrzymywała paczek

z zagranicy.

Zastanawiał się, czy nie należy dokonać konfrontacji tych kobiet z Antczakiem, zrezygnował jednak z tego zamiaru. Doszedł do wniosku, że handlarz, nawet gdyby rzeczywiście rozpoznał którąś z nich, nie wskaże jej milicji.

Wstąpił do Lisa i opowiedział mu o nowych okolicznościach sprawy.

- Ogrodnik podobno stosuje kakao jako odżywkę w czasie wegetacji orchidei. Sądziłem, że zrabowane Holendrowi kakao było spreparowane z azotem, przez paserów trafiło na bazar i stąd zatrucie Kowalskiej. Ale w dalszym ciągu zastanawia mnie związek zachodzący między wypadkiem Van der Meneera, włamaniami i Antczakiem. To może być zwykły zbieg okoliczności, ale kakao we wszystkich tych sprawach było jednej marki i w identycznych opakowaniach.

- Interesujące - przyznał Lis. - Andrzej, a może kakao Holendra zawierało inny preparat niż azot? Nie psujący jego wyglądu i zapachu w takim stopniu jak mocznik, a równie trujący?

- Van der Meneer nic o tym nie wspominał, gdy składał zameldowanie o rabunku - powiedział inspektor.

- Może myślał, że to jest zrozumiałe samo przez się? - zastanawiał się pułkownik. - Przecież bez przerwy powtarzał Cieślikowi, że jest plantatorem, a nie akwizytorem kakao... Może tak się przejął stratą bezcennych bulw storczyka, że taki drobiazg jak niejadalne kakao wyleciał mu z głowy..

- Utrzymywał, że to prezent dla polskiego ogrodnika.

- Wcale sensowny prezent dla faceta, który również zbiera złote medale za nadzwyczajne i rzadkie odmiany orchidei. Może to jakaś fenomenalna mieszanka odżywki, na którą wpadł Holender, a Brożek jeszcze nie...

- Jeżeli to był preparat ogrodniczy, to dlaczego Holender przewoził go w firmowych pudełkach fabryki Veneer? Nie wygodniej w plastikowym szczelnym worku?

- Rzeczywiście, jest w tym jakaś sprzeczność... - przyznał Lis.

- A może pogadać z Brożkiem? - zaproponował inspektor.

- Najpierw skonsultuj się z jakimś specjalistą, znającym się na uprawie storczyków - poradził Lis. - Inaczej nie znajdziesz wspólnego języka z fachowcem...

Major zaczął edukację na temat orchidei od tego, że wypożyczył od dwunastoletniego syna pułkownika Lisa Atlas Państwa Roślinnego, wydany w 1900 roku nakładem Arcta. Dowiedział się z niego, że storczyki to: rząd siódmy, szyjkowate *Gymandrae* i lubią rosnąć na glebach wapiennych. Poza tym znalazł tam mnóstwo innych frapujących szczegółów, ale o nawożeniu kakao nic nie wspomiano.

Nawiązał więc kontakt ze specjalistą w tej dziedzinie. Tamten zapytany, czy możliwe jest stosowanie kakao jako nawozu pod orchidee, nie okazał zdziwienia. Orzekł, że wprawdzie o tej metodzie nic nie słyszał, ale rzecz jest teoretycznie możliwa, ponieważ kakao jest substancją organiczną i rozkładając się może zasilić glebę. Ponadto ludzie eksperymentują i właśnie z eksperymentów i pasji zapaleńców wzięły się najróżniejsze odmiany szlachetnych roślin. Zgadza się, że bywają i maniacy, jak na przykład ten, który pod krzewy róż sypał ultramarynę, oczekując, że wydadzą one błękitne kwiaty. Ale wszelkie doświadczenia to rzecz ludzka i chwalebna.

Z takim to skromnym zasobem wiedzy major Korosz pojechał do Adama Brożka.

Zawiadomił, że prowadzi dochodzenie w związku z napadem na Van der Meneera, i zapytał wręcz, z jakimi składnikami ogrodnik przygotowuje kakao.

Doktor podał te same nawozy sztuczne i naturalne, jakie ustalili eksperci, badający próbkę zdobytą przez wywiadowcę Cieślika w ogrodnictwie Brożka.

- Z czym było preparowane kakao, które zrabowano Holendrowi? - zapytał major.

Ogrodnik wyjaśnił, że z pewnym rodzajem - produkowanego w Holandii - wapnia i azotu. Cudzoziemiec prowadził doświadczenia u siebie w Eindhoven, gdzie mieszka, i przyjechał do Warszawy podzielić się ciekawymi wynikami oraz skonsultować z pracami badawczymi, prowadzonymi w tym samym kierunku przez doktora. Od lat obaj

korespondują ze sobą wymieniając najdrobniejsze nawet spostrzeżenia i pomysły eksperymentatorskie.

- Storczyki to niepokojąco ciekawe rośliny, można się w nich zakochać - powiedział Brożek prowadząc inspektora do oranżerii.

Wewnątrz pod szklaną kopułą dachu, wśród wilgotnego upału i światła silnych jodowych lamp, kwitły podzwrotnikowe kwiaty.

Major przystanął z wrażenia. Gama odcieni i różnorodność kształtów tych zadziwiających, rzadkich roślin urzekła bogactwem. Zdawało się, że te wspaniałe kwiaty to ostateczny wysiłek natury.

Brożek pochylił się nad kwiatem prawie brunatnym w kolorze; w głębi kielicha jaśniejsza od niego warzka usiana była rudymi cętkami.

- Tę odmianę - doktor wymienił łaciński termin - chcemy rozjaśnić, aby była w ciepłym odcieniu jasnozłocistego brązu. Van der Meneer wypraktykował pewne proporcje kombinacji kakao z preparatami chemicznymi. Ustalił w drodze wielu doświadczeń ściśle dawki mieszanki i sposób jej dozowania. Bulwy i nasiona, które mu skradziono, były już wyhodowane na tej pożywce.

- Dlaczego nie poinformowaliście, panowie, milicji, że ten preparat j est trujący?

- Substancja o niewielkiej szkodliwości - lekko powiedział ogrodnik. - Trzeba byłoby zjeść tego naraz co najmniej pół kilograma, żeby wystąpiły objawy zatrucia.

- Zdarzył się wypadek ciężkiego zatrucia... - inspektor poinformował o chorobie Amelii Kowalskiej i o swych przypuszczeniach, że przyczyną tego było kakao skradzione Holendrowi.

- To niemożliwe - z przekonaniem zaprzeczył Brożek. - Taka mieszanka już samym zapachem i konsystencją bardzo niewiele przypomina kakao, a wystarczy wziąć ją na czubek języka, aby zniechęcić się do zjedzenia. Między innymi również dlatego byliśmy spokojni, że o zatruciu ewentualnych klientów złodzieja nie ma mowy. Może być

pan przekonany, że ten, kto ukradł pożywkę, nie miał z niej najmniejszej korzyści. Jej przeznaczenie może poznać tylko doświadczony ogrodnik, specjalizujący się w uprawie orchidei. Van der Meneer przysłał mi niedawno preparat wapienno-azotowy, taki sam jak ten, który znajdował się w skradzionym kakao. Zawiera on jeszcze szereg innych składników, wyliczaniem ich nie będę pana nudził... A zresztą proszę się przekonać...

Poprowadził inspektora do niepozornie wyglądającej grządki.

- Tu są zasadzone bulwy - wyjaśnił ogrodnik. - Jeszcze nie ukazały się kielki.

Następnie zaprosił majora do innej części rozległej szklarni, gdzie na długim stole mieściły się najróżniejsze przyrządy podręcznego laboratorium. Zdjął z półki kilogramowe pudełko kakao firmy Veneer. Na oczach inspektora rozpieczętował je i zerwał srebrną cynfolię znajdującą się pod wieczkiem. Przesypał zawartość do szklanego słoja i sprawdził ciężar na precyzyjnej wadze. Później z białych fajansowych pojemników czerpał różne szare i białe substancje, ważąc je i skrupulatnie mieszając. Na dużym arkuszu papieru odnotował w poszczególnych rubrykach dzień, godzinę i wagę użytych preparatów. U góry strony - gęsto pokrytej podobnymi notatkami - widniało łacińskie słowo: CYPRIPEDEAE. Major wiedział, że jest to nazwa podrodziny tych wspaniałych kwiatów tropiku.

Doktor pokazał inspektorowi gotowy preparat. Różnił się nieco od tego, który dostarczył mu Cieślik, ale inspektor musiał przyznać, że nikt nie mógłby wziąć tego kakao i użyć zgodnie z jego spożywczym przeznaczeniem.

Ogrodnik znowu powiódł majora do szkółki; z wielką uwagą rozsiał mieszankę na grządce. Małymi grabkami ostrożnie rozproszził ją po brunatnej ziemi.

- Dlaczego używa pan do doświadczeń kakao właśnie tej firmy?

- Van der Meneer, stosując preparaty złożone z określonych składników, doszedł już do pewnych bardzo ciekawych wyników. Wyhodowanie nowego gatunku rośliny nie odbywa

się z dnia na dzień, czasami trzeba poświęcić na to lata. Często praktyka lat okazuje się bezowocna i trzeba zaczynać od początku. Dlatego w tej dziedzinie, jak zresztą w każdej, gdzie w grę wchodzi żmudna praca badawcza, nie lekceważy się drobnych nawet osiągnięć, sprawdzonych i udokumentowanych przez kogoś. Chcę potwierdzić jego obserwacje, a w tym celu muszę ściśle stosować się do jego receptury, być może wydającej się laikowi śmieszną lub dziwną. Gdy uzyskam zmianę cech rośliny, jaką uzyskał mój holenderski kolega, zastosuję pewne zmiany i kombinacje, do których doszedłem sam. Szanuję i bardzo się liczę ze zdaniem Van der Meneera. On hoduje kwiaty jako przedstawiciel piątego pokolenia w swej rodzinie. Oprócz studiów i wiedzy praktycznej dysponuje przekazami i notatkami prawie trzechsetletniej tradycji. Ma ten zawód we krwi, a takiego dorobku ja nie lekceważę...

Major zaczął żegnać ogrodnika. - Chwileczkę - zatrzymał go tamten. Podszedł do kępy pysznych kwiatów i ostrożnie wyjął wraz z grudą ziemi wysmukłą roślinę o wielkich, płomiennopurpurowych kielichach. Zręcznie osadził ją w ceramicznej doniczce, uzupełnił próchnicą, opakował w celofan i jeszcze w pergamin.

- To dla pana - podał mu kwiaty. - Będzie długo kwitł... Mam do pana prośbę - powiedział z wahaniem - o zachowanie dyskrecji na temat moich doświadczeń. Już bardzo długo pracujemy z Van der Meneerem nad wyhodowaniem tej nowej odmiany... chcielibyśmy ze swej pracy mieć trochę satysfakcji, no i... pieniędzy.

- Ooo! major wziął łapówkę, poskarżę Lisowi - zawołał Cieślik na widok orchidei, którą rozpakował major. - Ależ to piękne zielsko! - niekłamanie zdziwił się wywiadowca. - Szkoda, żeby się tu marnowało - rozejrzył się po gabinecie Korosza. - Wie major co? Ja wezmę tę doniczkę, mam zupełnie nową dziewczynę, podaruję jej to egzotyczne чудо i za jednym zamachem zdobędę opinię wytwornego mężczyzny o subtelnym, wyrafinowanym smaku, co?... One to lubią...

- Co lubią? - ożywił się Korosz.

- Eleganckich, prawdziwych mężczyzn, takich jak ja - napu-
szył się porucznik - bowiem jest to już gatunek wymierający.

- Prawdziwy mężczyzna nie potrzebuje przekupywać dziewczyny orchideą - orzekł major. - Co się dzieje na bazarach, Cieślik?

- Przedświąteczny ruch - ostentacyjnie ziewnął wywiadowca.

- Nawet udało mi się sprzedać dwa pudełka kakao jednej przekupce, ale dostałem marną cenę. Lisowi grozi bankructwo, jeżeli major uprze się, abym dalej robił takie interesy. Nikt poza handlarkami z „ręczniaka” nie chciał nawet słyszeć o kupnie mego przedniego towaru. Hyr poszedł już dawno po bazarze, że to trujący artykuł, interesujący milicję. Antczak, jak usłyszał nazwę Veneer, to o mało nie dostał apopleksji... Ja usiłowałem sprzedawać, a mój podwładny zakupić, nawet dobrze płacił. Więc nie powiem, zaraz sprzedano mu całe dwa pudełka... te ode mnie. Więcej nikt nie miał na zbyciu cymesu pod tytułem: Veneer. Antczak prawie płakał i klął się na szczęście dzieci, że już nigdy tego artykułu nie nabędzie, bo milicja robi mu z tego powodu koło nogi - to jego oryginalne wyrażenie - i prawdopodobnie spowoduje odebranie koncesji.

Major był z siebie bardzo niezadowolony, gdy spokojnie, na zimno przemyślał rozmowę z Brożkiem. Specjalistyczne informacje ogrodnika, podane w tak sugestywnej scenerii, zamąciły mu do reszty pogląd, który usiłował wyrobić sobie na tę sprawę. Jedno jednak wydawało mu się prawie pewne: mieszanka Holendra nie była tak niewinna, jak to chciał zasugerować Brożek. Preparat ten musiał mieć jednak inny wygląd i zapach, a więc zmieszany był z innymi składnikami niż wapień i azot.

Formalnie oddzielił perypetie Van der Meneera od włamań i Antczaka, jednak nie mógł pozbyć się wrażenia, że gdzieś - z nie znanych mu przyczyn - łup zrabowany Holendrowi ma wpływ na wydarzenia w SAM-ie i Delikatesach i wszystko to razem łączy się z zatruciem Kowalskiej.

- Gdybym miał chociaż jedno jedyne pudełko z tych, które przywiózł Van der Meneer - powiedział do porucznika.

- To nie trzeba było łązić na bazar i straszyć handlarzy - natarł na niego Cieślik, zły, że jego wyprawa na Skaryszewską nie przyniosła żadnych rezultatów. - Teraz bazar mamy nieodwołalnie spalony...

- Moje rozmowy z Antczakiem nic już nie zepsuły. Zresztą zarówno Brożkowi, Antczakowi, jak i Kowalskiej przedstawiłem się jako oficer z komendy dzielnicowej, więc ten sam szczebel...

- Jeśli szczebel z uporem maniaka poszukuje tego samego trefnego artykułu, to mają się już na baczności, proszę szczebla. Oni nie lekceważą dzielnicy, ponieważ na szary „co dzień” to dzielnica patrzy im na ręce, to właśnie dzielnica wyławia kradziony towar, a nie kto inny...

- Powtarzam, że moja interwencja już nic nie zaszkodziła - podkreślił Korosz. - Mokotów szukał na bazarach rzeczy zrabowanych Holendrowi, w tym i kakao - to raz. Wywiadowcy i mundurowi szukali łupu z moich dwóch włamań, w tym kakao - to dwa. Rewizja na Utracie i Bródnie? Również występował artykuł firmy Veneer. Awantura Kowalskiego, jaką zrobił Antczakowi po zatruciu żony, zwracając mu właśnie kakao tej marki. Wystarczy?

- Co to za problem, majorze - ostentacyjnie ziewnął Cieślik - kradzione kakao? Zatrucie tej babki to sprawa wątpliwa. Jakby rzeczywiście przeszło przez bazar osiemdziesiąt kilo zatrutego kakao, to nie ma cudów, ktoś jeszcze musiałby się zatruc albo nawet umrzeć. Nie wierzę, żeby to grube babsko było jedynym obzartuchem w Warszawie. No, niech major weźmie to na zdrowy rozsądek...

- A ja dałbym wszystkie pieniądze za jedyne pudełko oryginalnego kakao, zrabowanego Holendrowi - upierał się inspektor. - Wówczas prawdopodobnie wiedziałbym, czym, jakim preparatem zatrąła się Kowalska i z czystym sumieniem zamknął tę być może błahą sprawę.

- Proszę bardzo - Cieślik postawił przed majorem pudełko z brązową nalepką. - Proszę rozpoznać jego pochodzenie, równie dobrze może być Holendra.

Inspektor zniecierpliwiony odsunął przedmiot.

- Sugestia - skrzywił się wywiadowca. - Major wie, że kupiłem je w Delikatesach, i stąd te grymasy. Gdybym powiedział, że zdobyłem je u pokątnego handlarza, już major patrzyłby w nie jak sroka w gnat i snuł domysły na temat jego tajemniczej zawartości oraz związku ze sprawą, której... nie ma.

Korosz nie odpowiedział i zaczął wertować akta włamania do SAM-u. Skończył już oddzielanie winy włamywaczy od nadużyć obrotowego kierownika sklepu i dochodzenie kierował do prokuratury.

- Idę - podniósł się Cieślik. - Widzę, że major cierpi bóle porodowe. Urodzi się z tego ani chybi jakiś pomysł nie z tej ziemi, który dostarczy Stasiowi - z pieszczotliwym westchnieniem porucznik wymówił swoje imię - tysiąca powodów do radosnej twórczości.

Wywiadowca, który doskonale znał inspektora, nie mylił się.

Jak trafić na kakao Holendra? - biedził się Korosz. Pragnienie zdobycia i zbadania właściwości nieosiągalnego preparatu nie dawało mu spokoju, a trudność przedsięwzięcia podniecała i wzmagala upór.

Inspektor był przekonany, że kakao Van der Meneera za pośrednictwem bazaru trafiło już do konsumentów w różnych częściach miasta. Jak je zdobyć i jak rozpoznać?

Ogłosić w prasie, że trucizna? - Nie. Na to nikt nie wyrazi zgody. Wyniknie z tego panika, stugębna plotka, ludzie zapomną, że przestrzegano ich tylko przed kakao kupionym na bazarze i zaczną unikać artykułu tej marki, sprzedawanego w sklepach. Spowodować to może szkody ekonomiczne i złą, niezasłużoną opinię o handlu.

Do celów badawczych wystarczy minimalna nawet ilość - szedł za tokiem swoich myśli - odrobina, dziesiąta część miligrama, tyle co przyłgnie w spojeniach dna pudełka...

- Pudełka! - wykrzyknął głośno i zerwał się z fotela; właśnie ekspertyza pudełka da niezbity pewność, że produkt pochodzi prosto z Holandii, a nie z hurtowni w Poznaniu.

Przecież kakao przywiezione przez Van der Meneera znajdowało się w oryginalnych pudełkach firmy. Polskie

opakowania na pozór nie różnią się niczym od holenderskich. Ale gdy podda się badaniom stop metalu, z którego wykonano pudełka polskie i holenderskie na pewno wystąpią różnice.

Czy na pewno? - zaniepokoił się inspektor, przypominając sobie klauzule umowy, w której firma Veneer zastrzegła sobie szereg szczegółów, dotyczących eksportowanego towaru. A jeżeli ci pedantyczni Holendrzy podyktowali również składniki i proporcje surowców, jakie mają być użyte do produkcji opakowań?

Zadzwoił do Ministerstwa Handlu i poprosił o zapoznanie go z tą częścią umowy, która traktowała o opakowaniach.

Dowiedział się, że eksporter zagwarantował sobie tylko ich kształt, natomiast nie stawiał żadnych warunków, dotyczących rodzaju metalu.

Major poprosił informującego go urzędnika, aby pomógł mu zdobyć jedno pudełko kakao Veneer w oryginalnym holenderskim opakowaniu.

- Dobrze - zgodził się tamten. - Interesuje pana różnica między produkcją opakowań - domyślił się. - Będziemy czytali o nowej aferze? - zażartował.

- Bardzo możliwe - przyznał major.

- Zadzwonię do naszego radcy handlowego w Hadze, zrobi nam tę grzeczność i przyśle, co potrzeba.

- Dwa razy daje, kto szybko daje - westchnął major. - Będę bardzo zobowiązany, jeżeli przesyłka będzie ekspresowa i do tego pocztą lotniczą. Wszelkie z tym związane koszty...

- To drobiazg - uspokoił go urzędnik. - Jeszcze dziś zadzwonię do Hagi.

Major wezwał Cieślika; zgodnie z przewidywaniami wywiadowcy miał dla niego nowe zadania.

- Potrzebne mi jest chociaż jedno pudełko zrabowane Van der Meneerowi...

- Pomyśl taki więcej przepiękny, nic dodać, nic ująć - bez entuzjazmu pochwalił wywiadowca. - Brakuje tylko drobiazgu, jednego holenderskiego pudełka, znalezione go powiedzmy u pasera, albo najlepiej u tego gangstera, który

napadł Holendra.

- To właśnie ty znajdziesz mi to pudełko - podkreślił Korosz.

- Nie wymagam, żebyś zaraz przyprowadzał mi gangstera. Wystarczy skromne pudełko.

- To może major też już wie, w jaki sposób je znaleźć?

- Wiem. Na śmietnikach, w punktach skupu złomu, wreszcie jako domokrażca skupujący pudełka o określonym kształcie - wyliczył major.

Cieślika zatkało - szczególnie wzmianka o śmietnikach.

- Należy także poszukać ich u Brożka - ciągnął major. - Wprawdzie kakao Van der Meneera nie trafiło do niego, ale być może ogrodnik otrzymał je od cudzoziemca teraz po powrocie tamtego do Eindhoven.

- Nonsens! - odzyskał głos Cieślik. - Skoro takie kakao można kupić w Warszawie w każdej ilości, to kto z wszystkimi klepkami będzie się bawił w przesyłki.

- Nie taki znowu nonsens - obruszył się major - skoro facet osiemdziesiąt kilogramów tego artykułu wiozł przez kilka granic.

- Po co utrudniać życie sobie i innym? Major bawi się w konspirację zupełnie niepotrzebnie. Po co te śmietniki? Zwyczajnie należy pójść do badylarza i poprosić o jedno oryginalne pudełko. Sprawa jest prosta jak parasol!

- Do Brożka nie pójdę! Przestał mi się podobać... Wydaje mi się fałszywy... - z rezerwą powiedział inspektor. - Nie wierzę w storczyki hodowane na pożywe z holenderskiego kakao...

- Jak ja do niego dotrę? - zmartwił się Cieślik. - Sezon na pracowników w ogrodnictwie minął, zacznie się dopiero w końcu stycznia... Pies tam wielki jak cielę, zły... Nawet w śmietniku nie będę mógł pogrzebać bezpiecznie i cicho.

- Cieślik, mnie nie obchodzi, w jaki sposób to zrobisz - uciał inspektor. - Ty jesteś od tego i masz wykwalifikowanych ludzi... Masz mi bezszmerowo dostarczyć pudełka i... kropka.

- Major jest od genialnych pomysłów - prychnął Cieślik. - Ale ten najświeższy to się kupy nie trzyma. Jeżeli nie uda mi

się uzyskać pudełek od ogrodnika, to ile my tego szmelcu będziemy musieli dostarczyć? Ciężarówką będziemy wozić. Proszę bardzo, ja mogę zamienić dziedziniec komendy na punkt skupu blaszanek. Eksperci przeklną majora i będą mieli rację, osiwieją badając i porównując stopy metalu. Kolosalny nakład pracy wielkiego zespołu ludzi, masa pieniędzy, czasu i w jakim celu? Ponieważ jedno grube babsko przytruło się nieco albo zachorowało z przeżarcia. Wymyśliła, że zaszkodziło jej kilo, k i l o ! kakao. Więc major dostał szmergla i już jest na tropie, czego? Ja nieśmiało pytam, CZEGO? Szajki zboczeńców, trucicieli-amatorów, sprawców zbrodni doskonałej? Boki zrywać albo płakać. Niech spuchnę, jeżeli Lisek zgodzi się na te szaleństwa. Szczęście, że jeszcze jest ktoś nad majorem, kto ma jako tako równo pod sufitem.

Inspektor nie poczuł się dotknięty obcesową krytyką Cieślika. Porucznikowi rzeczywiście pomysł majora wydawał się chybiony, poza tym bronił się przed nieefektywną i żmudną pracą, bowiem nie wierzył w jej wyniki.¹

- Lis nie znosi strzelania z armat do wróbli! - zasłaniał się wywiadowca autorytetem pułkownika. - A major właśnie to chce robić...

Korosz rozmyślał o tym, co głośno powiedział Cieślik. Czy Lis zgodzi się na jego eksperymenty? Ale pułkownik wysłuchał projektu inspektora.

- Andrzej, odpowiedz mi na jedno pytanie - poprosił spokojnie. - Czy wiesz, co pragniesz tą drogą uzyskać? Jaki masz cel? Przyjmę hipotezę nawet najbardziej fantastyczną, ale żeby przynajmniej była...

- Chcę dowiedzieć się, jaki jest związek między zatruciem Kowalskiej i preparowanym kakao firmy Veneer, napadem na Holendra i włamaniami do sklepów oraz wykupowaniem kakao przez handlarzy z bazaru - odpowiedział major.

- A jeżeli to nie ma ze sobą żadnego związku?

Inspektor milczał.

- Przecież ty nie bardzo umiesz sprecyzować, o co ci chodzi, jakie masz podejrzenia?

- Masz rację - szczerze przyznał major. - Natomiast jestem głęboko przeświadczony, że Kowalska zatrula się dziwnie spreparowanym kakao i ten preparat na pewno niczym nie przypominał mieszanki, którą mi pokazywał Brożek.

- Andrzej - westchnął Lis - dobrze, dam ci wolną rękę w tej sprawie.

- Chcę mieć środki na przeprowadzenie poszukiwań przez miesiąc - spojrzął na wyraz twarzy Lisa i zmniejszył czas do dwóch tygodni. - Jeżeli przez ten okres nie trafię na ślad preparatu, zaniecham dalszej roboty. Nie wspomnę o tym cholernym kakao. Słowo!

- Bierz Cieślika na miesiąc - zgodził się pułkownik. - Ale po tym terminie, jeżeli w dalszym ciągu będziesz tyle wiedział, co teraz, naprawdę więcej nie chcę o tym słyszeć - podkreślił stanowczo.

- Stary zwariował! - orzekł Cieślik, gdy usłyszał od majora wiadomość o udzieleniu przez pułkownika zgody na proponowane eksperymenty.

3.

TRUCICIELE?

- Panie Hilarczyk, jak pragnę zdrowia, skąd pan to kakao wytrzasnął? - zapytał Antczak i wręczył Tacie zostawione przez Kowalskiego pudełko.

- Czy ja pana wypytuję skąd pan bierze towar? - zdziwił się paser.

- Pan mnie źle zrozumiał, panie Hilarczyk - skwapliwie zastrzegł się handlarz i opowiedział o chorobie Amelii Kowalskiej, dodając swoje niewesołe przewidywania w tej sprawie na przyszłość.

- To nie z przeżarcia - podkreślił. - Z przeżarcia nigdy nie wyjdzie ciężkie zatrucie i pompowanie walizki, naj wyżej niestrawność, zgaga lub kolka.

- Masz jeszcze to kakao? - dowiadywał się Tata.

- Wszystko poszło - westchnął straganiarz i znowu zalała go fala niepokoju, gdy wyobraził sobie innych zatrutych klientów.

- Antczak, wypuść cykorię, nie wiadomo, od czego babsko zachorowało. Jeżeli mogła zjeść za jednym przysiadem placek prawie z kilograma kakao, to równie dobrze mogła przed tym opchnąć pęto nieświeżej kiełbasy albo swędlivego dorsza. Legendę na towar masz, towar sprzedałeś...

- Oddałem facetowi forszę, żeby się nie rzucał - westchnął mnąc czapkę.

Hilarczyk wyjął banknoty i podał je handlarzowi. Tamten wzbraniał się, ale w końcu pieniądze przyjął.

- Nie martw się - powiedział paser na pożegnanie - rozejdzie się ta chryja po kościach. Szpital nie ma obowiązku meldowania milicji o każdym płukaniu żołądka.

Antczak opuścił mieszkanie na Brzeskiej znacznie podniesiony na duchu.

Gdy Hilarczyk został sam, przysunął pudełko pozostawione przez handlarza. Otworzył wieczko i roztarł w palcach brązowy pył. Powąchał, szczyptę długo smakował na języku. Ani zapachem, ani smakiem nie różniło się od zwykłego kakao, niczym nie zdradzało swoich trujących właściwości.

Hilarczyk zrozumiał, że klientka Antczaka zatrula się właśnie tym. Nie miał jednak najmniejszego zamiaru dzielić się z kimkolwiek swoim domysłem, a już najmniej z handlarzem.

Do całej wiedzy Hilarczyka o kakao marki Veneer zrabowanym Holendrowi doszło nowe odkrycie; kakao zawierało trujące właściwości.

Doktor Brożek, ten badylarz z Mokotowa - rozmyślał Tata - musiał również o tym wiedzieć. Zdawał sobie sprawę z morderczych cech tego artykułu, dlatego tak uporczywie i za wszelką cenę chciał odzyskać wszystkie, co do jednego, fatalne pudełka. Tata pograżył się w głębokiej zadumie; jego myśl pracowała intensywnie, szukając logicznych rozwiązań zagadki tajemniczego kakao.

W jakim celu - medytował dalej Tata - facet podejmuje daleką podróż, jedzie z Holandii przez kilka granic i taszczy zatruty

artykuł do Warszawy? Ale ci gówniarze im zamieszali, a właściwie to ta bezczelna mordka - pomyślał o Magdzie.

To są badylarze - dumiał Hilarczyk. Brożek podobno hoduje nie tylko szczypiorek, ale i storczyki. Musi mieć z nich nielichy dochód. Gdzie on je sprzedaje? - Tata żałował, że nie ma pojęcia o odbiorcach orchidei Brożka.

Postanowił więc dowiedzieć się czegoś bliższego o storczykowym rynku.

Dlaczego jednak Brożek, chciał uniknąć ingerencji milicji w swoje sprawy? - męczył się Tata.

Prawdopodobnie zatrute kakao służy do celów, które znane są tylko ogrodnikowi i temu Holendrowi, i nikt inny nawet się tego nie domyśla. Jedno jest pewne, że za wszelką cenę strzegą swej tajemnicy.

Hilarczyk miał wrażenie, że przypadkowo dostał do rąk kilka elementów bardzo skomplikowanej łamigłówki, lecz nie zna klucza, według którego można by ją złożyć w jasną, logiczną całość. Jednak był przekonany, że jeżeli rozszyfruje zagadkę zatrutego kakao, zrobi dobry interes. Hilarczyk, jak hiena padlinę, wyczuwał zysk na odległość.

Paser już przed dwoma tygodniami dotrzymał umowy i zwrócił

Brożkowi pozostałe pięćdziesiąt pięć kilogramów kakao firmy Veneer. Oryginalnych pudełek, które pochodziły z rabunku u Holendra, było tylko pięć; Hilarczykowa nie zdążyła ich sprzedać handlarzom z bazaru. Reszta została dostarczona przez włamywaczy na zamówienie Taty.

Dotychczas Tata na wspomnienie tej transakcji myślał o Brożku jak o ciężkim frajerze, który zapłacił kilkadziesiąt tysięcy złotych za towar, który bez trudu mógłby taniej kupić w MHD. Teraz jednak zmienił zdanie. Doszedł do wniosku, że najprawdopodobniej doktor Brożek już wie o oszustwie, ale z siebie tylko znanych przyczyn milczy i woli utrzymać pasera w przeświadczeniu, że wszystko jest w najlepszym porządku.

Boi się ze mną zaczynać? - rozważał paser. - Boi się, abym nie wywęszył jego tajemnicy - utwierdził się w końcu w tym przekonaniu.

Iść do niego i chytrze pogadać o kakao? - zastanawiał się paser, myśląc o szantażu. Głupieje Hilarczyk na starość - skarcił siebie natychmiast. Można iść na szantaż, jeśli się ma atuty, a tak? Wyrzuci mnie za drzwi. Jeżeli ma coś na sumieniu, to mu tylko za darmo udzielię ostrzeżenia.

W normach etycznych Hilarczyka - za darmo było najcięższym grzechem, było wręcz zbrodnią.

Chemik! - spłynęło na pasera nagłe olśnienie. Oczywiście, tylko chemik, że też to dopiero przyszło mi do głowy. Jeśli zrobię analizę tego cholernego kakao, to będę taki sam mądry, jak doktor Brożek, a wtedy odpowiednio pogadamy... - marzył, rad ze swojej przenikliwości.

W tej chwili zdał sobie sprawę, że dysponuje już tylko tą resztką, którą mu przyniósł wystraszony handlarz. To wprawdzie wystarczy, ale skąd wziąć chemika?

Z pomocą przyszedł mu stary złodziej z Zacisza, który podał adres pewnego inżyniera, mieszkającego w Bydgoszczy. Za skorzystaniem z jego usług przemawiały dwa względy, nie znał on Taty Hilarczyka, a odległość gwarantowała zachowanie konspiracji.

Już po dwóch dniach paser wrócił z Bydgoszczy. Pudełko z resztką kakao i kartką zapisaną przez inżyniera symbolami chemicznymi niczym krusze i cenne klejnoty umieścił i zamknął w żelaznej kasecie, w której przechowywał pieniądze.

Najrozmaitsze pomysły, jeden fantastyczniejszy od drugiego, kłębiły się w głowie Taty. Nie mógł się zdecydować, w jaki sposób wykorzystać swoje nowe odkrycie. Korciło go, aby pójść do Brożka, wykazać, że poznał jego niezwykłą tajemnicę, i zażądać odpowiedniej zapłaty za milczenie. Nie uległ jednak tej pokusie.

Trzeba zostać przy swoim rzemiośle, trzeba trzymać się w cieniu - umocnił w sobie postanowienie nadwątlone chciwością.

Obmyślił sposób - zresztą dość prosty - aby porozumieć się z ogrodnikiem, a nie ujawniać własnej osoby.

Wezwał jednego ze swoich podopiecznych i wysłał go na ulicę Szkarłatną.

- Oddasz mu ten list - pokazał szarą kopertę - a żeby cię nie

korciło, co jest w środku, to popatrz! - pokazał mu prostokąt papieru, na którym widniały symbole starannie wykaligrafowane przez bydgoskiego chemika. Do kartki Tata przykleił firmową etykietkę kakao Veneer.

Paser wybrał do spełnienia tej misji pewnego starego złodzieja, który nie tylko nie znał się na chemii, ale z ledwością umiał skreślić swe nazwisko.

- Jak widzisz, własnym przemysłem nic z tego nie wyciśniesz, bo to jest szyfr, znany tylko mnie i tamtemu. Za to ma być dwieście tysięcy złotych - objaśnił swego posłańca i podał mu zaklejoną już kopertę.

- A jak nie da? - powątpiewał złodziej.

- Ja mam dostać do ręki dwieście tysięcy złotych! - z naciskiem podkreślił Tata. - Mniej nie bierzesz i wracasz. Jeżeli gość będzie się łamał albo nie będzie miał tyle gotówki, dasz mu tydzień prolongaty. Jak dobrze załatwisz, leci ode mnie pięć procent... Ale tylko żadnego wyciskania grosza ponad to, co powiedziałem, ani złotówki na swój rachunek, zrozumiałeś?

- Co ja, dzisiejszy? - odparł złodziej, z nabożeństwem chowając szarą kopertę.

Złodziej, ożywiony nadzieją obfitego zarobku przy tak małym nakładzie - jak sądził - ryzyka, niezwłocznie pomaszerował spełnić powierzoną misję.

Paser zastanawiał się po jego wyjściu, czy nie zażądał jednak zbyt wygórowanej sumy i jaka może być reakcja ogrodnika, gdy odezwało się nieśmiałe pukanie do drzwi. Pukanie powtórzyło się sygnałem, który Hilarczyk zalecił swoim podopiecznym dwa lata temu. Ale od roku zmienił to hasło.

Ki diabeł? - pomyślał Tata, mocując się z solidną zasuwą. - Chyba ktoś z więzienia i nie wie o zmianie.

Do mieszkania wszedł młody mężczyzna. Poszarzała twarz i szczególny wyraz oczu powiedziały staremu paserowi bardzo wiele o przeżyciach tego człowieka.

- Znam cię? - Hilarczyk badał wzrokiem gościa, który nie był mu obcy.

- No jakże! Szymek-Artysta - przedstawił się tamten. - Dwa

lata temu dałeś mi wylot do Austrii.

- Aleś zmarniał, chłopie! - zdziwił się paser. - Ja po dziesięciu latach poznam facjatę, chociażbym ją raz tylko widział, i to przy świecy, a ciebie nie poznałem. Niefart w Austrii? - domyślił się kiwając głową. - Rozbieraj się, zaraz nagrzeję kocioł.

- Daj jeść. Trzy dni nie miałem nic w ustach - poprosił Szymek.

- Taki klops! - gwizdnął Tata wyciągając z kredensu zapasy.

- Ścigają cię?

- W Austrii tak, do Czechosłowacji chyba jeszcze nie trafili. Wiałem tamtędy - powiedział Szymek z pełnymi ustami. Rwał zębami, jak wilk, wielkie kęsy kielbasy i ledwo gryząc połykał.

- Powoli, żuj dobrze - mitygował Tata - bo kichy ci skręci. Nikt żarcia ci nie odbiera. Widział cię kto, jak do mnie szedłeś?

- Nikt. I od Karpat nie miałem żadnego obciachu, tylko głód - odłożył jedzenie i odpruł podszewkę marynarki, wyciągając mały woreczek. - Trzymaj - podał Hilarczykowi. - Barachło brane w Wiedniu. Nie miałem siły bawić się w szukanie twoich skrytek po dwóch latach nieobecności. Poza tym jestem bez papierów, żadnego świstka stwierdzającego tożsamość, paszport pozostał w rękach wiedeńskich glin. Bałem się teraz kręcić po mieście - usprawiedliwił to złamanie zasady i znowu rzucił się na jedzenie.

Tata nie zrobił mu żadnej wymówki. Wysypał na stół zawartość mieszka. Barachło okazało się biżuterią. W świetle żarówki zaśniły szlachetne kamienie. Paser pożądlivym ruchem zgarnął klejnoty i wyniósł je do siebie tylko znanego zakamarka na rozległym strychu.

- Przyjdzie Hilarczykowa - powiedział o żonie, gdy wrócił do mieszkania - wyniesie w bezpieczne miejsce. Nie przyszedłeś z gołymi rękami, okrągła sumka z tego będzie.

- Pomyśleć, że z takim majątkiem od dwóch tygodni przymierałem głodem, a od trzech dni zdychałem - wyznał Szymek.

- Mądrze - pochwalił paser. - Nie zostawiłeś za sobą smugi. Odgryziesz się niedługo u Taty.

Szymek zyskał przydomek Artysty dzięki wyjątkowemu talentowi do kradzieży. Mimo stosunkowo młodego wieku był mistrzem w szpringu.

Szpringowiec lub skakier to specjalista od mieszkań. To nie to samo, co włamywacz. Pogardza metodami tych ostatnich. Lewarek, wygniecenie szyby, ukręcenie kłódki czy wyważenie drzwi to nie dla niego. Nigdy nie stosuje tak brutalnej techniki. Operuje dopasowanym kluczem lub wytrychami. Działa przeważnie sam albo najwyżej z jednym współnikiem - zadaniem tego ostatniego jest przeprowadzenie dokładnego rozpoznania obiektu, w którym ma być następnie dokonana kradzież.

Szymek do perfekcji opanował swój fach. Panowała zresztą uzasadniona opinia, że przed nim nie oprze się żaden zamek. Z tymi uzdolnieniami przyszedł już chyba na świat.

- On czuje zamki - twierdził Tata i rokował mu znakomitą karierę. - Ale potrzebuje jeszcze szlifu.

Celem uzupełnienia edukacji Szymka Tata przed dwoma laty wysłał go do Wiednia. Mieszkał tam obecnie właściciel restauracji, niegdyś doskonały szpringowiec, z którym Tata przyjaźnił się w czasach swej bujnej młodości. Od lat obaj panowie utrzymywali kontakty i świadczyli sobie nawzajem różne usługi.

- Musisz urządzić rajzera - zakończył Szymek relację o dramatycznej ucieczce.

Stary paser via bazar zakupił dowód osobisty, skradziony w Lublinie. Po niewielkich, lecz istotnych retuszach i zmianie fotografii, co za jedno dwa tysiące złotych wykonał pewien specjalista- fałszerz, Szymek-Artysta przedzierzgnął się w Antoniego Frączaka, z zawodu zootechnika. W tym wcieleniu Tata niezwłocznie wyprawił podopiecznego z Warszawy. Zdecydowali, że Szymek jako zootechnik odczeka kilka miesięcy w ustronnym miejscu. Później zgłosił się do władz w swoim rodzinnym mieście, zamelduje, że skradziono mu dowód, złoży odpowiednie papiery i otrzyma dokument

tożsamości na swe właściwe nazwisko. Nic nie będzie ryzykował, ponieważ dotychczas nigdy nie miał przygód z milicją.

*

Brożek siedział beczynn timer. Pograżony w zadumie, machinalnie rozcierał w palcach brunatny pył kakao. Wokół niego piętrzyły się metalowe pudełka z firmowym napisem: Veneer. Okrągłe, lśniące wieczka walały się po podłodze obszernej piwnicy. Wszystkie były otwarte, wszystkie wypełnione brązowym proszkiem aż po zdartą srebrną cynfolię osłonek.

Wreszcie ocknął się z zamyślenia, otrzepał roboczy fartuch, zapalił papierosa. Trącona nogą puszka potoczyła się z brzękiem, rozsypując na beton swą zawartość.

Przesypał kakao do baniek po mleku i wyniósł je na werandę.

- Marian! - zawołał. Z głębi ogrodu wynurzył się brat Magdy.

Władował bańki na taczkę. Doktor poprowadził go za oranżerię, gdzie Magda przetrząsała parujący obornik. Osobiście wysypał nań zawartość pojemników. Dwa brązowe stożki zakryły nawóz.

- Żeby też pod kwiaty nawozić kakao - wzruszyła ramionami dziewczyna. - Tyle zachodu i tyle pieniędzy, tyle użerania się z tym dziadygą... żeby to później rzucić w gnój. Opłaca się to panu?

- Opłaca. Wyhoduję na tej pożywce wyjątkowe orchidee. Brązowe, nakrapiane, zupełnie jak twój nos.

- Pan uważa, że piegowaty kwiatek jest ładny? - zapytała skrywając urazę. - Niedługo nie będzie pan miał okazji wyśmiewać się z mego nosa.

- Niemożliwe? - udał zdziwienie.

- Kupiłam krem „Halina”, piegi szlag trafi - stwierdziła z przekonaniem.

- Uważaj, bo obleziesz ze skóry, a piegi zostaną. Dla kogo chcesz się tak upiększyć?

- Na pewno nie dla pana - odcięła się ze złością. Była

bardzo drażliwa na punkcie swej niedoskonałej urody, a kpiny doktora zawsze ją denerwowały. - Co mam robić z tym? - kopnęła górkę kakao, wznecając tuman ciemnego pyłu.

- Dobrze wymieszać z obornikiem - zarządził otrzepując fartuch. - Te blaszanki - zwrócił się do Mariana - możesz zabrać i sprzedać.

Chłopak rzucił się do worka i z zapalem zaczął gnać w dłoniach pudełka.

- Silny i głupi - westchnęła siostra. - Przecież masz w składziku prasę.

Rodzeństwo pracowało teraz u Brozka bardzo regularnie. Niewątpliwie miała na to wpływ okoliczność, że na łąkach z powodu zimy nie było obfitości pustych butelek, ale przede wszystkim przyczyniły się do ich pracowitości wydarzenia związane z napadem oraz wyjątkowa lojalność ogrodnika, chroniącego ich przed odpowiedzialnością.

Magda spoważniała. Dziewczyna wyrastająca na marginesie społecznym z powodu nieodpowiedzialności własnej matki, obyczaje panujące w tym środowisku dotychczas przyjmowała za własne. Żyła i poruszała się w tym świecie z naiwnością dziecka, a chwilami z niedzielną przebiegłością. Od najmłodszych lat pozbawiona opieki i wzorów etycznych, wychowywana przez ulicę, przywykła szukać wspólnoty wśród takich ludzi jak ona, jej brat i jego koledzy.

Z natury żywa i obdarzona inteligencją, tęskniła podświadomie za ludzką życzliwością, szukała wśród swego otoczenia przyjaźni ludzi godnych naśladowania. Nie wystarczało jej niewątpliwie przywiązanie i posłuch umysłowo ociężałego brata oraz uznanie, jakie wzbudzała u jego równie tępych kolegów.

Zbuntowana przeciwko przyjętym normom społecznym, odczuwała boleśnie swoją inność, zazdroszcząc jednocześnie ludziom, żyjącym w zgodzie z tymi normami. Mimo to uparcie wypierała się przynależności do tegoż społeczeństwa.

Ludzie, z wyjątkiem doktora i dzielnicowego, unikali kontaktów z nią i jej rodziną, niechętni, podejrzliwi, pogardzający.

Dziewczyna, pełna żalu, demonstracyjnie odplącała tym samym.

Po dokonaniu napadu Magda zatrzymała się na jakiejś krawędzi. Paradoks - z którego sama nie bardzo zdawała sobie sprawę - ale najbardziej wstrząsnęło nią zetknięcie ze starym paserem. Zrozumiała, że wkroczyła na nie znany dotychczas teren, z którego być może nie będzie powrotu. Aż do tego spotkania beztrzesko oscylowała na pograniczu dwóch światów. Instynktownie broniła się przed uzależnieniem od społeczności, która uosobiła jej się w Pawle Hilarczykku. Śmiertelnie przeraziły ją bezwzględne prawa jego środowiska.

Od ostatniego spotkania z paserem minęło kilka tygodni, w czasie których Magda gwałtownie dojrzała. Teraz czuła się samotna i zagubiona. Pragnęła przywarcia do tych normalnych ludzi, pragnęła ich życzliwości i opieki. Nie należała nigdzie.

W tym nastroju odrobina ciepła i dziewczyna poszłaby każdą wskazaną jej drogą. Ale do Magdy nie wyciągnęła się żadna dłoń. Nie upomniała się o nią żadna społeczność. Ani ta normalna, ani tamta złodziejska. Dziewczyna trwała zawieszona w próżni.

Odruchowo garnęła się do Brożka, ale ogrodnik traktował ją z dobrotliwą ironią, jak infantylnego podlotka, przed którym jednak należy mieć się na baczności.

- Idzie pocztylion! - zawiadomiła Brożka, który stał bezczynnie, przyglądając się bezmyślnie, jak pod zębami widel w dłoniach dziewczyny topnieje pryzma brunatnego proszku.

- Z Holandii! - już od furtki wołał listonosz wymachując prostokątną kartą pocztową. Doktor umówił się z nim, że wszelką korespondencję zagraniczną będzie mu doręczał osobiście. Inną mógł wrzucać do skrzynki przytwierdzonej przy furtce.

Brożek oderwał róg ze znaczkiem i podał listonoszowi, wiedział bowiem o jego zamiłowaniach filatelistycznych.

Na karcie widniały cyfry, którymi szachiści oznaczają pola szachownicy oraz symbole literowe figur szachowych.

Tego dnia Brożek porzucił pracę w ogrodzie, wpadł w nastrój towarzyski. Poszedł do siebie i zasiadł do telefonu.

- Pani Emilio - powiedział, gdy uzyskał pierwsze połączenie
- zapraszam się dzisiaj do pani na kawę. Można? - Ustalił godzinę wizyty i pożegnał znajomą.

Znowu zadzwonił. W ciągu pół godziny umówił się na kawę z kilkoma kobietami. Swoje odwiedziny umawiał w różnym czasie, lecz w tym samym dniu.

Następnie zawiadomił rodzinę, że nie będzie na obiedzie i w ogóle wróci bardzo późno. Niebawem, przebrany w wizytowy garnitur i śnieżnobiałą koszulę, siadł za kierownicą szarego Mercedesa.

Znajome doktora mieszkały w różnych dzielnicach miasta. Zanim złożył wszystkie wizyty, nastał wieczór.

W końcu pojechał na Żoliborz i zaparkował wóz pod domem - bliźniakiem. Uprzednio otworzył bramę własnym kluczem. Poruszał się tam ze swobodą domownika.

Własnym kluczem otworzył także drzwi wejściowe i znalazł się w przytulnym, maleńkim hallu, z którego schody prowadziły na piętro.

Na górze płakało dziecko. Pobiegł schodami, przeskakując po kilka stopni. W pokoju, w wielkim kojcu, wśród góry zabawek, tarmosił na sobie szelki i zanosił się krzykiem malec.

Brożek uspokoił chłopca, zabrał go z kojca i zszedł na dół. W tym momencie do mieszkania weszła młoda kobieta z siatką pełną zakupów.

- Gdyby nie twoja fotografia, zapomniałabym, jak wyglądasz - powiedziała zamiast powitania.

- Miałem kłopoty i byłem, bardzo zajęty - usprawiedliwił się.

- Dlaczego zostawiasz dziecko samo?

- Nic mu nie będzie - wzruszyła ramionami. - Musiałam wyjść do sklepu, skoro zapowiedziałeś swoje rzadkie odwiedziny. Zanedbujesz mnie, ja naprawdę nie mogę już tak żyć! - wybuchnęła.

- Czego ci brakuje?

- Niczego poza normalnym życiem. Sądzisz, że pieniądze, wygody i twoje wizyty to już wszystko? Chciałabym żyć zwyczajnie, mniej komfortowo, ale za to mieć przy sobie

mężczyznę i ojca tego pędraka. Chciałabym przynajmniej iść do pracy. Przecież siedzę tu jak w baszcie, odcięta od ludzi, od życia... zwariować można!

- Nie mogę się rozwieść, mam dorosłą córkę, i w ogóle nie mogę sobie pozwolić na taki skandal. A żona nie rozstałaby się ze mną w sposób kulturalny. Przecież tyle razy ci to mówiłem... Każdą wolną chwilę poświęcam tobie, twoje niezadowolenie to egoizm, Marto!

- Egoizm - powtórzyła z sarkazmem.

Brożek nie domyślał się, że tego wieczoru, gdy on był u Marty, w jego domu już wybuchł skandal.

Jego córka Elżbieta wróciła z uczelni i zabrała się do nauki; był to okres zdawania kolokwium. Do jej pokoju bezgłośnie wsunęła się gospodyni, kobieta o nijakim wyglądzie. Odchrząknęła, aby zwrócić uwagę dziewczyny.

- Pani dostała spazmów - zawiadomiła beznamytnie. Zapytana o przyczynę, wzruszyła ramionami i oznajmiła z niechęcią: - A ja tam nie wiem.

Elżbieta powściągnąwszy zniecierpliwienie poszła do matki.

Brożkowa w pół leżała na tapczanie, w koronkowych różowociach. W wymanicurowanych, upierścienionych palcach darła chusteczkę i głośno szlochała.

- Z czyjego powodu ta scena? - sceptycznie zapytała córka.

- Ojciec ma metreseę iii... dziecko! - rozdzierająco krzyknęła Brożkowa.

- Nieco przykre - ironicznie stwierdziła Elżbieta; ta wiadomość nie zrobiła na niej żadnego wrażenia.

- Dziecko, rozumiesz?! - Brożkowa przestała płakać i uniosła się na łokciu. - Czy zdajesz sobie sprawę, jaką masę pieniędzy kosztuje dziecko? A potem, gdy dorosnie, wychowanie, wykształcenie, podział majątku!!!

- Nareszcie poznaję swoją rodzicielkę - westchnęła Elżbieta.

- Tracę męża, dom... dobre imię, to... niemoralne!

- Boisz się o stan kasy, a nie o dom, i przestań gadać o moralności, bo nie masz o niej pojęcia. Nie bój się o wspólny worek z pieniędzmi, on też jest trochę podobny do ciebie,

więc cię nie rzuci. Diabelnie silna namiętność was łączy - umiłowanie do robienia i gromadzenia pieniędzy... Ojciec ceni sobie twoje skąpstwo...

- Nie kochasz rodziców, to straszne, żeby dziecko, dla którego poniosłam tyle ofiar, tyle poświęcenia... - znów teatralnym gestem wyrzuciła upięścienione ręce.

- Dlaczego mam cię kochać, do diabła?! - wybuchnęła córka.

- Wstydzę się za was oboje. Jak tylko sięgnę pamięcią, wszystko przeliczaliście na pieniądze.

Matka chciała jeszcze coś mówić, ale Elżbieta przerwała brutalnie:

- Nie zawracaj mi głowy. Nie chcę więcej słyszeć o waszych świństwach.

Gdy Brożek wrócił późno w nocy, córka czekała na niego.

- Mógłbyś porządniej schować metrykę swego smarkacza. Stara ją wyszperała i zrobiła próbne przedstawienie przede mną. Jutro nie minie cię kosmiczna draka z całym znanym nam repertuarem.

Brożek milczał zaskoczony. Nie mógł zdobyć się na żadne słowo wyjaśnienia.

- Myślałeś, żeś taki konspirator... - z politowaniem pokiwała głową. Przerwała w pół zdania; na podeście schodów ukazała się postać jej matki. Stała chwilę w bezruchu, w wystudiowanej, pełnej godności pozie, napawając się ich zmieszaniem. Pierwsza ochłonęła córka.

- Już wyzdrowiałaś? - I do ojca: - Miałam obawy, że nie dożyje do twego powrotu.

- Milcz! - krzyknęła Brożkowa. - Córeczka zmawia się z tatusiem... - cedziła przez zęby.

Elżbieta mruknęła do ojca: - Trzymaj się. - Potem zwróciła się do obojga: - Wydrapywać sobie oczy radzę w hallu, środkowy pokój, więc najmniej akustyczny, powodzenia! - zostawiła ich samych.

- Usynawiasz bastardów! - rozpoczęła Brożkowa i osunęła się na sofę. - Zrzuńujesz mnie i przyszłość naszej córki, jakim przykładem ty jej świecisz? - ton był kaznodziejski.

- Zejdź z ambony - ziewnął Brożek.

- ...Jak ci nie wstyd, ty... ty zbrojeńcu seksualny. - Polecając swą boleść Bogu, wzniosła oczy do sufitu i zaplotła dłonie. - Dla dobra rodziny przymykałam oczy na istnienie tej dziwki, ale nie myślę tolerować bękarta. Masz natychmiast wyrzec się tej k... - nader gładko spłynęło z umalowanych warg drastyczne określenie. - Sama dam jej odszkodowanie, żeby się odczepiła...

Brożek usiłował przeczekać jej furię w milczeniu. Ale jego opanowanie jeszcze bardziej podjudzało Brożkową; zaczęła płakać, padła na dywan, tarzała się po podłodze, drąc na sobie koronki.

- Pani Niusiu! - w drzwiach stanęła obudzona gospodyni, chciała podać Brożkowej lekarstwo.

- Precz! - wrzasnęła Nusia. Przerazona służąca śpiesznie opuściła hall.

Żona ogrodnika w przypiływie świeżej furii rzuciła się ku intarsjowanemu stolikowi i jednym ruchem zmiotła z jego powierzchni cenną miśnieńską porcelanę.

Brożek stracił panowanie nad sobą. Starą porcelanę i fajanse kupował i gromadził z pasją kolekcjonera, był z nich dumny. Widząc rozbite skorupy podbiegł do żony i uderzył ją w twarz. Oszołomioną, brutalnie posadził na sofie.

- Morderca! - odzyskała głos małżonka, ale nie ruszyła się z kanapy, ponieważ Brożek stał w pobliżu, ze ściągniętą od gniewu twarzą, gotów w tej chwili do nieobliczalnych czynów.

Nusia pojęła, że tym razem trochę przeholowała. Gdy tylko zauważyła, że groźne wzburzenie męża mija, ruszyła do natarcia.

- Morderco! - z lubością powtórzyła kilka razy to określenie, sprawdzając jego efekt na twarzy Brożka. - Nie będziesz się nademną znęcał, ja cię... zadenuncjuję, zgnoję w kryminale, jutro pójdę do prokuratora, opowiem o twoich aferach... zginesz - syczała ze mściwą satysfakcją.

Następnego dnia już z samego rana zjawił się u ogrodnika nie znany mu człowiek; zażądał rozmowy na osobności. Brożek

przyjął go w gabinecie przylegającym do urządzonego antykami hallu. Dopiero teraz przybysz podał mu szarą kopertę. Doktor przebiegł wzrokiem kartkę pokrytą chemicznymi symbolami.

- Co to ma znaczyć? - przeniósł spojrzenie na wysłannika.

Tamten, speszony przepychem panującym w domu oraz niezmałym spokojem rzekomej ofiary Taty, przestąpił z nogi na nogę i wypalił zgodnie z poleceniem:

- Za to ma być dwieście tysięcy złotych, najdalej w terminie tygodniowym.

- Kto cię przysłał, kreaturo? - ogrodnik bacznie obserwował rzecznika pasera, lecz jak kogoś, kto nie wzbudza lęku, tylko lekką odrazę.

- To nie obchodzi! - nabrał pewności siebie złodziej. - Motyle z rączki do rączki - uczynił wymowny gest liczenia pieniędzy - albo...

Brożek nie był ciekawy, co miało znaczyć to: albo.

- Idziemy - pociągnął tamtego.

Wysłannik pasera poszedł za nim, pewny, że ogrodnik idzie po pieniądzu. Jednak gdy wyszli za furtkę posesji i znaleźli się na Szkarłatnej, chciał się upewnić, dokąd wiedzie go wciąż spokojny gospodarz.

- Gdzie mnie pan prowadzi? - przerwał milczenie.

Tata Hilarczyk nie docenił Brożka, uważając go po poprzednich spotkaniach na Brzeskiej za zdobycz łatwą.

- Tam, gdzie zwykle odprowadzać szantażystów, do milicji! - poinformował Brożek i chwycił złodzieja za ramię.

Rzecznik Taty uwierzył w groźbę, poczuł się niewyraźnie. Przez myśl przeleciał mu odpowiedni paragraf Kodeksu Karnego, pod który kwalifikuje się jego misja, bowiem, o ile słabo czytał i pisał, to znajomość Kodeksu Karnego miał opanowaną na poziomie członka palestry. Szarpnął więc rękę i odsunął się od Brożka.

Ogrodnik, chociaż znacznie od niego silniejszy, pozwolił mu uwolnić się z uchwytu.

Złodziej odskoczył na bezpieczną odległość i dla poratowania nadwątlonej odwagi oraz pognębienia przeciwnika uraczył go długim i wyszukany zestawem epitetów, w których słowo

przewodnie i treść stanowiły dwa rzeczowniki i jeden czasownik.

- ...majchrem w bandzioch zarobisz albo mojką po patrzalkach - zagroził na zakończenie.

Brożek nie przejął się tymi obietnicami, rozszłoszczony bezczelnością szantażysty podbiegł do niego w jednoznacznych zamiarach.

Posel Hilarczyka na dobre wziął nogi za pas. Brożek widząc, że ulica jest pusta, postanowił odstraszyć tamtego od składania mu następnych wizyt. Bez trudu dogonił złodzieja i począł go czynnie zniechęcać do podejmowania podobnych misji.

Tamten rozpaczliwie odpierał ciosy, ale niebawem już tylko usiłował zasłonić głowę przed uderzeniami. Ogrodnik wpadł w furię i młócił go z zimną zaciętością. Ochłonął nieco, gdy tamten z jękiem zwałił się mu pod nogi.

- Wstawaj! - rozkazał ocierając ręce. - Powiedz temu, kto cię nasłał, że z wami będę rozmawiał tylko w ten sposób. Ciebie potraktowałem raczej ulgowo... Masz dość czy chcesz jeszcze?

Złodziej zdecydowanie miał dość, czemu skwapliwie dał wyraz. Wstał posłusznie. Wraz z krwią wypluł ząb, otarł rozbity nos. Jedno oko zapływało wielkim sińcem. Łypnął spode łba na swego oprawcę i jak zbity pies bez słowa powłókł się, byle dalej od tego silnego mężczyzny.

Brożek po powrocie do domu przeraził gospodynię, od której zażądał przygotowania kąpieli i świeżego ubrania. Miał paskudnie rozbity łuk brwiowy i płaszcz poplamiony krwią.

Ale na przeprawie z szantażystą nie skończyły się jego przykrości w tym dniu. Ledwo zdążył się przebrać i doprowadzić do porządku - uszkodzone czoło po przemyciu i opatrzeniu nie wyglądało tak źle, jak się wydawało poprzednio - złożył mu wizytę pewien bardzo niezadowolony pan.

- Doktorze, proszę mi zwrócić pieniądze! - zażądał bez wstępow, gdy tylko znaleźli się w zacisznym gabinecie.

Ogrodnik nie odpowiedział; na znak zdziwienia podniósł brwi.

Przybysz wyciągnął portfel i wyrzucił z niego na biurko plik

banknotów z charakterystycznymi wizerunkami amerykańskich mężów stanu.

- One są ordynarnie sfalszowane! - wyjaśnił gość.

- Nic mi o tym nie wiadomo - wzruszył ramionami Brożek.

- Kupiłem je za rzetelną cenę i po takiej cenie odstąpiłem panu nie zarabiając ani centa. Sam pan wie najlepiej, jaki kurs był tego dnia, O ile się nie mylę, mógł pan i może doskonale na nich zarobić. Obecnie kurs zwyżkuje.

- Chętnie je panu odstąpię - z ironią zaofiarował gość - i to po cenie, za jaką je od pana kupiłem.

- Nie reflektuję na małe odcinki, dlatego je sprzedałem - Brożek nie zwrócił uwagi na sarkazm tamtego. - W dalszym ciągu interesują mnie duże banknoty, jeżeli ma pan na zbyciu, to chętnie...

- Pan od nich uciekał, bo są fałszywe! To oszustwo, nieuczciwość! - zdenerwował się przybysz i cisnął zwitek dolarów, aż rozsypały się po biurku. - To makulatura! - sapnęła.

- Nie będę roztrząsał zagadnienia uczciwości. Nikt dotąd nie ośmielił się pomawiać mnie o oszustwo - Brożek nie stracił panowania nad sobą. - Co pan ma do zarzucenia tym banknotom? -. podniósł z biurka jeden bilet. Widniała na nim w owalu podobizna Hamiltona, a w czterech rogach liczba: sto.

- Właśnie to! - gość dziobnął palcem cyfrę. - To jest dziesięć dolarów. Rozumie pan, d z i e s i ę ć! Dorobiono jedno zero. We wszystkich tych banknotach dopisano jedno zero - prawie zaszlochał przybysz.

- Niemożliwe - powiedział zdawkowo ogrodnik; w jego tonie nie było jednak zdziwienia.

Zrozumiał w lot, o co chodzi. Dość popularnym i stosunkowo najbardziej rozpowszechnionym sposobem fałszowania banknotów dolarowych, znajdujących się w obiegu wśród waluciarzy, jest zwiększanie ich wartości przez dopisywanie zer. Ale ten sposób przeznaczony jest wyłącznie dla laików, pragnących zaopatrzyć się w środki płatnicze USA u pokątnych handlarzy.

Brożek, mający przed sobą rasowego przedstawiciela nielegalnego handlu dewizami, wyłożył mu te oczywiste prawdy, znane doskonale w jego środowisku.

- Miałem do pana zaufanie - odpowiedział waluciarz. - Pan wówczas bardzo się śpieszył, poszedłem panu na rękę i nie sprawdziłem dokładnie wszystkich banknotów.

- Podrobione dolary nie pochodzą ode mnie - chłodno stwierdził Brożek. - Prawdopodobnie otrzymał je pan od innych anonimowych klientów. Dziwne, że dopiero po kilku tygodniach dostrzegł pan oszustwo i skąd ta pewność, że to ja? Powiem panu. Bo inni, z którymi załatwiał pan transakcje, nie są panu osobiście znani. Był pan nieostrożny, ale dlaczego ja mam finansować pana nieostrożność? Tylko z tej przyczyny, że zna pan mój adres?

Waluciarz przekonywał, że te pieniądze na pewno otrzymał od Brożka. I nie tylko on, a również inni panowie. Dał do zrozumienia, że kilku przedstawicieli czarnej giełdy ma do ogrodnika pretensje, a jego samego powinien Brożek traktować jako rzeczownika pozostałych handlowców.

- No nie! - roześmiał się doktor. - Chce mi pan wmówić, że ja, ogrodnik z zawodu, w tak prosty sposób oszukałem kilku wytrawnych rekinów dewizowych, że nieomal zrujnowałem rynek? Jeszcze chwila, a stanę się zarozumiały, uwierzę, że potrafię sprzedać makulaturę za dolary i zmienię fach...

Burzliwa rozmowa trwała jeszcze długo, ale specjalista od walut obcych nic nie wskórał. Na koniec zagroził Brożkowi, że ten nie może już liczyć na ich usługi. Żaden szanujący się - nawet detaliczny - handlowiec nie sprzeda mu ani centa. Pod tym względem Warszawa od zaraz stanowi dla ogrodnika białą plamę.

- Istnieją jeszcze inne miasta. Na przykład Wybrzeże - Brożek nie wydawał się przejęty zapowiedzią tamtego. - Żegnam pana!

Gdy wreszcie rzecznik giełdowy opuścił willę przy Szkarłatnej, Brożek popadł w ciężką zadumę. Przemyślał przykrości minionego dnia: nocna awantura z żoną, szantaż, zainteresowanie milicji i na dodatek, jakby tamtego

wszystkiego było mało - zorganizowany bojkot i groźby waluciarzy.

Z tych czterech zdarzeń najbardziej zaniepokoił go szantaż. Domyślał się, kto inspirował szantażystę. Spodziewał się przybycia innych inteligentniejszych wysłanników, a być może, że i samego szefa z Brzeskiej. Wiedział, że nie ulegnie mu, bowiem tamten nie poprzestałby na jednorazowym okupie, ale usiłował przewidzieć, jak Hilarczyk postąpi, jeżeli przekona się, że nie otrzyma za swoje wiadomości ani grosza.

Oficjalnie do milicji nie pójdzie - to było więcej niż pewne. Ale może wysłać anonim, było to bardzo prawdopodobne i groźne dla jego interesów.

Powziął postanowienie, jak temu przeciwdziałać. Niezwłocznie zamówił błyskawiczną z Eindhoven. Połączenie uzyskał natychmiast, ale Van der Meneera nie zastał.

Namyślał się chwilę, ale po krótkim wahaniu znowu zażądał błyskawicę, tym razem z Antwerpią w Belgii.

4.

DRUGA CZTERDZIEŚCI PIĘĆ...

Elżbieta Brożek wróciła do Warszawy w dwa dni po świętach. Z zaprzyjaźnionym chłopcem, który jej towarzyszył, znalazła się przed dworcem na postoju taksówek. Stanęli w długiej kolejce, oczekując na samochód. Chłopak poszperał w kieszeniach.

- Weź - wcisnął jej w dłoń słupek bilonu - ja pojedę tramwajem. Były to ich ostatnie pieniądze, które jej towarzysz przezornie zachował na tę okazję.

- Zatrzymaj dla siebie - uśmiechnęła się dziewczyna, ale ta troskliwość sprawiła jej widoczną przyjemność. - Moje worki pieniędzy, alias rodziciele, wykupią mnie od taksówkarza - wykrzywiła twarz w ironicznym grymasie.

Przed domem długo dzwoniła do furtki. Nikt jednak nie otworzył. Zniecierpliwiona szarpnęła siatką ogrodzenia i załomotała do bramki. W głębi spowitego śniegiem ogrodu

dom stał równie biały i cichy.

- Nikogo nie ma? - zaniepokoiła się Elżbieta, bo uzmysłowiła sobie, że nie zabrała kluczy od bramy. Stała przez chwilę zastanawiając się, co robić, i wpatrywała się w senny dom. Nie, nie był pusty - zauważyła, że przez przeszkloną werandę sący się smuga elektrycznego światła. W hallu palą się lampy - skonstatowała - i są uchylone drzwi.

Przez ogród, piszcząc jak szczeniak, sadził wielkimi susami potężny pies.

- Śpią? - zainteresował się kierowca, który wyszedł z wozu i również zauważył blask padający przez szyby tarasu.

Dziewczyna ponowiła atak na dzwonek, nie odrywała palca od tastera; z tamtej strony ogrodzenia rzucał się na siatkę w powitalnych skokach czarno nakrapiany dog.

- Zepsuty? - kierowca wskazał dzwonek.

Elżbieta ze złością kopnęła furtkę. W tym momencie dojrzała w perspektywie ulicy samochód; poznała wóz ojca.

- Wykup mnie - wskazała szofera - bo jestem w skrajnej nędzy - dodała wyjmując z wozu narty.

Brożek zapłacił kierowcy i zabrał plecak córki.

- Dlatego wróciłaś wcześniej - roześmiał się i pocałował ją w czoło.

Doktor wjechał na podjazd i wprowadził samochód do garażu. Elżbieta z nartami na ramieniu wbiegła po stopniach prowadzących na werandę. Oparła deski o szklaną ścianę i pchnęła uchylone do hallu drzwi.

Brożek, znajdujący się kilka kroków od tarasu - niósł do domu bagaż swój i córki - dosłyszał stłumiony krzyk, po którym cisza panująca w ogrodzie wydawała się jeszcze głębsza i aż dzwoniła w uszach.

To krzyczała Elżbieta - poznał jej głos. Rzucił walizki i pędem wpadł do mieszkania; pierwsze, co zobaczył, to leżącą na progu nieruchomą dziewczynę. Pochylił się nad nią, chwycił ręce - były bezwładne, ale ciepłe. Szarpnął ekler skafandra, drżącymi dłońmi poszukał miejsca, w którym powinno bić serce - było głuchymi, arytmicznymi uderzeniami.

Zemdlała - domyślił się; dźwignął w ramionach wiotkie ciało i

wówczas dopiero dojrzał to, co powaliło Elżbietę.

Teraz już sam nie bardzo przytomny zaniósł dziewczynę do kuchni i wylał na nią dzbanek lodowatej wody. Nie patrząc na efekt ratunku obiegł pokoje, strych, zamarudził w piwnicach. Wrócił do córki. Śmiertelnie blada, szcękając zębami, siedziała na podłodze, wsparta o ścianę. Niemrawo usiłowała uwolnić się od wilgotnego ubrania. Pomógł je ściągnąć i przyniósł jakieś suche odzienie, które wisiało w służbówce. Podał córce kieliszek alkoholu. Przełknęła i chwyciły ją torsje.

Brożek był bliski podobnej reakcji, wychylił jednak pół szklanki koniaku i wybiegł z domu.

- Idę po milicję! - krzyknął.

- Nie zostawiaj mnie samej - jęknęła. - Przecież masz telefon!

- zdobyła się na rozpaczliwy krzyk.

- Zepsuty! - zawołał. Szaleńczym pędem zdążył do komendy dzielnicowej. Gdy wpadł do dyżurnego, w rozpiętym płaszczu, w przekrzywionej czapce i z nieprzytomnymi oczami, sprawiał wrażenie niepoczytalnego. Runął na podsunięte mu krzesło.

- Niestety - wykrztusił z siebie to jedno słowo i wierzchem dłoni otarł strumyczki potu, zalewające mu oczy.

Oficer dyżurny wydobył wreszcie z niego wyjaśnienie i wyprowadził go z powrotem w towarzystwie dzielnicowego.

Brożek zajął się Elżbietą, która przez czas jego nieobecności nie miała odwagi opuścić kuchni, a sierżant stanął na straży pod drzwiami stylowego hallu. To było jego zadanie - pilnować, aby do przyjazdu ekspertów nic nie zostało zmienione, a nawet dotknięte.

Komendanta dzielnicy zdenerwował ten wypadek, tym bardziej, że od lat na terenie, za który odpowiadał, nic się takiego nie wydarzyło. Miał zamiar sam pojechać na Szkarłatną, ale przypomniał sobie majora Korosza i jego zainteresowanie nie wykrytym napadem na gościa Brożka. Zawiadomił więc inspektora o tym, co się stało w willi ogrodnika.

- Zaraz tam będę - powiedział major.

Prawie równocześnie zjawiły się przed białym domem: Zasta-

wa majora i wozy, którymi przyjechała ekipa dochodzeniowa z komendantem dzielnicy.

Korosza nie zdziwiła reakcja Brożkówny i jej ojca. Widok, jaki zastał na Szkarłatnej, również w nim wzbudził grozę. A przecież inspektor z racji swego zawodu był oswojony z podobnymi sytuacjami.

W hallu panował nieopisany nieład. Na puszystym dywanie opodal kanapy leżało okrwawione ciało Niusi Brożkowej. Brunatna kałuża wsiąkła i zakrzepła na jasnej tkaninie dywanu. Srebrno-białe obicie sofy splamione było ciemnymi bryzgami krwi, której drobne plamki usiały także pastelową ścianę.

Nienaturalnie skręcone, masywne ciało spowijała długa suknia z czarnego weluru. Rembrandtowski kołnierz z prawdziwej koronki był oddarty wraz z górną częścią sukni aż po wysoki mankiet rękawa, również ozdobionego starą klockową koronką. Nagie ramię pokrywał wielki siniec. Oblicze zmarłej zakrywała pretensjonalna poduszka.

Major zdjął jasek. Twarz otoczona płataniną zmierzwionych blond włosów była zmasakrowana. W ustach tkwił miękki pantofel ze srebrnej lamy, w drugi identyczny sandałek obuta była jej stopa.

Na zaciśniętych w śmiertelnym skurczu palcach kobiety major dostrzegł trzy pierścionki i platynową obrączkę, inkrustowaną złotem. Na serdecznym palcu prawej ręki lśniły duże brylanty. Przegub lewej ręki opasywała platynowa bransoletka, przytrzymująca malutki, również platynowy zegarek. Jego wskazówki zatrzymały się na godzinie drugiej czterdzieści pięć...

Rozległ się przeraźliwy krzyk - to Elżbieta weszła do hallu w momencie, gdy major uniósł poduszkę, i zobaczyła zniekształconą twarz matki.

Inspektor szybko zakrył chustką głowę zamordowanej. Dziewczynę odprowadzono na górę i zupełnie wyczerpaną, w ciężkim szoku, ułożono do łóżka. Trzeba było wezwać do niej lekarza.

Korosz wrócił do przerwanych oględzin. Ślady krwi wiodły do sąsiedniego pokoju, który był gabinetem i równocześnie

sypialnią Brożka. Drzwi były otwarte, ale na drodze do nich leżał przewrócony empirowy stolik. Wokół niego wały się szczątki cennej miśnieńskiej porcelany i holenderskich fajansów.

Stylowa, intarsjowana komódka, stojąca przy przeciwległej ścianie, miała wysunięte szuflady. Ich zawartość, serwisy ze starej porcelany - w części rozbite - leżały na podłodze.

Major przyjrzał się poduszce. Jedna strona była z czarnego jedwabiu, drugą pokrywał gęsty haft na kanwie, wykonany różnokolorową włóczką. Ta poduszka wyraźnie nie pasowała do wyrafinowanego smaku stylowych mebli, obić, kinkietów i antycznych drobiazgów.

Wyszedł i poszukał Brożka. Znalazł go siedzącego w pokoju córki. Dziewczyna zasnęła po otrzymaniu środków uspokajających.

- Skąd pochodzi ta poduszka? - zapytał Korosz; ogrodnik, kompletnie otepiały, spojrział na majora nie rozumiejąc, czego tamten od niego żąda. Inspektor musiał powtórzyć pytanie.

Brożek pojął wreszcie i bez słowa pociągnął Korosza za sobą po dębowych schodach, prowadzących na dół. Wszedł do pokoju sąsiadującego z kuchnią. Wskazał tapczan przykryty pluszową narzutą, pełen różnych dekoracyjnych jaśków.

- To Weroniki. Tak ma na imię nasza gosposia - wyjaśnił.

Przez ten czas technik utrwalił ślady i naniósł na szkic sytuacyjny położenie empirowego stolika. Odsunięto tarasujący drzwi antyk i major mógł wreszcie wejść do gabinetu.

Nieład w tym pokoju przewyższał spustoszenie panujące w hallu. Tu już nic nie stało na swoim miejscu. Pozwalane z regałów na podłogę leżały ciężkie foliały, oprawne w czerwoną skórę i szare płótno. Część z nich miała poodrywane okładki.

Jeden tom szczególnie zainteresował inspektora. Czarna księga, obciążona zniszczoną cielecą skórą i okuta metalem, zamknięta była klamrą. Był to stary wolumen, traktujący o uprawie kwiatów. Jednak nie jego wartość - na pewno bardzo duża - spowodowała ciekawość majora. Zamykająca książkę masywna skuwka pokryta była krwią. Technik operujący

podręcznym mikroskopem dojrzał w zawiasach klamry wplątany włos i coś jakby oddarty skrawek naskórka.

Rozbity telefon leżał na podłodze - sznur wyrwany był wraz z gniazdkiem. Masywny przycisk do papierów - umieszczona w litym srebrze wielka bryła złocistego bursztynu, we wnętrzu której zastygł przedziwny owad z odległej epoki - pokrywała skrzepła krew.

Gabinet był urządzony współcześnie. Proste regały, biurko, przy nim fotel, tapczan przykryty cepeliowską narzutą z owczego runa, dwa niskie fotele i takież stolik stanowiły całe umeblowanie.

W rogu pokoju, obudowana półkami i pokryta okładziną z jasnego drzewa, stała ogniotrwała szafa. Była otwarta. Na jej półkach leżały nieporządnie rozrzucone zwitki banknotów.

Inspektor dokładnie obejrzał kasę. Nie zauważył żadnych śladów włamania, polecił jednak wymontować zamki i poddać je badaniom mechanoskopijnym w Zakładzie Kryminalistyki. Kluczy od sejfu nie znaleziono.

- Kasę zostawił pan otwartą na czas swojej nieobecności? - zapytał z niedowierzaniem Brożka.

Ogrodnik zaprzeczył i dodał, że klucze od niej ma przy sobie.

- Kto jeszcze miał klucze od sejfu?

- Żona - oświadczył Brożek.

Zliczono pieniądze i obce waluty znajdujące się w kasie. Protokolarny spis major podał właścicielowi.

- Czy zginęły jakieś pieniądze lub inne wartości?

Ogrodnik dokładnie przeczytał protokół, przeliczył banknoty i stwierdził; że wszystko się zgadza; bez wahania podpisał dokument.

Przyjechał ambulans z medycyny sądowej, sanitariusze zabrali zwłoki. Wówczas pod werandą pojawił się duży pies, przysiadł na zadzie, uniósł do góry łeb i zawył głucho, przejmująco. Zdziwiony inspektor dopiero teraz zobaczył wielkiego doga.

- Gdzie był dotychczas ten pies? - zapytał ogrodnika.

- Zamknąłem go w szopie, zanim poszedłem zawiadomić milicję.

- Ale gdzie był w ogóle - inspektor miał na myśli czas, w którym rozegrała się tragedia.

- Na zewnątrz, w ogrodzie. Legowisko miał w szopie - wyjaśnił ogrodnik.

Major poprzestał na tej informacji. Wyczerpujące pytania miał zamiar zadawać później, bowiem coraz bardziej mnożyły się niekonsekwencje, zagadki i rozbieżności.

Bezskutecznie poszukiwano drugiego kompletu kluczy do pancерnej szafy, będących własnością Brożkowej. Nie zostały odnalezione.

Major zawiadomił gospodarza, że musi dokładnie obejrzeć cały dom, aby ustalić ewentualne ślady, być może pozostawione przez zabójcę i w innych pomieszczeniach. Miał nadzieję odnaleźć przy tym klucze należące do żony ogrodnika.

Doktor posłusznie poszedł za nim. Major z technikiem zaczęli metodyczne badania od strychów.

Ani poddasze, ani piętro, na którym znajdowały się cztery pokoje - dwa zajmowane przez Brożkową, jeden przez Elżbietę i jeden spełniający rolę gościnnego - oraz łazienka i WC nie nosiły żadnych śladów pobytu złowrogiego gościa. Wynikało z tego, że cała tragedia rozegrała się w dwóch pokojach na parterze.

Mimo to inspektor równie sumiennie obejrzał piwniczną część domostwa. Znajdowała się tam spiżarnia. Następne pomieszczenie, leżące pod hallem, było zamknięte na żelazną sztabę. Brożek otworzył je kluczami, które miał przytwierdzone na kółku razem z kluczami od pancерnej szafy. Przekręcił kontakt - silna żarówka rozbłysła pod sufitem.

Piwnica pełna była różnych narzędzi ogrodniczych, stały worki pełne sztucznych nawozów, jakieś przedmioty niewiadomego przeznaczenia. Ta piwnica kontrastowała z innymi pomieszczeniami domu, w których panował idealny ład.

- Podręczny magazyn. Moje królestwo. Tutaj kobiety nie miały dostępu - wyjaśnił Brożek, odgadując myśli inspektora.

Właściwie major mógłby już opuścić to miejsce, jako że nic nie wskazywało, aby tą drogą mógł wejść morderca. Jedyne

wejście do piwnicy prowadziło z wnętrza domu, a okienko zaopatrzono w solidne kraty; ich stalowa konstrukcja nie była naruszona.

Jednak Korosz nie mógł opuścić zaniedbanej piwnicy, ponieważ w niszy pod oknem dojrzał coś, co przykuło jego uwagę i wręcz zafascynowało. Było to pudełko kakao: Veneer.

Na zdrowy rozsądek trudno było łączyć te dwie sprawy: bestialskie morderstwo - sądząc na podstawie dotychczasowych ustaleń dokonane nie w celach rabunkowych - oraz tajemnicze właściwości holenderskiego kakao.

Major, którego całą uwagę pochłonęło zabójstwo na Szkarłatnej, nagle teraz wrócił myślą do tamtej sprawy i w tej chwili niczego tak nie pragnął, jak porzuconego w rupieciarni pudełka.

Przywołał technika do okna i zaczął mu wskazywać nie istniejący ślad na kratkach. Tamten zorientował się, że inspektor w ten sposób chce zamaskować jakieś istotne działanie, więc przysunął walizkę śledczą i gorliwie zaczął markować poszukiwanie śladów. Nie wiedząc dokładnie, o co chodzi, tak umieścił swój nesesor, że zasłonił niszę. Major miał ułatwione zadanie. Wymyślając sobie w duchu od domowych złodziei, czubkiem buta zsunął pudełko do walizki i udając, że szuka jakiegoś narzędzia, wepchnął je na samo dno.

Gdy inspektor powrócił z piwnicy, w przedpokoju podszedł do niego oficer z brygady dochodzeniowej.

- Co to może być? - zademonstrował plastikową torebkę, wypchaną masą o czerwonej konsystencji. Okazało się, że ta torebka leżała pod wieszakiem. Na nim wisiał męski płaszcz ze śladami brunatnych plamek krwi.

Inspektor przyjrzał się woreczkowi. Dopiero po dobrej chwili zorientował się, że torebka zawiera nadpsute już mielone mięso.

Brożek wyjaśnił, że płaszcz należy do niego, kiedyś skaleczył się i stąd te plamy. Korosz przyjął bez komentarza wyjaśnienie, ale polecił dołączyć okrycie do dowodów, które zostaną poddane badaniom.

- Tak, zastaliśmy palące się światło - odpowiedział Brożek

na kolejne pytanie. - Drzwi werandy były zamknięte tylko na zatrask, zawsze były tak zamykane, jeżeli ktoś z domowników był w mieszkaniu.

Major zastanawiał się nad rozkładem pomieszczeń parteru. Kryty, szklony taras stanowił frontowe wejście, z niego wchodziło się wprost do stylowego hallu, ten łączył się z gabinetem, z którego prowadziły drzwi do łazienki, stąd również można było wejść do długiego korytarza przedpokoju, stanowiącego oś całego domu. Z korytarza wchodziło się do kuchni i pokoju gospodyni oraz leżącej naprzeciw łazienki i WC. Korytarz kończył się drzwiami, wychodzącymi na ogród i umieszczonymi przeciwnie do frontowego wejścia z werandy.

Zbadano drzwi prowadzące z korytarza na drugą stronę ogrodu, ich wszystkie trzy zamki były nie tknięte. Nasuwało się przypuszczenie, że Brożkowa sama otworzyła zabójcy wejście wiodące z krytego tarasu.

A więc знаła tego człowieka?

Korosz polecił wymontować wszystkie zamki. Podobnie jak tamte od kasy, zostaną poddane badaniom mechanoskopijnym. Na ich miejsce założono inne, zastępcze.

Oficer daktyloskopii zakończył utrwalanie odcisków linii papilarnych. Było ich łącznie dwadzieścia siedem.

- Nie wszystkie nadadzą się do identyfikacji - westchnął. - Ciekawy ślad znalazłem na framudze drzwi prowadzących z werandy. Silne oparcie dłoni.

Podobny ślad, również silnego oparcia ręki zabezpieczono na blacie empirowego stolika.

Praca nad zebraniem materiału do identyfikacji dobiegła końca. Grupa spakowała sprzęt i opuściła dom przy Szkarłatnej. Major polecił natychmiastowe przekazanie materiału do ekspertyzy.

- Kto ostatni widział pana żonę? - zapytał ogrodnika.

Dowiedział się, że na święta wszyscy domownicy mieli opuścić Warszawę. Pierwsza wyjechała Elżbieta, następnie Brożek. Dwudziestego trzeciego rano miała wyjechać do Krynicy - samochodem z przyjaciółmi - Brożkowa. Wieczorem tegoż dnia ich służąca miała otrzymać wolne aż do drugiego dnia świąt.

Przez ten czas w ogrodzie miał pozostać pies, jedzenie dla niego na pierwszy dzień świąt miało być pozostawione w szopie.

Służąca nie zjawiała się jednak aż do tej pory. Przynajmniej nic nie wskazywało na jej obecność. Brożek nie potrafił wytłumaczyć tego faktu.

Major poprosił ogrodnika do komendy, aby go przesłuchać protokolarnie jako świadka; Elżbieta nie chciała pozostać sama w domu i pojechała wraz z ojcem.

W tym czasie odszukano służącą. Milicja odnalazła ją bez trudu u jej krewnych, pod wskazanym przez Brożka adresem.

Ogrodnik oświadczył, że wyjechał z domu i powrócił tak, jak planował.

Opuścił Warszawę dwudziestego drugiego grudnia - przyjechał dwudziestego ósmego. Przez ten tydzień bawił w Zakopanem, mieszkał w prywatnym pensjonacie na Chramcówkach. Po powrocie przed domem zastał córkę, która zamierzała wrócić dopiero po Nowym Roku.

Elżbieta wyjaśniła, dlaczego skróciła swoje wakacje. Zatrzymała się w schronisku w Morskim Oku z grupą koleżanek i kolegów z uczelni, gdzie mieli spędzić wszystkie wolne dni, dzielące ich od studiów. W trzeci dzień świąt otrzymała rozpaczliwy telegram, nadany przez matkę z Warszawy i wzywający do natychmiastowego powrotu.

- Kiedy była nadana depesza? - zapytał major.

- Nie zwróciłam uwagi na datę.

- Nie wyjechała pani natychmiast, a dopiero po dwóch dniach?

Elżbieta powściągliwie wyjaśniła, że matka znana była z nierównego i kapryśnego usposobienia. Nieraz dla byle głupstwa potrafiła zadrezczać rodzinę i otoczenie. Początkowo więc nie przejęła się treścią wezwania, a nawet się rozgniewała. Później jednak, gdy sobie uświadomiła, że matka z jakichś przyczyn nie wyjechała do Krynicy, mimo że od dłuższego czasu z zapałem przygotowywała się do wyjazdu - zaniepokojona przerwała pobyt w Morskim Oku.

- Jaka była treść telegramu, może go pani zachowała?

Elżbieta nie miała tej depeszy. Zapamiętane przez nią

sformułowania brzmiały mniej więcej tak: wracaj natychmiast - jestem bardzo osamotniona - ojciec nie zostawił adresu.

- Rzeczywiście nie pozostawił pan adresu? - upewnił się inspektor.

- Pewno go zgubiła - mruknął Brożek, ale ta uwaga zabrzmiała nieprzekonywająco.

Inspektor przerwał przesłuchanie ogrodnika i poszedł do pokoju, w którym czekała już gospodyni Brożków - Weronika.

Siedziała wylękniona, z rozbieganymi oczami. Płochliwie przysiadła na brzegu krzesła i zaplotła duże, spracowane dłonie.

- Dlaczego nie zgłosiła się pani do pracy?

Zatrzepotała powiekami. Płaska postać w luźnej sukni skurczyła się, ręce oplotły kolana.

- A to już Boga w sercu trzeba nie mieć, żeby mnie przez milicję do obowiązku ciągnąć - wybuchnęła.

Spojrzała na majora, jej wzburzenie wzrosło. Wyglądało, że nie ma pojęcia o przyczynach sprowadzenia jej do komendy.

- ...nie jestem żaden niewolnik, i jak zechcę, to więcej do nich nie wrócę - stwierdziła z nagłą desperacją. - Pensji mi jeszcze za grudzień nie dała... powiedziała, że jak ja tak, to ona mi nie zapłaci... prawować się z nią nie chciałam, myślę, wróci pan, to mi odda, bo pan Brożek to rzetelny człowiek. Ale czy to sprawiedliwe? Taki dom oporządzić jednymi rękami, to nie żarty... A na Wilię już było umówione, że mam wolne aż do drugiego dnia świąt. Ale i tak bym zachodziła, żeby psa dojrzyć, bo... żal. Ale potem w ostatniej chwili jej się odwidziało, to po ludzku tak?

Z bezładnych, pełnych żalu słów gospodyni inspektor zrozumiał, że w dniu dwudziestego trzeciego grudnia Brożkowa, która nie wyjechała do Krynicy, cofnęła obietnicę wolnych dni dla Weroniki. Gospodyni pokłóciła się z nią i mimo braku zgody opuściła dom, zagroziwszy, że więcej do pracy nie wróci.

- Jak wysoką pensję pani otrzymywała?

- Dwa i pół tysiąca zasług, jedzenie, pokój, ubezpieczalnie - rzetelnie wyliczyła gospodyni. - Na święta i na imieniny pan dawał gratyfikację, ale w utajeniu przed panią, żeby nie

robiła piekła, bo skąpa była aż nadto...

- To bardzo wysoka pensja, tak łatwo pani zrezygnowała? - nie mógł uwierzyć major.

- Desperacja mnie wzięła, bo wytrzymać z nią trudno. Jakbym miała być tylko przy niej, to i za pięć tysięcy nie chcę. Ona uszanowania dla człowieka nie ma, nawet się po ludzku nie odezwie, tylko: niech weźmie, przyniesie, precz!... Jak raz, co tych spazmów dostała, co tę porcelaną potłukła, aż pan z nerw wyszedł i ją uderzył... ja chciałam jej krople podać, to się z pazurami na mnie rzuciła... strach mnie obleciał...

- Jaką porcelaną?

- Bardzo drogą, taką, co tylko do upiększenia w jednym pokoju stała.

- Często pan bił swoją żonę?

- Eee, gdzie on tam ją bił, jakby ją bił, to może i lepsza by była... Mówię panu, że wtedy tylko za tę porcelaną z nerw wyszedł, bo bardzo drogo za te skorupy płacił...

- A dlaczego pani Brożkowa zniszczyła taką drogą porcelaną?

- Tego dnia już od południa zła taka chodziła, to jak on przyszedł po nocy, to ona wstała z migreny, bo leżała, i zaraz jej migrena przeszła, ale znów tych spazmów dostała, że niby... - Weronika urwała w pół słowa i zagryzła wargi.

Mimo nalegań inspektor nie dowiedział się od niej powodów kłótni między małżonkami. Gdy powiedział jej, że Brożkowa nie żyje, Weronika zachlipała, otarła łzę i zaczęła szeptać modlitwę za umarłych.

- To ja już pójde do państwa, pomoc im trzeba w takim nie-szczęściu - powiedziała błagalnie. Nie zatrzymywał jej dłużej.

Major porządkował chronologię faktów. Otóż dwudziestego trzeciego grudnia około czwartej po południu gospodyni po scysji opuściła dom na Szkarłatnej. Brożkowa telefonicznie - co potwierdziło biuro zleceń - wysłała niepokojący telegram do córki i zażądała jej powrotu. Depeszę nadała o wpół do piątej. W rozległym domu, ale opatrzonym solidnymi zamkami, pozostała sama z psem.

Właśnie, pies! Silny, wytresowany dog, nie obronił domowni-

ka? Kto mógł nie wzbudzić jego czujności? Ktoś, kogo uważał za swego pana lub członka rodziny. A więc na pewno posłucha Brożka i pozwoli zamknąć się, powiedzmy, w szopie. To samo może uczynić Elżbieta, no i ich gospodyni.

Zastanawiające, dlaczego Brożkowa nie wyjechała do Krynicy. Cała trójka domowników zgodnie podała nazwisko i adres zaprzyjaźnionej z ogrodnikową pary małżeńskiej. Gospodyni uzupełniła te dane powtórzeniem wiadomości, jaką Brożkowa otrzymała od nich rankiem dwudziestego trzeciego grudnia.

Tego dnia mieli po nią wstąpić samochodem. W ostatniej chwili jednak gotowa już do drogi żona ogrodnika odebrała telefon. Dzwonił mąż przyjaciółki Katarzyny P. Zawiadomił, że jego żona niespodziewanie zachorowała, miała w nocy jakiś ciężki atak i właśnie ekspediuje ją do szpitala. Brożkowa wielkodusznie ofiarowała swą pomoc, lecz pan P. nie skorzystał z jej poświęcenia; przeproszał za uczyniony mimowolnie zawód, zapewniał też, że pomoże Brożkowej w wyjeździe do Krynicy. Ona jednak odmówiła i telefonicznie cofnęła rezerwację w pensjonacie, wyklócając się przy tym o zwrot zadatku.

Inspektor zlecił komendzie dzielnicowej zebranie informacji o małżeństwie P.

Niebawem dowiedział się, że przyjaciele Brożkowej jeszcze nie wrócili z Karpacza, dokąd wyjechali na święta.

Major porozumiał się z milicją na terenie Karpacza, gdzie rzeczywiście bawili ciesząc się najlepszym zdrowiem małżonkowie P.

Ta sprzeczność wymagała wyjaśnień. Korosz zlecił dyskretną opiekę nad tymi ludźmi milicji w Karpaczu. Również warszawska dzielnica, na terenie której mieszkali, miała natychmiast zameldować o ich powrocie.

Korosz otrzymał wreszcie wyniki badania śladów, zabezpieczonych na miejscu zbrodni.

Mechanoskopijna ekspertyza zamków sejfów, jak i obydwu drzwi wejściowych nie wykazała żadnych charakterystycznych uszkodzeń, towarzyszących zazwyczaj włamaniam.

Z utrwalonych dwudziestu siedmiu śladów linii papilarnych sześć nie nadawało się do identyfikacji, piętnaście wyeliminowano - bowiem należały do zmarłej. Z pozostałych sześciu odcisków dwa, niezbyt wyraźne ślady dłoni na framudze drzwi i na blacie stolika - nie nadawały się w zasadzie do identyfikacji daktyloskopijnej, miały natomiast istotne znaczenie dla odtworzenia sytuacji na miejscu morderstwa. Cztery ślady, należące prawdopodobnie do tego samego człowieka, co ślady dłoni - to odciski trzech palców oraz kciuka, pozostawione na gładkiej, wypolerowanej powierzchni poręczy sofy.

Badając położenie śladów dłoni, a szczególnie palców i kciuka, można było stwierdzić, że osoba, która je pozostawiła była mańkutom.

Badanie plam krwi ustaliło obecność czterech jej grup. Jedną z nich o symbolu A z odczynnikiem dodatnim wyeliminowano, ponieważ należała do zmarłej. Między innymi utrwalono ją na przycisku ze srebra i bursztynu.

Pozostałe: grupę krwi Zero o układzie Rh dodatnim znaleziono na metalowych okuciach wolumenu. Krew ta pochodziła od mężczyzny i stwierdzono jej obecność również w kilku miejscach na dywanie w hallu. Ponadto na płaszczu - który wisiał w przedpokoju - zabezpieczono krew o symbolu AB układ Rh dodatni - po badaniach porównawczych stwierdzono, że tę grupę posiada Adam Brożek. Inne ślady krwi, które znajdowały się tylko na płaszczu - w pozostałych próbkach nie występowały - miały symbol B o Rh ujemnym i należały także do mężczyzny. Włos i mikroskopijny skrawek naskórka, ujawnione w klamrze wolumenu, należały do mężczyzny o grupie krwi Zero Rh dodatni.

Mięso opakowane w plastikową torebkę okazało się mielonym mięsem wieprzowo-wołowym, powszechnie dostępnym w sklepach, z zawartością cyjanku potasu o dużym stężeniu. Cechy trucizny były podobne do chemikaliów stosowanych przy produkcji pocztówek dźwiękowych.

W kasie było dwadzieścia trzy tysiące złotych polskich oraz dwa tysiące dolarów w banknotach - rok emisji 1966; w tym

dwa sfalszowane odcinki dziesięciodolarowe, na sumę stu dolarów każdy.

Łączna wartość biżuterii, którą miała na sobie zmarła - następował szczegółowy opis cech i wagi kamieni oraz ich oprawy - została oszacowana przez rzeczoznawców z firmy Jubiler na siedemset tysięcy złotych.

Platynowy zegarek doznał, prawdopodobnie na skutek silnego wstrząsu, pewnych zahamowań mechanizmu i zatrzymał się na godzinie drugiej czterdzieści pięć.

Inspektor sięgnął po protokół sekcji zwłok. Bezpośrednią przyczyną śmierci było uduszenie. Zmarła, dość silna fizycznie, wykazała dużą odporność. Ciosy zadane ciężkim przedmiotem - nie ulegało wątpliwości, że do tego celu posłużył przycisk z litego srebra - ogłuszyły ją i spowodowały liczne urazy twarzy i głowy, jak: zmiżdżenie grodzi nosowej, pęknięcie łuku brwiowego, złamanie szczęki, ale nie były to obrażenia, które bezpośrednio spowodowały zgon. Pozbawiło ją życia dopiero uduszenie, do którego użyto miękkiego pantofla z lamy, a następnie poduszki. Daty śmierci, na skutek dłuższego upływu czasu, nie dało się ustalić precyzyjnie, ale można było przyjąć, że nastąpiła ona między dwudziestym trzecim a dwudziestym szóstym grudnia.

Korosz zapoznał się z jeszcze jedną ekspertyzą, która go rozczarowała i podała w wątpliwość jego dotychczasowe, o tyle uporeczywe, co i bezowocne poszukiwania tajemniczego kakao o niepokojących właściwościach.

Biegły stwierdził, że resztki kakao, znajdujące się w pudełku: Veneer, które inspektor przywłaszczył sobie w piwnicy Brożka, swoim składem w niczym nie różnią się od artykułu tej firmy, powszechnie dostępnego w sklepach. Z dalszych stwierdzeń analizy wynikało, że pudełko jest pochodzenia holenderskiego, bowiem cechy stopu aluminium, cyny i jeszcze innych składników odpowiadają cechom stopu pudełek, dostarczonych na prośbę majora przez radcę handlowego z Hagi.

Inspektor rozłożył przed sobą duży szkic sytuacyjny, przedstawiający parterowe pomieszczenia willi na Szkarłatnej.

Na planie szczegółowo oznaczono nie tylko rozmieszczenie sprzętów i położenie znalezionych przedmiotów, ale i wszelkie ujawnione ślady.

Posiłkując się materiałem, jaki miał do dyspozycji, spróbował odtworzyć przebieg wypadków.

Za godzinę śmierci Brożkowej przyjął drugą czterdzieści pięć; wówczas zatrzymały się wskazówki jej szwajcarskiego zegarka.

Kiedy to się stało, w nocy czy po południu? Brożkowa ubrana była w elegancką wieczorową suknię i pełny komplet kosztownej biżuterii, a więc czekała na kogoś, kogo pragnęła oczarować swoim wyglądem albo olśnić bogactwem. Przemawiałoby to za godziną popołudniową, bo raczej nie przyjmuje się wizyt nad ranem, i do tego w takiej gali.

Z drugiej strony - według opinii najbliższych - Nusia Brożkowa miewała ekscentryczne lub wręcz dziwaczne pomysły. Potrafiła w najmniej odpowiedniej porze dnia paradować w negligiu, a także bez żadnego uzasadnionego powodu stroić się w najlepsze suknie i obwieszać kosztowną biżuterią.

Z sugestii córki i powściągliwych słów Brożka oraz niezbyt subtelnych ocen Weroniki można było wnioskować, że ta niestara jeszcze i żywotna kobieta po prostu czyniła to z nudów. Otoczona wielkim dostatkiem, pływająca się w lenistwie, nie była zdolna do żadnych zainteresowań poza kościołem, kawą z kumami i bridżem.

Nie - pomyślał major - dopóki z kręgu podejrzanych nie wykluczę osób najbliższych zmarłej, nie mogę się sugerować ich opiniami.

Przyjął więc, że Brożkowa czekała na czyjąś wizytę w d z i e ń. Nie był nim dwudziesty trzeci grudnia, biorąc pod uwagę, że scysja z gospodynią wynikła około szesnastej, a depeszę nadała na pewno o szesnastej trzydzieści.

Dlaczego chciała zatrzymać Weronikę? Dla Brożkowej jej osoba nie liczyła się pod względem towarzyskim. Mogły zatem być dwa powody. Pierwszy: bała się pozostać sama na noc. Drugi: była przyzwyczajona do usług. W swoim egoizmie i lenistwie nie mogła się zgodzić, aby być ich pozbawiona, tym bardziej że czuła się pokrzywdzona przez

fakt nieudanego wyjazdu do Krynicy. Prawdopodobnie zrezygnowała z samotnego tam pobytu w obawie przed nudą i brakiem towarzystwa.

Gdzie był pies? Z zeznań domowników wynikało, że dopóki w domu nie spano, przebywał przeważnie na werandzie lub w parterowej części mieszkania. Na górę wchodzić mu zabraniano, ponieważ Brożkowa twierdziła, że miewa pchły i w ogóle brudzi.

Gdy udawano się na spoczynek, dog pozostawał w ogrodzie. Zapewne nocne legowisko miał w szopie - zawsze otwartej - przylegającej do oranżerii, dość znacznie oddalonej od willi. Było jednak mało prawdopodobne, aby ten czujny pies nie zwietrzył obcego i nie narobił przynajmniej potężnego hałasu.

Jak twierdzili domownicy, pies dość łagodny wobec swoich i znajomych, potrafił być w razie potrzeby bardzo groźny. Biorąc pod uwagę jego wzrost i prawie pięćdziesiąt kilogramów wagi, należał do przeciwników, których nikt nie zlekceważy.

Musiał wiedzieć o tym morderca i dlatego w celu unieszkodliwienia Arlekina przyniósł zatrute cyjankiem mięso. Dlaczego jednak nie poczęstował nim psa?

Dog mógł przebywać w odległej części ogrodu. Z tego wynikało, że Brożkowa zupełnie nie bała się swego gościa. Albo - jeżeli zabójcą był Brożek - mógł podrzucić zatrute mięso, aby zmylić późniejsze poszlaki przeciwko sobie. Może nawet w celu odwrócenia uwagi od siebie postanowił naprawdę otruć psa, a następnie coś mu w tym przeszkodziło albo zamiaru zaniechał?

Udział ogrodnika? - nie wykluczony; w miarę jednak postępującego dochodzenia coraz mniej prawdopodobny. A człowiek o grupie krwi Zero? Może to jego współnik, wykonawca?

Major chwilowo odłożył te rozważania i próbował odtworzyć przebieg morderstwa.

Jest jakaś godzina X między dniem dwudziestego czwartego a dwudziestego szóstego grudnia. Rozpoczynają się dramatyczne zmagania Brożkowej z groźnym przybyszem. Odbywa się to najpierw w stylowym hallu. W pewnej chwili Brożkowa ucieka do gabinetu męża. Może stamtąd chciała przedostać się do

łazienki, a następnie na korytarz prowadzący do drugiego wyjścia z willi? Być może napastnik odcinał drogę do wyjścia na korytarz przez hall, jak również do wyjścia z willi przez taras?

W gabinecie następuje dalszy ciąg zmagania - nie udało jej się wymknąć przez łazienkę. Kobieta za osłoną biurka chwytając przedmioty znajdujące się w pobliżu - przeważnie tomy książek - i rzuca nimi w atakującego ją mężczyznę. W pewnym momencie w zasięgu jej rąk znajduje się stary folia, okuty masywną blachą. Metalowa klamra rani napastnika, tamten zadaje cios ciężkim srebrnym przyciskiem. Ogłuszona kobieta pada, ale prawdopodobnie broni się i w tej pozycji. Mężczyzna wywleka ją do hallu - ten pokój z racji swego środkowego położenia i braku okien jest najmniej akustyczny - ale kobieta nadal daje znaki życia i, być może, jeszcze walczy. Zbrodniarz chce ją dobić, masakruje twarz, a później orientując się, że ona wciąż jeszcze żyje, knebluje jej usta sandałem zdartym z jej własnej stopy. Następnie dusi ją poduszką wziętą z najbliższego pokoju.

Po morderstwie ucieka przez drzwi werandy - zamek Yale zatrzaskuje się za nim automatycznie. Nie rabuje nic. Na zwłokach kobiety pozostaje biżuteria oszacowana na kilkaset tysięcy złotych. A walory w szafie pancерnej?

Skąd wiem - pyta siebie major - że w tej kasie nie było nic więcej niż to, co zastałem? Od Brozka. Skąd mam pewność, że ogrodnik powiedział prawdę. Może ma ważne powody, aby utrzymać milicję w przeświadczeniu, że nic nie zginęło, a więc morderstwa dokonano nie w celach rabunkowych. Ale jeśli tak, to dlaczego, jakie są przyczyny?

Pułkownik Lis zapoznał się z opinią biegłych i z uwagą wysłuchał poglądu majora oraz jego wątpliwości na temat motywów zabójstwa.

- Ze szczegółów dochodzenia - mówił inspektor - wynika, że sprawca użył do dokonania zabójstwa przedmiotów, jakie znalazły się na miejscu w willi. Jeżeli ktoś zamierza zamordować człowieka, to chyba zabiera ze sobą jakąś broń. Pistolet, nóż, łom, wreszcie sznur. W tym wypadku należy

raczej przypuszczać, że zamiar zabicia Brożkowej powstał w trakcie wizyty w jej domu. Ponadto, niesłychany bałagan w hallu nie da się wytłumaczyć tylko walką i obroną. Hall jest bardzo obszerny, ma ponad czterdzieści metrów powierzchni. Trudno sobie wyobrazić, żeby zabójca gonił dookoła ścian swą ofiarę i tłukł przy tym z maniacką pasją cenną porcelanę...

- Ile sztuk potłukła Brożkowa w tej słynnej awanturze ze „spazmami”, o której wspominała Weronika? - przerwał Lis.

- Osiem. Ale zostały one sklezione przez konserwatora w kilka dni później... Jak wyjaśnić przygotowanie torebki z zatrutym mięsem? - podjął Korosz i bezradnie spojrzał na pułkownika. - Na pewno dotychczas wiem tylko tyle, że osobnik, o grupie krwi Zero z odczynnikiem Rh dodatnim, stoczył śmiertelną walkę z kobietą i został w tej walce przez nią raniony. Rana musiała być głęboka, jako że mocno krwawił. Poza tym jest on mańkutem. Prawdopodobnie jasnym blondynem lub człowiekiem łysym z resztkami takiego owłosienia; mówi nam o tym procent pigmentu w zabezpieczonym włosie. Jeszcze jedno: ten człowiek ma dostęp do cyjanku potasu w proporcjach używanych do produkcji pocztówek dźwiękowych.

- Brożka można raczej wykluczyć z bezpośredniego kręgu podejrzanych o to zabójstwo - stwierdził Lis odkładając teczkę z ekspertyzami.

- Ale nie można wykluczyć jego udziału w morderstwie. Poza tym intrygują mnie ślady krwi, które ujawniono na jego płaszczu obok plam pochodzących z jego własnej krwi. Grupa B układ Rh ujemny. Nigdzie więcej tej grupy krwi nie stwierdzono, tylko na tym okryciu. Ogrodnik nie potrafił wyjaśnić jej pochodzenia. Czyżby się z kimś bił, a jeśli tak, to kiedy, z kim i z jakiego powodu?

- Musisz dokładnie sprawdzić jego alibi, kontakty, znajomości, przyjaźnie - poradził Lis. - Ale w twoim rozumowaniu są także inne niekonsekwencje. Po pierwsze, skąd pewność, że zamach przygotowano na Brożkową? Równie dobrze mógł być planowany - trzymając się toku

twego dotychczasowego myślenia - na ogrodnika albo na ich córkę. Przecież wiadomym było, że Brożkowa również wyjedzie na święta. Do dnia dwudziestego trzeciego grudnia sama nie miała pojęcia, że pozostanie w Warszawie.

- Skoro już pozostała, mogła się z kimś umówić, chociażby telefonicznie. Zaprosić do siebie, żeby nie zdechnąć z nudów - zauważył major.

- Mogła - przyznał Lis. - Ale równie dobrze mógł przyjść ktoś będąc przekonany, że nikogo z domowników nie ma. Może w celu kradzieży, może w poszukiwaniu czegoś, o czym nie wiemy.

Mógł mieć uzasadnioną pewność, interesując się zwyczajami rodziny Brożków, że to rzadka, a może jedyna okazja, aby spenetrować dom, w którym pozostał tylko pies. Ponieważ plan wyjazdu ogrodnikowej został w ostatniej chwili odłożony, ten ktoś nie mógł już o tym wiedzieć. Zabiera więc truciznę dla psa, a obecność Brożkowej kompletnie go zaskakuje, traci więc głowę. Ta okoliczność wyjaśnia poniekąd sposób działania mordercy.

- Podtrzymujesz opinię, że cel tej wizyty to rabunek lub chęć zdobycia nie znanych nam przedmiotów lub przedmiotu? - upewnił się Korosz.

- Niczego nie sugeruję - zastrzegł się pułkownik. - Motywy zabójstwa nie są dotychczas jasne. Usiłuję tylko wskazać na luki w rozumowaniu, abyś nie trzymał się kurczowo jednego założenia, bo to śledztwu nie pomoże.

- Ale w jaki sposób wszedł ten osobnik. Jak wiesz, nie stwierdzono żadnych śladów naruszenia zamków.

- Postaraj się to wyświecić. Wyniki ekspertyzy nie zwalniają od myślenia. Może ktoś posiada zapasowe klucze od wejścia do tego domu... Może drzwi były zamknięte tylko na jeden zamek Yale, jak to było u nich w zwyczaju, gdy ktoś był w domu. Przecież Brożkowa nie musiała się rygłować na wszystkie spusty, tym bardziej, że furtka w ogrodzie była zamknięta.

- Właśnie, więc ewentualny sprawca, a później przypadkowy zabójca miał dodatkową trudność sforsowania

plotu... Też popełniasz niekonsekwencję...

- Mylisz się. Jeżeli można mieć zapasowe klucze do domu, to i do furtki. Może kiedyś były dorabiane? Sprawdziłeś przynajmniej ślusarza, który montował zamki w willi na Szkarłatnej? Jak widzisz, istnieje jeszcze kilka możliwości.

Inspektor musiał przyznać, że w krytyce szefa jest wiele racji.

- Jak zamierzasz się do tego zabrać? - pułkownik chciał poznać plan dalszego dochodzenia.

- Benedyktyńska robota - westchnął inspektor. - W tej chwili muszę zbadać ponad osiemdziesiąt osób. Są to kontakty handlowe Brożka, towarzyskie Brożkowej, nie mogą również pominąć środowiska córki i gospodyni. Ponadto robotnicy zatrudniani sezonowo u ogrodnika.

- Dużo - przyznał Lis. - Zaczynaj jednak od domowników, no i przede wszystkim wyjaśnij sprawę Katarzyny P. Interesująca jest ta rzekoma choroba.

Kiedy małżeństwo P. wróciło do Warszawy, funkcjonariusz milicji poprosił ich do komendy.

Gdy weszli, major zauważył, że ubrani są jeszcze w narciarskie spodnie i skafandry. Nie zdążyli więc przebrać się po podróży. To dobrze, prawdopodobnie nie wiedzą nic o tragedii w willi na Szkarłatnej.

Państwo P. byli oburzeni bezceremonialnym postępowaniem milicji.

- Mieliście państwo spędzić święta w Krynicy - bez wstępów stwierdził inspektor.

Małżonkowie wymienili zdumione spojrzenia. Pan P. energicznie zaprzeczył. Nie, nie mieli takiego projektu.

- Planowaliście wyjazd razem z panią Janiną Brożkową - z naciskiem oznajmił major.

- Ach, tak... - niepewnie powiedziała Katarzyna P. - Ale nie udało nam się... - nie znajdując na poczekaniu słów usprawiedliwienia, szukała oczami pomocy u męża.

- Nie było tam wolnych miejsc - wyjaśnił. Nic innego nie przyszło mu do głowy.

- Były, państwo z nich zrezygnowali - zauważył inspektor. Zanim doszło do tej rozmowy, sprawdził szczegóły związane

z ich wyjazdem. Również dokładnie ustalił ich alibi. Nie ulegało wątpliwości, ta para nie brała bezpośredniego udziału w zabójstwie. Ale mogą być więzi pośrednie, nawet takie, o których sami nie mają pojęcia.

- Proszę pana - panu P. wrócił kontenans - ostatecznie nasze plany urlopowe to nasza prywatna sprawa! Milicja nie może ingerować w takie sytuacje! - zaciętrzewił się.

- Janina Brożkowa została zamordowana - wyskandował major.

Wiadomość zrobiła piorunujące wrażenie. Oboje P. przez dobrą chwilę nie mogli z siebie wydobyć głosu. Katarzyna P. wybuchnęła płaczem.

- Pan nas posądza... - zawołała dramatycznie.

- Chcę wyjaśnić, dlaczego w dniu zaplanowanego od dość dawna wyjazdu udawała pani ciężko chorą, a pan tę mistyfikację podtrzymywał - chłodno oświadczył major.

- Proszę pana - usprawiedliwiała się Katarzyna P. - Niusia była zbyt zamożna, a my nie mogliśmy sobie pozwolić na takie luksusy. Ona miała mieszkać w pensjonacie ORBIS-u w Krynicy... Początkowo też planowaliśmy Krynice, ale jak obliczyliśmy nasze fundusze... Wstyd mi było przed nią naszego... Poza tym ona przy dłuższym obcowaniu stawała się męcząca... O zmarłych nie mówi się źle - zastrzegła jednym tchem - ale niech pan zrozumie, ja pracuję, i to miał być odpoczynek, mój urlop, a Niusia, uroczą osobą, ale miała kapryśne usposobienie i... urlop przez cały okrągły rok. Zresztą nic dziwnego, była ubóstwiana przez męża... dla niego to straszny cios!

Inspektor zajął się teraz najbliższymi osobami zmarłej. Elżbiety nie łączył z tą zbrodnią. Raczej interesowało go jej środowisko; z niego ewentualnie mógł pochodzić morderca.

Ta jedynaczka w niczym nie przypominała swoich rodziców. Dusił ją atmosfera panująca w domu, miała poważny zamiar po ukończeniu studiów uniezależnić się i wyprowadzić ze Szkarłatnej.

Wiele z tego, co inspektor sam ustalił, potwierdziła w swój zwykły, szorstki i oschły sposób.

- Nie kochałam matki, nic nie mogę na to poradzić. Możliwe, że jestem złą córką, ale nie byłam w stanie z nią współżyć. Wciąż dochodziło między nami do konfliktów... To nie znaczy, że godzę się na tę straszną śmierć.

- Komu mogło zależeć na śmierci pani matki?

- To dla mnie rzecz niepojęta. Ona nie miała ani przyjaciół, ani wrogów. Nikt nie traktował jej serio. Myślę, że przypadkowo padła ofiarą tego bandyty, przed którym dosłownie własnym ciałem broniła swych ukochanych pieniędzy...

- Przecież nic nie zginęło, tak twierdzi pani ojciec - podchwycił major.

- Naprawdę nie orientuję się, ile pieniędzy i kosztowności mieli rodzice - nie powiedziała ani słowa na temat ojca.

- Czy pani matka miała klucze od kasy?

- Nie wiem.

- Studiuje pani ogrodnictwo. Jako córka nieprzeciętnego ogrodnika ma pani ten zawód we krwi. Jakie jest pani zdanie o zmianie cech rośliny pod wpływem stosowania kakao zamiast nawozu?

- Ani pomoże, ani zaszkodzi - skrzywiła się Elżbieta. - Wstyd mi, że ojciec, człowiek z wykształceniem i wiedzą, uprawia praktyki godne ciemnego chłopca. Moim zdaniem to bzdura. Usiłowałam wyperswadować mu te eksperymenty. Poprosił bardzo stanowczo, abym nie wtrącała się do jego d o ś w i a d c z e ń !

- Od jak dawna wpadł na ten pomysł?

- Od powrotu z wystawy w Belgii, EXPO. Jakies cztery lata temu spotkał tam, zdaje się, Van der Meneera, który również ma identycznego bzika.

Tymczasem Cieślik pojechał do Zakopanego, aby sprawdzić alibi Brożka. Przejrzał karty meldunkowe pensjonatu na Chramcówkach, ale nie spotkał nazwiska ogrodnika. Sumiennie więc przewertował zameldowania - w dniach między dwudziestym drugim a dwudziestym ósmym grudnia - we wszystkich hotelach i pensjonatach zakopiańskich.

Na ślad jego pobytu trafił jednak dopiero na Bukowinie Ta-

trzańskiej. Był to dom góralski, wygodny i obszerny. Gospodarze wynajmowali pokoje turystom. Meldunek opiewał na dwie doby: dwudziesty piąty i szósty grudnia. Wraz z Brożkiem zameldowana była tam młoda kobieta. Gospodarze pamiętali nawet wygląd pensjonariuszy. Po dwóch dniach pobytu na Bukowinie Brożek ze swą towarzyszką odjechali do Zakopanego.

Cieślik znowu powrócił do pensjonatu na Chramcówkach. Pokojowa wprowadziła go do obszernego pokoju, spełniającego rolę jadalni. Nadeszła właścicielka o małych, świdrujących oczach. Wywiadowca zapytał ponownie o Brożka i przedstawił się, skąd przybywa.

- Nikt o takim nazwisku u mnie nie mieszkał - zaprzeczyła.

Porucznik był przygotowany na tego rodzaju odpowiedź, zbyt dobrze znał praktyki stosowane przez niektórych właścicieli pensjonatów i pokoi noclegowych.

- Proszę sobie dobrze przypomnieć - poradził. - Osobiście m n i e nie interesują pani wykroczenia podatkowe.

Gospodyni niepewnie milczała.

- Postaram się pomóc pani pamięci. Człowiek, o którego pytam, jest podejrzany o morderstwo, muszę ustalić jego alibi i proszę mi w tym nie przeszkadzać.

Kobieta z ociąganiem i bardzo niechętnie potwierdziła wreszcie fakt pobytu Brożka z ciemnowłosą, ładną kobietą.

- Brożek ma alibi - porucznik po powrocie przekazał majorowi wiadomości uzyskane w Zakopanem.

- Jakby za mało było komplikacji i podejrzeń, to jeszcze na dodatek musiał tam mieszkać nie meldowany - mruknął major.

- Na tym nie koniec. W ogóle szalenie złożony klient - oświadczył Cieślik. - Już dawno takiego nie miałem. On ma kochankę i trzyletniego syna... - porucznik powtórzył wszystko, czego dowiedział się o kobiecie imieniem Marta i o jej związku z ogrodnikiem. - ...Jej matka jest emerytką, mieszka oddzielnie. Do grudnia Marta nie pracowała, podobno ogrodnik taki despota i zazdrośnik. Teraz jednak ma ona zajęcie, a matka opiekuje się dzieckiem.

- Gdzie pracuje?

- Prowadzi własną kwiaciarnię, otrzymała koncesję. Dostawa kwiatów z oranżerii Brożka. Oczywiście za tym sklepem też stoi Brożek. Założenie tego interesu to jego pomysł i jego pieniądze. Wcale mądrze pomyślane. Podatki mu się nie kumulują, ponieważ ogrodnictwo jest jego, a sklep figuruje na nazwisko Marty. Kwiaciarnia rozkręciła się, ma już licznych klientów. Fakt, że towar w niej przedni, no i ta kobieta ma talent do efektownego układania wiązanek. W sklepie pomaga ten półgłówek, brat wściekłej kocicy, pamięta major, wspominałem o niej przy okazji kakao preparowanego przez Brożka. Marian Szkudlarz, tak się nazywa, skończył kurs samochodowy, zdał trzecią kategorię i teraz jest kierowcą bagażówki, oczywiście u Brożka. Dostarcza kwiaty do sklepu i w ogóle wykonuje cięższe prace zarówno w sklepie, jak i na plantacji ogrodnika.

- Prowadzi wóz? Nie taki znowu półgłówek, skoro się nauczył szoferki.

- On nie jest debilem, tylko ciężko i mało myślący. Myślenie go męczy, rozumie major? Na tyle starczyło mu jednak pomysłu, aby opanować kierownicę i arkana motoru. Poza tym on to bardzo lubi. Samochód pięci jak kochankę. Na kurs posłał go ogrodnik.

- Nie dziwi cię altruizm ogrodnika?

- To nie altruizm, a dobre handlowe wyliczenie. Praca tych dwojga już dawno zwróciła mu to, co w nich zainwestował, a nie było to znów tak wiele. Wyzyskuje ich w miarę, ale równie tanich robotników musiałby długo szukać.

Inspektor skrzętnie składał notatki z informacjami Cieślaka, a w miarę postępowania sondażu środowiska plantatora ze Szkarłatnej krąg osób, które trzeba było sprawdzić, coraz bardziej się powiększał.

- Utonę wśród tych informacji - poskarżył się Lisowi, referując dalsze wiadomości. - Jeszcze trochę a pogubię się w tej powodzi nazwisk, osób, ich związków między sobą, różnych koneksji i zależności...

- Jeśli będziesz zajmował się równocześnie osiemdzie-

sięcioma osobami, możesz na pewno przeoczyć sprawcę - mruknął Lis.

- Teraz zajmuję się ukochaną Brożka i jej pomocnikiem półgłówkiem...

- Przecież ten brat Magdy to nic nowego - zdziwił się pułkownik.

- Poczekaj, myślę o Marcie. Młoda kobieta, rozwódka, po bardzo nieudanym pierwszym małżeństwie, spotyka bardzo bogatego człowieka, który ją utrzymuje e...

- Ogrodnik jest na tyle przystojnym i interesującym mężczyzną, aby kobieta zajęła się nim dla niego samego, a nie dla jego pieniędzy - zauważył Lis.

- Owszem, jest - zgodził się inspektor. - Ale mogła dojść też do wniosku, że Brożkowa jest przeszkodą, którą należy, a nie da się inaczej, usunąć. Można przyjąć, że Brożek z jakichś względów nie chciał rozwieść się z żoną.

- Rzeczywiście, gdyby chciał, mógłby stosunkowo łatwo uzyskać rozwód -- zgodził się pułkownik. - W jego sytuacji problemy materialne nie wchodzi w grę. Nie sądzę też, aby to małżeństwo łączyło jakieś uczucie.

- Mogą być jeszcze inne powody - wtrącił Korosz. - Na przykład niemożliwość podzielenia worka z pieniędzmi. A może Brożka z żoną wiązały takie interesy, o których nam się nie śniło?

- Interesy? - skrzywił się Lis. - Znowu pewno budujesz coś na tym legendarnym kakao. Mętne to... Nie, nie twierdzą, że to zupełna bzdura, Andrzej, tylko jak dotychczas mimo starań nie uzyskałeś żadnych konkretów. Dajmy na razie spokój tamtej historii...

- Ukrywanie rzeczywistych dochodów również może być interesem, wspólnym interesem małżeństwa takiego, jak Brożkowie - inspektor nie podjął tematu kakao firmy Veneer.

- Sądzisz, że nie wystąpił o rozwód, bo obawiał się, że porzucona żona może napisać donos, no to co? W najgorszym razie dostałby domiar. Mało przekonywające, aby ktoś nie rozwiódł się ze strachu przed domiarem. Załóżmy na razie, że Brożek z jakichś powodów nie chciał

rozwieść się z żoną i Marta postarała się, aby ją usunąć. Jak to zrobiła?

- Ma wprawdzie szwagra, ale raczej nie biorę go pod uwagę - głośno zastanawiał się major. - Ostatnio do pomocy w kwiaciarni dał jej Brożek osiłka, na którego łatwo uzyskać wpływ. Osilek nie jest jednak zbyt mądry ani zbyt przebiegły, ale dość silny. Ten bałagan i te beztrzesko pozostawione ślady nawet pasowałyby do niego jako wykonawcy. Poza tym miał wstęp do willi.

- O ile wiemy, to tylko do ogrodu i na werandę, w najlepszym wypadku do kuchni - zauważył Lis. - Poza tym nie sądzę, aby Brożkowa nałożyła na siebie komplet biżuterii tylko w celu sprezentowania go robotnikowi swego męża.

- Mogła się ubrać dla kogoś innego - upierał się major. - Powiedziałem, że nie posądzam Mariana o wymyślenie planu zabicia ogrodnikowej. Jeżeli on jest wykonawcą, to wbito mu w głowę, jak ma się zachować. Z Brożkowa mógł się umówić ktoś inny i być może on spłoszył Mariana, nic o tym nie wiedząc.

- Szybciej skompletuj materiał porównawczy. Odciski dłoni, włosy i grupę krwi. Weź jednak pod uwagę także szwagra Marty. Nie zapomnij o cyjanku dla psa. Ktoś z nich, nie wyłączając Marty lub Brożka, mógł dostarczyć truciznę, tylko... przecież ten pies zna Mariana i traktuje go przyjaźnie, tego chłopaka wpuściłby nie tylko do ogrodu, ale i do domu, więc po co byłby potrzebny cyjanek?

Zadzwonił telefon, Lis podniósł słuchawkę; zwrócił się do Korosza zasłaniając dłonią mikrofon:

- Andrzej, w biurze przepustek czeka na ciebie pani Emilia, matka Marty. Chce się z tobą pilnie widzieć. Wzywałeś ją?

- Nie.

Inspektor pośpieszył do siebie. W sekretariacie wstała na jego widok pani w średnim wieku, szczupła, zadbana, ubrana z dyskretną elegancją. Major poprosił ją do gabinetu.

- Słucham? - uśmiechnął się do niej i gestem wskazał krzesło.

- Chcę złożyć zeznanie - powiedziała z tłumionym napię-

ciem. Następnie jednym tchem wymieniła swoje nazwisko i adres. Tym samym tonem oznajmiła, że jest daleką krewną Janiny-Niusi Brożkowej. Ponadto - w sposób uprzedzający ewentualne pytania na ten temat - powiedziała, że wie o związku swojej córki z Brożkiem.

- Przykro mi o tym mówić i boli mnie, że Marta tak się zaplątała... Córka jest z natury skryta, a w tym wypadku jeszcze bardziej ukrywała swoje sprawy. Trwało to kilka lat. Wiadomość spadła na mnie nagle, Marta powiedziała mi o tym dopiero wówczas, gdy spodziewała się dziecka. Wtedy na wszystko było już za późno... To dla mnie bardzo ciężkie przeżycie.

- Często się pani spotykała z Brożkową?

- Nie. Bywałyśmy u siebie kilka razy do roku, przeważnie na imieninach lub z okazji świąt. Podczas jednego z takich przyjęć Marta poznała męża Niusi... Ja nie dążyłam do kontaktów z nimi, krępowała mnie ich zamożność, no i... charakter kuzynki... często bywała niedelikatna.

- Czy to mi pani chciała powiedzieć?

- Dowiedziałam się o strasznej śmierci Brożkowej - podjęte pani Emilia - i mimo że może to nas - z naciskiem podkreśliła ostatnie słowo - obciążyć w pana oczach, czuję się w obowiązku poinformowania pana o pewnej sprawie. Wahałam się, może nawet za długo... bałam się i dręczyło mnie sumienie. Zwierzyłam się nawet Adamowi Brożkowi - bardzo oficjalnie wymieniła nazwisko przyjaciela córki. - Poradził, abym przysłała z tym do pana i niczego nie ukrywała...

W miarę jak mówiła, coraz mniej panowała nad sobą. Wynurzenia na temat córki wiele ją musiały kosztować. Major doskonale rozumiał nastrój tej kobiety - desperację, lęk, wstyd i upokorzenie; nie przerywał, cierpliwie czekając na dalsze słowa.

- W Wigilię zadzwoniła do mnie Brożkowa - podjęła pani Emilia. - Powiedziała, że wie o Adamie i Marcie. Z jej słów wynikało, że to przez Martę jest samotna, opuszczona i nawet w święta zupełnie sama w domu. Zażądała, abym do

niej przyszła. Domagała się rozmowy i pomocy w naprawieniu krzywdy wyrządzonej jej przez moją córkę. Uważała, że ja powinnam na nią wpłynąć, aby zrezygnowała z tego hańbiącego związku, tak to określiła. Obiecywała... pieniądze - głos pani Emilii zniżył się do szeptu. - Nie powiedziałam jej, że już dawno nie mam najmniejszego wpływu na córkę. Czułam moralny przymus, aby stawić się na tę okropną rozmowę z oszukiwaną żoną, skoro ona tego żąda.

- Była pani u niej w Wigilię?

- Nie. Miała być u mnie na kolacji druga córka z zięciem i nie mogłam odwołać już ich wizyty.

- Nie zaprosiła pani Brożkowej, wiedząc, że jest zupełnie sama?

- Nie. Nie stać mnie było aż na taką obłudę... Bałam się, że obydwie nie zapanujemy nad sobą. Poza tym byłam rozstrojona tą rozmową, ona... odniosła się do mnie bardzo agresywnie, no... - szukała słów, aby powściągliwie określić scenę, jaką zrobiła tamta.

- Kiedy więc pani się z nią widziała?

- Umówiłam się na dwudziestego czwartego, na trzecią po południu. Ale już jej nie zobaczyłam.

- Proszę mówić bardzo dokładnie, to może być niesłychanie ważne - poprosił inspektor, zaskoczony zbieżnością tego dnia i godziny z czasem śmierci Brożkowej.

- Zadzwoiłam do furtki, nikt nie otworzył. Dom sprawiał wrażenie, że nikogo w nim nie ma. Postąpiłam trochę, pomyślałam, że może ona zmieniła zdanie i zrezygnowała z tej okropnej rozmowy... Jeszcze raz zadzwoniłam - nikt nie otworzył. Więc odeszłam od bramki i szłam ulicą w stronę miasta... Wtedy zobaczyłam tego człowieka. Mijałam właśnie róg parkanu, otaczającego posiadłość Brożków. On również szedł wzdłuż parkanu, tylko od strony, która jest prostopadła do ulicy Szkarłatnej. Jakoś tak zachnął się, gdy mnie zobaczył, gwałtownie minął i poszedł, prawie pobiegł w stronę Siekierok.

- Jak wyglądał ten mężczyzna?

- Średniego wzrostu, średniej tuszy, raczej szczupły. Gdy mnie mijął, trzymał ręce w kieszeniach. Na mój widok jakoś tak bardzo szybko je wyjął, że aż się złęłam. Pomyślałam: może to jakiś chuligan i chce mnie napaść... tam takie pustkowiec...

- Wyglądał na chuligana, na człowieka o złych zamiarach?

- Nie... był nawet porządnie ubrany.

- Proszę określić, jak?

- Brązowy płaszcz z cienkiej tkaniny w rodzaju panory, tylko ze sztucznego włókna. To jest taki materiał na laminacie. Spodnie chyba szare lub marengo, ale na pewno ciemne. Brązowe buciki- botki, czapka z brązowego futerka.

- Jaką miał twarz, oczy, usta?

- Twarz raczej szczupła, pociągła... reszty nie mogę określić. Była już szarówka, a on bardzo szybko mnie minął. Poza tym było mi tak nieswojo przez ten jego gest, że patrzyłam raczej na jego ręce. Obejrzałam się jeszcze za nim odruchowo, ale on wówczas już prawie biegł i nie oglądał się za siebie.

- Dlaczego wobec tego tak dokładnie zapamiętała pani rodzaj jego płaszcza?

- Ponieważ był z tego samego gatunku i o takim samym kroju, jak mego zięcia. Te płaszcze pokazały się w handlu dopiero w tym roku późną jesienią... pomagałam mu go wybrać. Kupiliśmy taki płaszcz, tylko w kolorze butelkowym.

- Gdybym pani pokazał fotografię lub człowieka, jeśli byłby podobny do tamtego mężczyzny, rozpozna go pani?

- Nie wiem... może?

- Gdy pani dzwoniła do furtki, czy spostrzegła pani psa Brożków, nie było go w ogrodzie?

- Nie, psa nie widziałam ani nie słyszałam. Może był w domu lub w bardzo odległej części plantacji?

- Nie zdziwiło panią, że Brożkowa umówiła się w tak ważnej dla niej sprawie i nie otworzyła drzwi?

Kobieta przygryzła wargi i gorączkowo zaczęła szukać papierosa. Drżały jej przy tym ręce. Przyjęła podanego przez majora „Ligerosa” i wreszcie podniosła na inspektora oczy.

- Janina miała bardzo nierówne i kapryśne usposobienie. A po drugie, poczułam ulgę i prawie zadowolenie, że uniknęłam bardzo nieprzyjemnej i upokarzającej dla mnie sytuacji, że nie usłyszę wyzwisk, na które nie będę mogła i umiała odpowiedzieć... że nie będę świeciła oczami za winę mojej córki. Powie pan: - struś! Ale właśnie to czułam odchodząc od zamkniętej furki. Mówię szczerze, skoro już zdecydowałam się na wyjawienie tego wszystkiego.

- Brożek nalegał, aby pani złożyła to zeznanie?

- Prosił tylko, twierdząc, że to mój obowiązek... Mówił, że panowie podejrzewacie o współnictwo w tym morderstwie jego i Martę... Przecież mojej córce zależało, i jeśli mam być szczerą, to bardzo zależało, na małżeństwie z Adamem... Ale nie za taką cenę, majorze - zakończyła bardzo cicho.

- Gdy pani stała pod parkanem, musiała pani widzieć werandę.

Kobieta potwierdziła skinieniem głowy.

- Czy widziała pani światło we wnętrzu willi?

- Było ciemno, cicho, dom stał jak wymarły - wzdrygnęła się na to porównanie i mocno zaciągnęła się papierosem.

5.

GRUPA KRWI: ZERO

Inspektor otrzymał ekspertyzę. Czytał: - ...badanie materiału porównawczego wskazuje na duże podobieństwo składu chemicznego i biologicznego włosów, należących do osobników Ygrek i Alfa. Widmo elektronowe kształtuje się...

- następował opis, z którego wynikało, że przesłane do badania włosy mają cechy zbliżone, lecz nie identyczne. Na końcu biegły ostrożnie formułował: - oba rodzaje badanych włosów mogą pochodzić od tego samego osobnika, ale z całą pewnością nie da się tego stwierdzić.

Major ze zniecierpliwieniem odłożył ekspertyzę i sięgnął po następną, dotyczącą badania krwi. W tym wypadku hematolog

zaopiniował krótko i jednoznacznie.

...Krew osobnika Alfa jest grupy Zero o układzie Rh dodatnim.

Przesyłając dane do badań porównawczych inspektor symbolem Ygrek zaszyfrował sprawcę zabójstwa Brożkowej, Alfą oznaczył Mariana Szkudlarza, brata Magdy. Chciał w ten sposób wykluczyć jakiegokolwiek elementy, mogące zasugerować biegłych, a o sprawie w willi na Szkarłatnej było już głośno, przy czym uporczywie wymieniano nazwisko Szkudlarza jako sprawcy morderstwa.

Inspektor przyglądał się analizie krwi Szkudlarza. Tę samą grupę miał człowiek, którego ślady zabezpieczono na miejscu zabójstwa. Korosz zamyślił się, rozważał ewentualność uzyskania nakazu aresztowania od prokuratora. Identyczna grupa krwi, zbliżony rodzaj włosów, to bardzo poważne poszlaki... ale... Podniósł słuchawkę selektora, połączył się z komendą dzielnicową.

- Proszę o zatrzymanie Mariana Szkudlarza na czterdzieści osiem godzin! - polecił.

Był ranek. Mariana zastano w rodzinnym baraku przy śniadaniu. Magdę to wydarzenie doprowadziło do rozpaczki. Marian natomiast poddał się biernie; kilkanaście minut później wprowadzono go do gabinetu inspektora.

Korosz obserwował chłopaka; siedział nieco przygarbiony, krępy, masywny, o szerokich barach siłacza. Mocne ręce, uwalane czymś, bezwładnie trzymał na kolanach. Spod nisko zarośniętego czoła patrzyły zimne, blade oczy bez wyrazu, usta miał lekko rozchylone.

Wszedł technik, aby utrwalić odciski palców. Marian ochoczo wyciągnął do niego brudne dłonie.

- Majorze! - technik wskazał inspektorowi ręce chłopaka. Cała ich wewnętrzna strona była w strupach podbiegniętych ropą. Widocznie dawniej pokaleczone i zaniedbane, opuchły, jątrzyły się teraz i wymagały interwencji chirurga. W żadnym wypadku nie sposób - przynajmniej teraz - daktyloskopować tego człowieka.

- Gdzieś się tak pokaleczył? - zapytał Korosz.

- Przy wozie - zaseplenił Marian. Z jego skąpych, trudno kleconych zdań inspektor zrozumiał, że któregoś dnia, gdy był silny mróz, poranił sobie ręce o metalowe części samochodu. Następnie - ponieważ nie zwracał na to uwagi - pod wpływem smarów i benzyny skaleczenia rozogniły się.

- Gnoi się i gnoi - wyjaśnił. - Szef dał urlop i kazał do ubezpieczalni, ale kto by miał cierpliwość... a o samochód też trzeba dbać.

Major, ciągle go obserwując, zastanawiał się nad tymi okaleczeniami. Rzeczywiście powstały przy pracy i nic więcej? Czyż nie jest to próba uniemożliwienia identyfikacji odcisków tych wielkich, szerokich dłoni? Kto wymyślił taki sposób? Bo przecież nie ten osilek - o tym był przekonany. Kto kazał mu zrobić te podejrzanе rany i na co liczył?

Powiedzmy, że nawet uzyska kilka tygodni zwłoki, ręce podgoją się i ślady ich będzie można porównać. Chociaż? - gdyby rozjątrzone strupy ponosił dłużej bez leczenia, mogłyby utworzyć się przetoki, a być może wówczas po wygojeniu pozostałyby gęste blizny, które zniekształciłyby rysunek linii na skórze. Wtedy badania porównawcze przyniosłyby niechybnie zastrzeżenia typu: - ...mogą ... nie pozwalają... brak podstaw dla ustalenia tożsamości...

Ekspertyza z niewinnym słówkiem: mogą to już nie dowód, trzeba ją wówczas tłumaczyć na korzyść podejrzanego - robi to w podobnych przypadkach każdy sęd.

Poproszono lekarza, który opatrzył dłonie Mariana.

- Na mnie się goi jak na psie! - zapewnił Marian. Wydawał się zadowolony z faktu, że jest obiektem zainteresowania aż trzech naraz osób.

Korosza coraz bardziej zastanawiał ten chłopak. Czy jest aż tak infantylny, że bawi go ta sytuacja, udaje czy kpi?

Zarządził, aby Szkuclarzem zajęli się psychiatra i psycholog.

Marian nadal z tą samą gorliwością chętnie odpowiadał na pytania, poddawał się przeróżnym testom.

Ocena specjalistów brzmiała: inteligencja niżej przeciętnej, pewien infantylnizm, ale ciągłość osobowości i pełna świadomość czynów. Uczuciowy, łatwo ulegający wpływom.

Natura uległa, skłonna do absolutnego podporządkowania się silniejszej indywidualności. I jeszcze jedno: Szkudlarz jest oburęczny. Niezupełnie mańkut - to znaczy z przewagą czynności wykonywanych lewą ręką, natomiast jego obie ręce wykształcone są w jednakowym stopniu. Cecha dość rzadka wśród ludzi.

Zagęściły się poszlaki wokół Mariana Szkudlarza. Identyczna grupa krwi oraz jej układ serologiczny, leworęczność, podobieństwo włosów. Jednak z tego wszystkiego tylko właściwości krwi były pewne.

Jeszcze należało brać pod uwagę jego cechy psychiczne, jak podporządkowanie się, łatwe uznanie lidera, które mogą bez trudu pchnąć go do określonego czynu. Poza tym ten chłopak jest zadomowiony w gospodarstwie na Szkarłatnej. Tylko wobec tego po cóż miałby przynosić zatrute mięso, przecież pies go zna?

Pani Emilii pokazano zdjęcie podejrzanego, umieszczone wśród trzydziestu innych fotografii. Na jednej odbitce Szkudlarz był w futrzanej czapce i płaszczu z laminatu.

Kobieta z wahaniem wskazała tę właśnie fotografię.

- Widzę jakieś podobieństwo... taka sama czapka, klapy palta, ale twarz...? Zapadał zmrok, wyraźnie nie widziałam rysów, czapka rzucała na nie cień... Przy tym bałam się - powtórzyła.

Inspektor przygotował już dziesięciu ludzi, w tym i Szkudlarza, ubranych w płaszcze i takie czapki, stosownie do rysopisu człowieka, widzianego przez nią o zmierzchu w pobliżu willi Brożków.

Ustawił ich rzędem. Stali nieruchomo jeden obok drugiego, z rękami w kieszeniach, w pozie, którą opisała matka Marty.

Pani Emilia z ukrycia - w pokoju specjalnie przystosowanym do tego rodzaju konfrontacji - z napięciem obserwowała trwających w bezruchu mężczyzn i niezdecydowanie milczała.

- Nie mogę nikogo rozpoznać - powiedziała usprawiedliwiająco, jakby chciała przeprosić majora za uczyniony zawód.

- Proszę jeszcze popatrzeć. Oni zaraz powtórzą gest, który wówczas panią tak przestraszył.

Pierwszy mężczyzna gwałtownie wysunął dłonie i zrobił kilka szybkich kroków. Powtórzył tę scenę kilkakrotnie. Później znikł z pola widzenia.

- To nie on - westchnęła pani Emilia.

Następny sobowtór pojawił się w kadrze zamaskowanego w ścianie ekranu i odegrał kilkakrotnie swój epizod, potem usunął się w cień dając miejsce następnemu. Pantomimę powtórzyło pozostałych ośmiu mężczyzn.

Pani Emilia nie rozpoznała jednak w żadnym z nich tamtego człowieka.

Inspektor w dalszym ciągu biedził się nad Szkudlarzem. Przesłuchiwał go, ale nie było to łatwe. Wprawdzie chłopak odpowiadał chętnie, lecz z jego kulawych, chropowatych zdań niewiele dało się wywnioskować. Sprawiał przy tym wrażenie, że zupełnie nie rozumie ani się nawet nie domyśla, o co go podejrzewają.

- Gdzie byłem dnia dwudziestego czwartego? - zamyślił się nad tym pytaniem i wbił oczy w sufit.

Czy naprawdę nie pamięta, czy gra tak dobrze, czy też może jest jeszcze bardziej ograniczony, niż stwierdził to psycholog?

- Aaa! - blade, zimne oczy przeniosły się na majora, wargi rozciągnął uśmiech, zaśniły białe, mocne zęby. Znikł z twarzy wyraz ciężkiego napięcia.

Teraz wygląda nawet sympatycznie - pomyślał inspektor.

- Przypomniałem sobie - zawiadomił Marian. - Rano byłem u matki, a później spałem.

To już inspektor wiedział bez jego pomocy. Cieślik ustalił, że Szkudlarz rzeczywiście pojechał pierwszym pociągiem do Pruszkowa, gdzie w zamkniętym zakładzie dla alkoholików dotychczas przebywała na kuracji odwykowej jego matka, umieszczona tam dzięki staraniom dzielnicowego. Widziano go w szpitalu, zresztą na tę wizytę dał zezwolenie lekarz.

Marian - niby taki półgłówek - a zręcznie nakłamał, że ma wolne tylko to przedpołudnie, bo w pozostałe dni świąt pracuje. Pozwolono mu zatem - wbrew regulaminowi - zobaczyć się z matką.

O jedenastej z minutami opuścił zakład i wyjechał z Prusko-

wa. Po tym jest luka w czasie i nikt godny zaufania nie może potwierdzić jego oświadczenia, że spał. Nikt również nie może poświadczyć, co robił w pozostałe dni świąt.

Marian natomiast twierdził, że w pozostałe dni świąt również spał, jadł oraz grał z Magdą w tysiąca - na pieniądze. Ona miała wygrać od niego trzydzieści złotych.

- Co lubisz poza kartami?

- Filmy, ale takie, jak się naparzają, i chciałbym się nauczyć grać na gitarze, ale na razie pieniędzy na instrument nie mam.

- Sam też lubisz naparzać?

- Eee, nie - zaczął się wiercić na krześle. - Ja jestem za silny... jeszcze bym komu krzywdę zrobił... A Magda też nie pozwala.

- Masz kolegów? - indagował inspektor.

- Eee, nie. Magda nie pozwala, mówi, że z włóczenia nic dobrego nie wyjdzie - westchnął ciężko. - A i czasu nie ma, bo najpierw nauka i rycie na plantacji doktora, a teraz jest dość roboty w szklarni i koło samochodu... szofer jestem! - wyprostował się z dumą.

Magda, Magda, Magda. Prawie żadne zdanie nie obywają się bez tego imienia. Widać wyraźnie, że siostra panuje nad nim wszechwładnie, że jej słucha, że ta młodsza od niego dziewczyna jest dla niego najwyższym autorytetem.

Wrócili członkowie ekipy, którym major zlecił przeprowadzenie rewizji w baraku zajmowanym przez rodzeństwo. Nie znaleziono żadnych przedmiotów pochodzących z rabunku na Szkarłatnej. Nie znaleziono również płaszcza podobnego do tego, który miał na sobie uciekający człowiek, widziany przez jedyne go świadka. Nic, co mogłoby wskazać na związek Szkudlarzy z tą sprawą.

Zawiadomiono inspektora, że dzielnicowy z Czerniakowa przyszedł wraz z Magdą Szkudlarzówną i czekają na dole. Major przez cały dzień był ciekawy, czy dziewczyna przezwycięży strach i przyjdzie dowiedzieć się o brata z własnej woli. Zniecierpliwiała go gorliwość dzielnicowego, sądził bowiem, że obecność Magdy w gmachu komendy to jego

inicjatywa.

Poprosił do siebie sierżanta i zwrócił mu uwagę na tę wątpliwą przysługę.

- Przybiegła do mnie z płaczem - wyjaśnił sierżant. - Nawet nie wiedziałem, że u nich rewizja, i zaczęła prosić: - panie dzielnicowy, niech pan ratuje, brata mi na mordercę chcą zrobić. Dziewczyna została sama... człowiek nie kamień, to i przyprowadziłem. Jeżeli niesłusznie, to odprowadzę z powrotem. Tylko że na moje rozeznanie Marian nie jest zabójcą ogrodnikowej...

- Skąd Magda wie, że podejrzewamy go o zabójstwo?

- On to nie wiem, czy się orientuje, ale ta mała jest myśląca, więc się boi. Pół Czerniakowa o niczym innym nie mówi, tylko o tym morderstwie, już tam ludzie na Szkudlarzów gadają.

- Waszym zdaniem Szkudlarz nie pasuje do tej sprawy?

- Za głupi - zaopiniował dzielnicowy. - Poza tym to nie ten charakter, rozumie major? Na moje oko to Brożkową zabił ktoś, kto przyszedł na rabunek. Dookoła krążą legendy o ich bogactwie, to i skusił się jakiś bandzior. Ale wśród moich baranków, a dobrze się wszystkim przyjrzałem, nie widzę takiego... Jestem prawie pewny, że to gościnne występy, a nikt z Czerniakowa...

Major słuchał opinii o plantatorze ze Szkarłatnej i o rodzeństwie. Pomyślał, że w rozumowaniu dzielnicowego jest dużo zdrowego rozsądku. Milicjant w swój surowy sposób opowiadał o podopiecznych i bronił Mariana przed tak ciężkim zarzutem.

- Typowałem ich do napadu na Holendra - stwierdził. - Ale tylko dlatego, że występowała dziewczyna. Pomyślałem wtedy, że Magda, ta szalona diablica, gotowa coś takiego wymyślić, chociażby dla draki, jak to ona mówi. Tylko ona mogłaby wciągnąć Mariana do takiej roboty, bo on jej ślepo słucha i bardzo jest do niej przywiązany. No, ale Brożek stwierdził, że byli wówczas u niego do późna, a i uszkodzony nie rozpoznał.

- Uważacie jednak, że są zdolni do napadu?

- Napad napadowi nie równy, od tego jednak daleko do

morderstwa... - sierżant nie precyzował swej koncepcji, dotyczącej jakości napadów. Inspektor rozumiał, że zdaniem dzielnicowego rodzeństwo, nawet jeśli dokonałoby rabunku w takich okolicznościach, nie byłoby zdolne do zabójstwa.

- Ostatnio poprawili się nie do poznania, to znaczy Magda... nie ta dziewczyna, no! jeszcze nie krysztal, ale spoważniała i serio o życiu myśli.

- Dlaczego Brożek tak się nimi opiekuje?

- Ma z nich wyrękę, i to za tani grosz.

- Brożek wymyślił tę naukę szoferki dla Szkudlarza?

- Eee tam, Brożek, taki ojciec to on dla nich nie jest. Bez przesady - zaprzeczył dzielnicowy. - To było jeszcze gdzieś wiosną. Ich matka znowu narozrabiała, jesionkę Magdy wyniosła i sprzedała na wódkę. Poszedłem do nich, bo Marian zbił matkę. Sam z siebie nigdy tego nie robił, tylko jak Magda kazała. Znowu przygroziłem - bo choć życie z nią mieli ciężkie, nie mogłem pozwolić, żeby ją bili...

Poza tym miałem do nich jeszcze pretensję, bo królik z działki jednemu zginął i tak mi to do Magdy pasowało.

- Często maltretowali matkę?

- Tylko jeżeli coś wyniosła z domu... Więc jak wtedy przyszedłem, królik był już w garnku, a ta mała diabliska płakała po jesionce, bo wiosna była zimna, a ona nie miała co na grzbiet włożyć. Ja o króliku, a ona do mnie: pan na nas tacy, owacy, ale żeby pomóc, to nie ma komu. Jak pan taki mądry, to niech pan fach Mańkowi załatwi... Pyskata jest, a i bluznąć potrafi, że i furman lepiej nie umie. Mówię, nie podskakuj, bo ja ci rogów przytrę i o tego króla sprawę zrobię, dość już mam tych złodziejstw... Ale w jakim fachu chce Maniek startować, butelki już nierentowne? To ona, żeby na kurs szoferski mu pomóc się dostać, bo aż się trzęsie do kierownicy. Siedem klas ma, więc jak go poprę i pomogę załatwić, to przyjmą. Załatwiłem ten kurs, bo myślę, jeżeli zamięłowanie ma, to mimo że ciężko myślący, może się nauczyć, a jak już będzie umiał, pójdzie do pracy, zarobi... kury przestaną ginąć.

- Brożek zapłacił za ten kurs?

- Ogrodnik dał im a konto trzy tysiące złotych na wpisowe. Sam te pieniądze do kasy kursu zaniósłem, bo pomyślałem, że jak dostaną do ręki taką sumę, to w głowie im się przewróci i jeszcze wydadzą na głupstwa. Szkudlarze oboje odrabiali te pieniądze. Tak że im żadnej łaski Brożek nie zrobił. Od tej pory, jak dług zaciągnęli, to i punktualniejsi do roboty byli. Magda ma swój honor...

Po wyjściu dzielnicowego inspektor poprosił Magdę; weszła ubrana w zniszczoną męską kurtkę, ale w nowej wymyślnej czapce na głowie.

- Dlaczego pan zamknął Mańka, on nic nie winien - powiedziała błagalnie.

- Muszę wyjaśnić pewne szczegóły - odpowiedział inspektor.

- Co robiłaś dwudziestego czwartego grudnia? - dodał od niechcienia.

- Muszę sobie przypomnieć - oświadczyła i zamyśliła się głęboko.

Udaje - pomyślał major. - Chce zyskać na czasie i zorientować się, co ja już wiem. Nie nalegał, cierpliwie oczekiwał na jej odpowiedź.

Milczenie przeciągało się. Jasnym było, że Magda boi się, aby jej nie złapał na kłamstwie. Chciała powiedzieć tylko to, o czym - jak przypuszczała - milicja była poinformowana.

Inspektor udawał, że wierzy w jej brak pamięci i nie śpiesząc się rozłożył na biurku duży plan posiadłości i plantacji Brożka.

Magda cała zrobiła się oczami - udając, że wcale jej nie obchodzi, co robi inspektor, usiłowała dojrzeć i zorientować się, co znaczy ta mapa i jaki związek może mieć z zadaniem pytaniem.

- Dostaniesz zeza - zauważył major. - Proszę, obejrzyj to sobie - przysunął do niej plan. - Jak myślisz, co to jest?

Magda zarumieniła się z przykrości, że została przyłapana na tym podglądaniu. Skwapliwie pochyliła się nad biurkiem, aby ukryć zmieszanie.

- Plantacja i ogród doktora - stwierdziła po chwili. -

Szklarnie, oranżeria... - wodziła palcem po znakach legendy - willa, składzik - wciągnęło ją to rozpoznawanie znanych miejsc. - Parkan, furtka. O! Nawet basen z kompostem jest...

- Przyjrzyj się w tym miejscu siatce - major wskazał to miejsce. - Co to jest, Magda?

Zaskoczona milczała, później, nie podnosząc głowy znad planu, burknęła niepewnie: - Dziura.

- Wiedziałaś o tej dziurze - stwierdził major.

- No, chyba. Ale ona nieduża, przez nią nie przelezie nikt, i nisko przy ziemi, prawie nie widać - zapewniła gorliwie.

- Ale ktoś, kto ją zna i jest bardzo szczupły, przelezie - powiedział inspektor. - Gdzie byłaś dwudziestego czwartego grudnia? - ponowił pytanie.

Spłoszyła się i zaczęła wyłamywać palce, przybladła, aż piegi na nosie wydały się jeszcze ciemniejsze.

- Ja tam nie byłam - zaprzeczyła żarliwie i głośno przelknęła ślinę.

- Kłamiesz o wszystkim i do wszystkich. Kłamiesz, jak oddychasz - spokojnie stwierdził inspektor. - Wstyd mi za ciebie, a poza tym mam poważną sprawę do rozwiązania i nie mam ani chęci, ani czasu na słuchanie twoich krętaństw.

- Mówię bez gipsu - zastrzegła poważnie. - Niech mnie wesz rozszarpie, jeżeli wstawiam farmazony... o tym nikomu nie mówiłam - dodała bardzo cicho. W tej chwili opuścił ją cały tupet.

- O czym nikomu nie mówiłaś? - podchwycił jej słowa.

- Ja chyba widziałam tego mordercę - stwierdziła z nagłą desperacją. - Szedł w stronę Siekierok... opodal tego miejsca go spotkałam - dziobnęła palcem w plan plantacji na Szkarłatnej.

- Jak wyglądał? - inspektor nie spuszczał z niej oczu. To spojrzenie męczyło ją i napawało niepokojem. Skuliła się, przycisnęła głowę do ramienia, opisując wygląd nieznanego. W jej relacji rysopis okazał się prawie identyczny jak ten, który, podała pani Emilia.

Magda spotkała go o kilkadziesiąt metrów od ogrodzenia, zamkniętego posiadłość Brożka od strony północno-zachodniej.

Emilia spotkała uciekającego mężczyznę od północnego wschodu. Nawet różnica czasu - około kwadransa - dzieląca te dwa spotkania z człowiekiem w brązowym płaszczu była dość wiarygodna.

- Kto cię nauczył tej bajeczki? - surowo zapytał inspektor. - Brożek czy pani Emilia? Kto cię przysłał z tym opowiadaniem do mnie, mów!

- Jaka Emilia?! - mimo strachu szczerze zdziwił się piegowaty pyszczek.

Prawdopodobnie jednak Emilii nie zna - pomyślał major.

- Więc to ogrodnik cię tego nauczył?

- Coś pan! - oburzyła się Magda. - Ja go naprawdę widziałam na własne oczy, niech ja w trumnę nie pasuję!... Artek tak się do niego rwał... - nagle zamilkła przerażona tym, co jej się niechcący w ferworze wymknęło. Zapędziła się chcąc przekonać inspektora, że człowieka w płaszczu i futrzanej czapce widziała naprawdę, że to nie kłamstwo ani namowa ogrodnika.

- Artek to rzeczywiście mądry i dobrze wychowany pies - podjął major udając, że nie dostrzega jej zmieszania. - Kiedy i po co zabrałaś go z ogrodu, bo któreśdy, to wiem bez ciebie.

Dziewczyna z rezygnacją przyjrzała się majorowi; ze zniechęceniem machnęła dłonią.

- Już mi wszystko jedno, widać i mnie nie ominie Toledo... Ale niech mnie pchła kopnie, jeżeli Maniek albo ja mamy coś wspólnego z zakitowaniem Brożkowej...

- Magda, dlaczego zabrałaś psa?

- ... W sobotę Brożkowa wyganiała nas już koło czwartej. Marian odstawił wóz i jeszcze coś koło niego robił. Ona przysłała do garażu i wisiała nad nami... Chciałam jeszcze zajrzeć do szklarni i sprawdzić ogrzewanie...

- Przecież tam jest ogrzewanie elektryczne z samoczynnym regulatorem temperatury i wilgoci...

- Tak, ale na manometry warto spojrzeć, jak się bez opieki zostawia na trzy dni - pouczyła po gospodarsku. - Brożkowa powiedziała, że ona sama dojrzy i żebyśmy się wynosili, bo ciepłości do nas nie ma. Zaryglowała za nami bramę i Artka

wygoniła na plantację...

- To było w sobotę koło czwartej? - upewnił się inspektor.

- No, Wilia była... żal mi się Artka zrobiło, że taki sam w tym ogrodzie... Pomyślałam, nic się nie stanie, jak pies trochę z nami pobędzie. Wywołałam go po cichu przez tę dziurę w płocie... Musiałam odrobinę siatki jeszcze nadszarpnąć, bo on duży jak cielę i nie mógł przeleźć. Ale ja tamtędy nigdy nie wchodziłam, nie kłamię.

- Zmieściłabyś się w tej dziurze bez nadrywania siatki.

- No chyba. Ale się nawet nigdy nie przymierzałam. Ja do ogrodnictwa miałam otwarte drzwi! - podkreśliła z dumą. - Dziura mi niepotrzebna. Jakbym dziurę chodziła, to jeszcze i doktor mógłby pomyśleć, że u niego grandzę.

- Artka zabrałaś w sobotę? - stwierdził inspektor.

- No. Poświętowaliśmy sobie, a w niedzielę po południu wzięłam go na sznurek. Dość tego leniuchowania, idź na służbę, powiedziałam i odprowadziłam. Nie bardzo chciał iść. Dobrze mu było z nami, lepiej niż samemu w szopie albo na tej pustej plantacji. To rasowy dog, z rodowodem, delikatny pies...

- Wówczas widziałeś tego mężczyznę?

- Aha! Artek zaczął się do niego rwać, jakby się wściekł. Ledwo go utrzymałam...

- Ten człowiek bał się psa, uciekał?

- Nie uciekał, tylko bardzo prędko szedł. Kiedy Artek tak się na niego szczyrzył, krzyknął: - Trzymaj to bydłę, bo jak nie, to go zabiję!

- Co było dalej?

- Szarpałam się z Artkiem, bo wciąż chciał lecieć za nim. W końcu jakoś dowlokłam się z psem do tej dziury. Już byłam na ostatnich nogach, aż się popłakałam ze złości, bo wcale mnie nie chciał słuchać, jakby szatan w niego wstąpił albo wścieklizna. Musiałam się okręcić sznurem, boby się urwał... Potem myślałam, że płuca wypluję, zanim namówiłam go, żeby z powrotem przez tę dziurę wszedł do ogrodu. Jak go wpychałam, to mnie zębami za ręce chwycił, i to ze złością... Warczał, a szczekał, Chryste! Bałam się, że kto zobaczy i

pomyśli, że ja chcę wleźć razem niby z psem, aby co zgrandzić... Najgorzej to Brożkowej się bałam, że usłyszy, a jak się wydrze, to cała Szkarłatna się zleci. Ale ja mam rzadkie szczęście, zawsze się w coś wpakuję, że lepiej byłoby nogi połamać... wszystko przez dobre serce, psa poszkodo- wałam, no bo kto go lepiej zrozumie niż ja? Nieraz mi było gorzej niż ostatniemu kundlowi, bo o rasowe to ludzie bardziej dbają...

- Mówiłaś o tym ogrodnikowi?

- Nie. Jak się rozniosło, że Brożkową zakosili, to zaraz mi to wszystko w oczach stanęło. Jakbym powiedziała doktorowi, to on, tak jak pan teraz, zaraz by pomyślał, że to Maniek zadział, a ja go namówiłam i psa zabrałam, żeby bratu ułatwić... Mam życie, co? - westchnęła swoim zwyczajem.

- Marian nic nie powiedział, że pies był u was - inspektor sondował ją wzrokiem.

- Bo mu przykazałam, jak tylko o zamordowaniu Brożkowej się rozniosło. A jak ja mu co zakazę, to już mogiła... W kawałki da się pokroić i niczego nie powie. Sekretny jest, choć głupek - pochwaliła się z nieukrywaną dumą.

- Aleś szczerza, nie do wiary - uśmiechnął się inspektor.

- Muszę. Bo jeżeli pan jest myślący, to się panu pod sufitem rozjaśni, że to nie my.

Major przekonał się, że brat pilnie przestrzega zakazów Magdy. Osilek z tępym uporem zaprzeczał, jakoby pies był u nich w domu. Uparcie powtarzał, że żadnego psa na oczy nie widział. Gdy major poinformował go o zeznaniach Magdy, Szkudlarz nie powiedział już ani słowa. Przestał reagować na jakiegokolwiek pytania.

Pułkownik Lis poprosił inspektora do siebie. Major zastał w gabinecie szefa doktora Brożka. Ogródnik dowiedział się o zatrzymaniu Mariana i przyszedł interweniować w jego sprawie. Przekonywał oficerów, przytaczając, jego zdaniem, niezbite argumenty, przemawiające za niewinnością Szkudlarza.

- Szkudlarz nie został aresztowany, wieczorem wróci do domu - zawiadomił go inspektor.

Brożek podziękował oficerom i wyszedł.

- Już mi się wydawało, że mam sprawcę zabójstwa! - wstąpił major, gdy zostali sami z Lisem. Opowiedział szefowi o zastanawiającym zbiegu poszlak, obciążających Szkudlarza.

- A inne wersje? - zapytał Lis.

- Nic ciekawego - wzruszył ramionami inspektor. - Wszystko to tylko poszlaki lub pozory, które po gruntownej analizie materiału rozsypią się jak kupka suchego piasku i pozostaną luźne, nie wiążące się ze sobą fakty. Sprawdziłem ponad osiemdziesiąt osób i pozostałem taki mądry jak byłem... Po prostu znów znalazłem się w punkcie wyjścia. Zebrany materiał nic nie wnosi do sprawy...

- Wnosi, wnosi - przerwał Lis. - Wyjaśniłeś nareszcie rolę Szkudlarzy, znalazłeś dwóch świadków, którzy widzieli sprawcę, to nie jest mało. Sądziś nadal, że to morderstwo na tle rabunkowym?

- Tak. Dopuszczam tylko znikome prawdopodobieństwo innych motywów. Bo, posłuchaj! Powiedzmy, że Brożek albo Marta, lub ktoś inny z tego środowiska zamordował Brożkową. Wówczas muszę wziąć pod uwagę, że w sprawę zamieszane są następujące osoby: małżeństwo P., Brożek, Marta oraz Szkudlarz, do tego jeszcze pani Emilia i Magda. Wyglądałoby to tak: inspirator zleca małżonkom P., aby w ostatniej chwili odwołali planowany wyjazd. Kobieta zostaje sama w domu. Szkudlarz morduje, przedtem jego siostra zabiera psa, co ułatwia bratu dokonanie zabójstwa. Następnie tylko siostra, i to dziewczyna o złej opinii, może dać Szkudlarzowi alibi, i nikt poza nią. Pani Emilia złoży natomiast zeznanie, że widziała uciekającego nieznanego mężczyznę i w ten sposób odwróci naszą uwagę od rzeczywistego sprawcy.

- Tak, tę hipotezę trzeba odrzucić - przyznał pułkownik Lis.

Wśród nich nie ma ani inspiratorów, ani bezpośrednich sprawców.

- Wyjaśniłem jednak przy tej okazji kilka szczegółów - dodał major. Ustaliłem dzień i godzinę morderstwa, nareszcie rozumiem, dlaczego Brożkową obwiesiła się biżuterią, oraz gdzie był pies.

- Tym przepychem chciała przytłoczyć panią Emilię. To prawdopodobne i nawet uzasadnione psychologicznie, jeżeli zna się mentalność zmarłej - zgodził się pułkownik. - Wierzysz w rysopis uciekającego mężczyzny? - zagadnął.

- Sądzę, że ten człowiek nie jest wytworem wyobraźni. Zresztą, co mi pozostało w tej chwili? Szukanie płaszcza i... mańkutów.

- Szpilka w stogu siana - mruknął Lis. - Ale na razie ja też nie widzę innego punktu zaczepienia. Próbuje!

Inspektor miał dokładny opis brązowego płaszcza, pedantycznie podany przez panią Emilię. Ta skwapliwość i drobiazgowość szczegółów budziła w majorze uprzedzenie. Podejrzewał, że zrobiła to tendencyjnie, aby odwrócić uwagę i zmniejszyć poszlaki przeciwko swojej córce.

Nie można było jednak wykluczyć prawdziwości jej spostrzeżeń, wobec tego major uważał za konieczne wyjaśnić tę sprawę.

Obejrzał więc dokładnie płaszcz zięcia pani Emilii - twierdziła przecież z uporem, że tamten człowiek miał identyczne okrycie, różniące się jedynie kolorem.

Był to modny płaszcz z tkaniny laminowanej, wyprodukowany przez Modę Polską. Korosz niebawem stał się ekspertem w dziedzinie tego typu konfekcji. Wiedział prawie wszystko o jej produkcji, poczynając od technologii włókna, aż do momentu, gdy gotowy przyodziewek znajdzie się na wieszaku w sklepie.

Wydawało się, że tym razem los sprzyja usiłowaniom majora. Okazało się bowiem, że płaszcze uszyte w tak zwanej serii modelowej i wszystkich razem było dwieście pięćdziesiąt sztuk.

Coraz więcej prawdopodobieństwa nabierało twierdzenie pani Emilii, że nie pomyliła się co do rodzaju fasonu i gatunku materiału, ponieważ płaszcz był nieseryjny, elegancki i łatwo wpadający w oczy.

Major sprawdził wszystkie asygnaty dostaw i wysyłek tego okrycia do detalu. Ustalił drogę modelowej konfekcji. Niebawem wiedział, że do Łodzi trafiło osiem płaszczy, do Kielc - sześć, do Poznania - osiem, do Augustowa - osiem, do Białegostoku - trzynaście, do Rzeszowa - jednaście. Reszta

została sprzedana w Warszawie.

Milicja cierpliwie szukała nabywców w wymienionych miastach. Dotarła do stu osiemdziesięciu właścicieli poszukiwanych okryć. Dyskretnie i sumiennie zebrano o nich informacje, biorąc pod uwagę ewentualne związki z warszawskim ogrodnikiem.

Szesnaście płaszczy - ich właściciele zdążyli już je zabrudzić - zastano w pralniach chemicznych. Sprawdzono i te przypadki.

Major starał się nie pominąć nawet najbliższego z pozoru śladu, który mógłby rokować chociażby nikłe szanse trafienia na trop mordercy. Była to olbrzymia praca, która zajęła kilka tygodni dużemu zespołowi ludzi. Wysiłki te nie przyniosły jednak żadnego rezultatu.

Od śmierci Janiny Brożkowej upłynęło trzy miesiące; śledztwo utknęło w martwym punkcie.

- Andrzej, jeszcze raz dokładnie zbadaj zgromadzony materiał - radził pułkownik Lis. - Może zostało przeoczone coś istotnego?

- Owszem, zostało - przyznał inspektor. - Ale nie w dotychczas zebranych materiale, nie w dotychczas prowadzonym dochodzeniu. Za te osoby, które sprawdziłem, ręczę, że nie mają związku z morderstwem na Szkarłatnej.

- Mówisz o innych, jeszcze nam nie znanych powiązaniach Brożka? - skrzywił się z powątpiewaniem pułkownik. - Ale, do diabła! Przecież zbadałeś dziesiątki osób, w tym osiemdziesiąt, które miały bezpośredni kontakt z ogrodnikiem lub jego rodziną, jego przyjaciółką czy gospodynią. Jakież jeszcze znajomości może mieć ten człowiek?

- Chciałbym to wiedzieć - mruknął major. - Słuchaj! Doszedłem do wniosku, że to zabójstwo nie jest ani bardziej niezwykle, ani sprawa nie jest trudniejsza od innych podobnych przypadków. Tylko zbyt wiele szczegółów pozostało niewyjaśnionych. I to z mojej winy. W dalszym ciągu twierdzę, że wokół osoby plantatora ze Szkarłatnej i jego interesów jest zbyt wiele niedomówień, znaków zapytania, na które nie odpowiedzieliśmy sobie dotychczas jednoznacznie.

- Kakao? - sceptycznie zapytał Lis.

- A chociażby kakao - potwierdził major. - Wcale nie uważam tego zagadnienia za definitywnie wyjaśnione.

- Śmietniki już w całej Warszawie wyczyściłeś, że lepiej nie można - prychnął Lis. - Masz zamiar robić to samo w całym kraju? Tylko że ja się już na takie eksperymenty nie zgodzę.

Lis natrząsał się z akcji przeprowadzonej przez inspektora w poszukiwaniu oryginalnego pudełka po kakao firmy Veneer. Duży zespół ludzi, składający się z funkcjonariuszy służby X oraz ekspertów-metaloznawców i chemików, wykonał olbrzymią pracę, która nie przyniosła żadnych wyników. Nie znaleziono śladu, który mógłby świadczyć o istnieniu kakao tej firmy, zawierającym tajemnicze właściwości trujące.

- Jednak słusznie przewidziałem różnice stopów metali w pudełkach produkowanych w Polsce i tych pochodzących z Holandii - bronił się inspektor.

- Ach, ty milicyjny Einsteinie - z sarkazmem westchnął Lis.

- Tylko na to przydała się ta obłądna robota?

- Wydawało mi się, że znajdę jedno z pudełek zrabowanych Van der Meneerowi. Nie udało się, wielka szkoda. Ale to jeszcze nie powód do głupich żartów! - zachnął się inspektor.

- Gdybym je znalazł - na ten temat nie zmieniłem poglądu - mieszanka Holendra wyjaśniłaby niejedną tajemnicę.

- Znalazłeś oryginalne opakowanie w piwnicy u Brożka. Przecież właśnie w poszukiwaniu takiego pudełka goniłeś ludzi po warszawskich śmietnikach. I co? Jak dotychczas, nie usłyszałem od ciebie na ten temat nic ciekawego. Wydaje mi się, że nawet unikasz rozmów o tym, uważając je za drażliwe.

- Heniek, przestań piłować - obruszył się inspektor. - Jeszcze raz podkreślam: sprawy preparowanego kakao nie uważam za wyjaśnioną. Zwyczajnie nie umiem jej wyświetlić, i to jest w jakim sensie nieprzyjemne dla mnie, ale nie wmawiaj mi manii albo obsesji.

- Nic nie chcę ci wmawiać. Tylko jak twoje przekonanie pogodzić z ekspertyzą? Biegli twierdzą, że resztkę kakao z pudełka pochodzącego od Brożka to najzwyczajniejszy

artykuł spożywczy, wprawdzie ze znakiem Q, ale nie to przecież chciałeś odkryć - natrząsał się Lis.

- Jeszcze niedawno sam mówiłeś, że opinie biegłych nie zwalniają od myślenia - odgryzał się major.

- Od logicznego myślenia - podkreślił pułkownik. - Ale ty upierasz się wbrew oczywistym faktom. Sądziś, że kakao Veneer ma związek z zamordowaniem Brożkowej?

- Mów za siebie! - na dobre rozżościł się inspektor, ponieważ rzeczywiście, mimo braku logicznych przesłanek, wiązał ze sobą te dwie sprawy. Jednak w żaden rozsądny sposób nie potrafił umotywić swych przypuszczeń. - Nic takiego nie powiedziałem - zaprzeczył stanowczo. - Uważam natomiast, że wokół Brożka jest wiele dwuznacznych sytuacji i im dłużej prowadzę dochodzenie, im więcej poznaję jego środowisko, tym bardziej utwierdzam się w przekonaniu, że morderstwo Brożkowej to konsekwencja jego ciemnych interesów. Między innymi dlatego nie przestała mnie obchodzić historia z preparowanym kakao.

- Przyszedł bandyta, zamordował Brożkową, aby zrabować przedniej jakości kakao - ostentacyjnie ziewnął Lis.

- Dajmy temu spokój. Nie mówmy o kakao - zaproponował major. - Ostatnio wprost pasjonuje mnie osoba plantatora ze Szkarłatnej. Jestem przekonany, i ty chyba się z tym zgodziś, że ogrodnik kłamie. Sądzę, że nie powiedział nam, co zrabowano mu z kasy. Również nie wiemy, gdzie kupił dolary emitowane w 1966 roku, a musiał je przecież niedawno kupić. Dalej, nie wyjaśnił nam, skąd wzięły się ślady krwi na jego płaszczu...

Pułkownik potwierdził skinieniem głowy.

- Wśród dotychczas sprawdzonych ludzi nie ma sprawcy - ciągnął major. - Szkudlarza wykluczyłem definitywnie, to wiesz. Odciski palców nie zgadzają się. Ponadto, gdyby morderstwo było inspirowane i przeprowadzone z premedytacją, to ten półgłówek zostałby pouczony, jak ma działać, i mimo swej miernej inteligencji nie pozostawiłby takiego bałaganu oraz takiej ilości śladów. Nadto, i to jest najbardziej przekonujące, jest pewnikiem, że sprawca został

przez późniejszą ofiarę zaskoczony. A więc zakładał, że nikogo nie spotka w willi. Ten człowiek prawdopodobnie przyszedł coś ukraść, tylko co? Tego nie wiemy, ale doskonale wie o tym Brożek, tylko on dobrowolnie nam tego nie zdradzi... Z oględzin wynika, że zabójca działał w zaskoczeniu, że improwizował. Przypomnę ci: nie miał ze sobą broni, użył do zamordowania przedmiotów, które wpadły mu w ręce - to raz. Drugie: ciężar tego narzędzia i siła uderzenia, ślady na ciele ofiary, zmiżdżenie tkanek, złamanie kości. Głębokość ran i ich kształt. Następnie: kierunek zadanego uderzenia, w jakiej kolejności zadawał ciosy, z jakiej wysokości padała krew ofiary, w jakim kierunku i z jaką szybkością wleczono ciało - wszystko to świadczy niezbicie, że ten, kto zabił Brożkową, działał improwizując.

- Pomyśleć, że tak wiele wiesz o sprawie i tak niewiele o mordercy - mruknął Lis.

- Z tobą dzisiaj nie można rozmawiać - obruszył się Korosz.

- Brak mi cierpliwości do jałowych rozważań i wysłuchiwanie rzeczy oczywistych. Co proponujesz?

- Daj mi Cieślika i garść jego ludzi.

- Koniecznie Cieślika, jego ludzie nie wystarczą?

- Jesteś złośliwy! - wybuchnął Korosz. - Bez żadnych istotnych racji odmawiasz mi współpracy wywiadowcy, z którym mi się najlepiej pracuje. Ten chłopak ma wyobraźnię, której czasami tobie zupełnie brakuje.

- Właśnie! Obaj razem macie jej za dużo - stwierdził sucho Lis.

6.

KARTA POCZTOWA

Był słoneczny kwietniowy dzień. Kasztan rosnący obok baraku Szkudlarzy okrył się już pączkami. Nieśmiała zielona mgła pokryła wokół ziemię.

Magda wyszła na podwórko, aby przynieść z szopy węgiel - w

domu było jeszcze chłodno, zimniej niż na dworze w ten pogodny dzień. Przy okazji zabrała wiaderko z brudną wodą i wychyliwszy się za szopę chlusnęła jego zawartość.

Z nikłej zieleni ledwo kielkującej trawy poderwał się młody mężczyzna i głośno zaklął; stał teraz i strzepywał z siebie strugi pomyj. Niewiele to pomogło. Sfatygowane spodnie i licha wiatrówka zdążyły nasiąknąć wilgocią.

- Dziewczyno! - zawołał z wyrzutem - zniszczyłaś mi garnitu- rek. - Zademonstrował z żalosną miną wystrzępione nogawki i wstrząsnął się z zimna.

- Było co niszczyć! - parsknęła. - Czego tu, barłogo, szukasz?

- zjeżyła się na wszelki wypadek, bo naprawdę było jej przykro, że go oblała brudną wodą.

- Dlaczego zaraz barłogo? Kimnąć se chciałem ździebko na słoneczku, a za ścianą zaciszniej, bo od południa - wyjaśnił pojednawczo.

- Gdzie indziej ci miejsca zabrakło, musiałeś za naszą szopą? - nie zmieniła napastliwego tonu.

- Nie bądź niegrzeczna, jak ci człowiek salonowo zeznaje. Nalatujesz, jakby ci ziemi ubyło. Szopę ci nadgryzłem? Zaproś człowieka, jak pragnę wolności, żeby wysechł.

- Chodź, ofiario - powiedziała udobruchana.

Po drodze wstąpiła do szopy i nabrała węgla. Wziął od niej ciężkie wiaderko i korzystając z mrukliwego zaproszenia poszedł za dziewczyną.

W mieszkaniu milcząc naląła do miednicy ciepłej wody, zdjęła z wieszaka sprane do białości, niegdyś niebieskie dreluchy i rzuciła w jego kierunku.

- Włóż za firankę - wskazała zasłoniętą część izby. - Obmyj się i zmień lachy, twoje trzeba przeprać.

- Wielcy ludzie żyją w brudzie - zadeklamował, ale poszedł się umyć.

Niebawem pojawił się z mokrymi, ulizanymi włosami i w za obszernym na niego kombinezonie Mariana. Przysiadł przy buzującym piecyku. Magda wyjęła z kieszeni jego ubrania różne drobiazgi i podała mu owinięte w chustkę do nosa. Ze spodni wyciągnęła zawiniątko opakowane w przetłuszczony

papier. Zawierało kawałek kiełbasy i bułkę. Nieufnie powąchała i skrzywiwszy się wymownie wyrzuciła do wiadra.

- Królowo! Obiad mi przepadł - westchnął z żalem przybysz.

- Pomyjami przeszedł - wyjaśniła. - Dostaniesz jeść, nie martw się - obiecała pakując jego ubranie do wanienki. - Musiałeś się tutaj przyplątać? Mam życie! - dodała z wyrzutem. - Kto by pomyślał, że jakimś przybłędzie będę jeszcze gacie prac!

Skończyła przepierkę, kazała mu wynieść brudną wodę i rozwiesiła mokre sztuki na sznurku przeciągniętym obok piecyka. Przysiadła na taborecie naprzeciwko nieznanego.

- Zapalisz? - wyciągnął do niej zmiętą paczkę sportów. - Szczęście, że nie bardzo zamokły.

- Wyrzuc to - skrzywiła się ze wstrętem. Poszukała w szufladzie stołu i podała mu napoczętą paczkę papierosów.

Zapalili oboje, przyglądając się sobie w milczeniu. Chłopakiem wstrząsnął dreszcz, przysunął się bliżej ognia, dorzucił do niego bryłkę węgla.

- Zimno - mruknął i zatarł ręce.

- Kielicha chcesz?

- Jeśli masz! - ożywił się i znów zatarł dłonie.

- Znajdzie się szklaneczka na rozgrzewkę - zawiadomiła i z szafki wyjęła napoczętą butelkę wódki. Nalała do szklanki, starannie zakorkowała flaszkę i schowała.

- Wypij! Rozgrzejesz się -- zachęciła. - Ja nie piję - odpowiedziała na jego pytające spojrzenie.

- Nawet kałamarza nie łykniesz? - wskazał zawartość szklanki.

- Jakbyś miał za matkę moją starą, tobyś na to patrzeć nie mógł... Znowu jest na odwyku... Życie z nią mam! Ale nieważne - nagle przerwała zwierzenia. - Skąd jesteś, Siekierki, Czerniaków? - sondowała go wzrokiem - chyba nie, bo wszystkich tu z widzenia znam...

- Nie należę do żadnej paczki... Nie jestem z tego rewiru.

- Nie chcesz mówić, to nie. Ale jak grandzić w okolicę spłynąłeś, to uważaj! Nasz dzielnicowy na żartach się nie zna, a ciepłiwy jak rzep.

- Z więzienia wyszedłem, tydzień będzie... - mruknął gość. - Jednego gnojka sflekowałem, zmyć się później nie zdążyłem i zwinęli mnie jak swego. W tryb przyspieszony mnie wpasowali. Sześć miechów dostałem, ale od złodziei mnie nie wymyślaj!

- Pracujesz? - zatroskała się szczerze.

- W pośredniaku na zajęcie czekam, ale to nie tak łatwo, bo każdy, co robotę daje, w papiery patrzy i przed kryminalistą się broni. Z forsy się już przez to czekanie wyszpuliłem... Dobrze, że ogródkarze ziemię ryją, to trafiłem robotę. Działki na dniówkę niedaleko twego pałacu kopię.

- Marne zajęcie, nie wzbogacisz się na nim, a i ciała na tym chlebie ci nie przybędzie - orzekła ze znanstwem. - Butelki zbierasz?

Potwierdził skinieniem głowy.

- Jeszcze do niedawna to byłbyś mi konkurencja i Maniek, to mój brat, musiałby cię pogonić, ale teraz to możesz zbierać - przyzwoliła wspaniałomyślnie.

Nalała na talerze parującego krupniku z kawałkami mięsa.

- Wiosłuj! - zachęciła go do jedzenia i podsunęła napoczęty bochenek chleba. - Gdzie mieszkasz? - pytała dalej.

- Jak popadnie - wzruszył ramionami. - Przed tą przewalanką u ciotki mieszkałem, ale teraz przyjąć mnie nie chciała. Bandyty i kryminaliści nie wezmę - powiedziała. - Wynoś się, ty zakało rodziny! - wrzasnęła i drzwi do mieszkania przez łańcuch uchyla.

- Knotów warta - z zaciętością oceniła Magda.

- Iii, niech ją bieda bije. Uszkodzę gówno, a każą odpowiadać za człowieka.

- Toś całkiem wysiadkowy, koleś! - uzalila się nad nim. - Ale nie pękaj, też bywałam w opałach, a jakoś się turlam.

Po obiedzie Magda uprasowała wysuszone już ubranie swego gościa. Przebrał się znów i z ociąganiem zaczął się zbierać. Kwietniowy dzień chylił się ku zachodowi. Zerwał się wiatr i pędził kłę- biaste, czarne chmury.

- Jak cię wołają? - chciała wiedzieć Magda.

- Stasiak - mruknął, patrząc na szyby, po których stoczyły

się pierwsze grube krople deszczu. Zapiął dokładniej cienką wiatrówkę i otulił szyję zniszczonym szalikiem. Gotował się znów do wyjścia i jakoś niesporo mu to szło.

Magda namyślała się, rozważając jego sytuację.

- Cześć, dziewczyno! - wyciągnął do niej dłoń. - Niekiepski człowiek jesteś, choć się na początek rozwarłaś... - po tym podziękowaniu już ze zdecydowaniem nacisnął klamkę.

- Czekaj! - zatrzymała go Magda. - Dokąd teraz idziesz?

- Nad piwką w barze się pokiwiem, tam za kołnierz nie leci i względnie ciepły smród.

- Gdzie będziesz spał?

- W jakiejś altance na działkach. Tylko muszę odczekać, aż właściciele ziemscy się wyniosą, bo jak zobaczą, to podniosą krzyk, że im włóczęga deski niszczy i za amortyzację nie płaci. Ale nocą nikt nie pilnuje i przespać się można. Adieu!

Magda z rozterką spojrzała na okno. Teraz już nie pojedyncze krople, lecz strumienie płynęły po szybach, a wiatr zaczął drobnym śniegiem, który zaraz topniał. Kwietniowa kapryśna pogoda jeszcze raz przypominała o niedawnej zimie.

- Zostań - zdecydowała - na taką pluchę psa grzech wygnąć.

- A jak się twemu bratu nie spodoba? - wahał się, ale nie zdradzał ochoty do wyjścia.

- Nie bój się, ja tu rządzę, a nie mój brat!

Marian, który wrócił wieczorem, nie zdradził zdziwienia na widok nieznanego, nawet jak gdyby się ucieszył.

- Trochę u nas pobędzie - zawiadomiła go siostra.

- Aha! To w dechę - powiedział i przeszedł nad tym zdarzeniem do porządku. Zapytał jeszcze, czy Stasiek zna się na prowadzeniu samochodu. Stasiek nie znał się.

- Żałuj, brachu... - zapewnił Marian, ale stracił dla gościa nieco zainteresowania. Zabrał się do jedzenia i zaraz położył się spać. Ostro łajany przez Magdę, umył się przed tym posłusznie, acz bez entuzjazmu.

Następnego dnia rano rodzeństwo wybierało się do pracy. Ich gość wstał również wcześniej i oznajmił, że wczoraj został zamówiony przez pewnego właściciela działki do kopania grządek.

- Chodź, pokażę ci, gdzie chowamy klucz, bo dzisiaj wrócimy późno - zawiadomiła go Magda.

- Nie boisz się chatę otworem zostawić? - zdziwił się Stasiak.

- Jak się okaże człowiekowi zaufanie, to tylko ostatni gnój się na tym nie pozna - pouczyła go z głębokim przekonaniem Magda.

Dziewczyna przez cały dzień jak w ukropie zwijała się na plantacji Brożka razem z innymi sezonowo zatrudnionymi robotnikami, którzy w tym okresie co roku zgłaszali się do pracy na Szkarłatnej.

Po obiedzie, podczas godzinnej przerwy w pracy, poszła za Brożkiem do oranżerii.

- Przyjmie pan jeszcze jednego pracownika? Silny jest i bardzo robotny - zachwalała żarliwie.

- Masz kandydata? - badawczo przyjrzał się dziewczynie. - Skąd go wzięłaś?

- Mieszka u nas...

- Wzięliście sublokatora do tej jednej izby?! - zdziwił się. - Uważaj, żebyś z nim kłopotu nie miała. Kto to jest?

Milczała, obmyślając na poczekaniu jakąś zbliżoną do prawdy opowieść. Brożek wytłumaczył sobie inaczej jej milczenie, bowiem wydawało mu się, że dziewczyna zmieszała się i nie wie, co odpowiedzieć.

- Magda! narzeczony ci się trafił? - roześmiał się ze swojej domyślności.

Zaczerwieniła się po nasadę włosów widocznych spod chustki, zakłamała w niej uraza i złość za jego niedelikatność, ale powstrzymała się od wybuchu gniewu.

- Nie fatygant żaden, tylko kuzyn - powiedziała pierwsze kłamstwo, jakie jej się nasunęło. Później, aby przekonać ogrodnika, powtórzyła mu opowieść usłyszaną od Staśki. Ciotka go wyrzuciła, to jest przyrodnia siostra mojej starej - improwizowała gładko historię nieistniejącej rodziny. - No więc ta stara szczota wyrzuciła go z domu, że niby jak z kicia wyszedł, to już skończony i tylko krzyżyk postawić... Lekkiego życia chłopak nie miał, okrągła sierota z niego, jak

był mały, to go ciotka za popychła miała...

- W t e d y - z naciskiem podkreślił Brożek - to Stasiek ci pomagał?

- Coś pan! To porządny chłopak, on pojęcia o moim wyglupie nie ma, a mógłby i pan też już zapomnieć i nie wypominać - w jej tonie było tyle szczerości, co i oburzenia.

Ogrodnik prawie uwierzył w kryształowy charakter Staśka.

- Sama szlachetność i uczciwość w twojej rodzinie, poczynając od ciebie - pokiwał głową Brożek. - Coś się tak przejęła losem tego niewinnego kuzyna?

- Chłopakowi raz się noga powinęła, nie? Też miałam przechył, a pan mi rękę podał, nie? - dodała przypochebnie. - Niech pan go weźmie na próbę, nie pożałuje pan! - ponowiła prośbę. - Co to panu szkodzi? Przecież roboty jest u pana dość.

- Dzielnicowy wie o tym kuzynie?

- Ja go skreślam! - pogardliwie wydeła usta.

- Ale ja nie - spoważniał Brożek. - Przyjmę go do pracy pod warunkiem, że dzielnicowy będzie wiedział o jego zamieszkaniu u was i że pozwoli ci tego kuzyna zameldować.

- Ja mam życie! - westchnęła z goryczą. - Czy pan wie, na co mnie pan naraża? Rewirowy, co już nam trochę pofolgował po tych wszystkich przewalankach, teraz się znowu nie odknai. Jeśli się na Staśka zgodzi, na stałe u nas zamieszka, niech ja w krupnik wpadnę!

Wracała do domu w ponurym nastroju nienawiści do całego świata. Gdy weszła do izby, w piecyku palił się wielki ogień, a jej świeżo upieczony kuzyn doglądał czegoś, co skwierczało na blasze ustawionej na fajerce. Magda wciągnęła w nozdrza smakowity zapach.

- Umiesz gotować? - szczerze się zdziwiła. - Skąd wzięłaś zarcie? - natychmiast zrodziła się w niej podejrzliwość.

- Już ci powiedziałem, że nie kradnę - odpowiedział na jej niewypowiedziany domysł. - Czerwońca dzisiaj na tym ryciu zarobiłem - mruknął nie przestając mieszać w brytfannie. - Boczek, ale chudy, kupiłem. Głodna jesteś?

- Magda mi mów. Za kuzyna się dzisiaj zostałeś, to

zapamiętaj i nie zasyp się... - powtórzyła mu swoją rozmowę z ogrodnikiem.

- Będiesz miała porotę przeze mnie - zmartwił się. - Masz na pieńku z rewirowym?

- Dawne sprawy. Wiesz, jak byłam taki mały patafian, to czasami coś przygrandziłam, nieważne rzeczy: królik, kura, czasem owoc z działek... - poinformowała niechętnie. - No to on przychodził i komety zasuwiał, ale mnie ani razu nie przypudlił, chociaż mógł - oddała sprawiedliwość dzielnicowemu. - Ja go nawet lubię, bo i pomógł nieraz, tylko cierpliwości nie mam, jak mi bajki dla grzecznych dzieci truć zaczyna, a strasznie nie lubi, żeby mu przerywać...

Przyszywany kuzyn nie odpowiedział nic. Nalał wody do miednicy i podał Magdzie. Wzięła ręcznik, ale zanim wyszła za zasłonę, przyjrzała się mu z namysłem.

- Nie z tego świata jakiś jesteś, dziewczynie usługujesz?

- Głupia! Nie dziewczynie, a kumpłowi - wzruszył ramionami.

- Człowieka pod własny dach wzięłaś, chociaż pierwszy raz wczoraj na oczy mnie zobaczyłaś... i jeszcze o zajęcie dla mnie walczysz.

- W chacie miejsca dość i dla nas, i dla ciebie - skwitowała jego wdzięczność.

Po kolacji usiedli we dwoje. Marian na zlecenie ogrodnika pojechał jeszcze do miasta. Magda zastanawiała się nad czymś, obserwując Staśka.

- Pójdę do meldunkowej i jakoś się załatwi, sierżantowi też powiem... Tylko... - szukała przez chwilę odpowiednich słów, bo nie chciała go dotknąć - jeżeli jeszcze masz coś, to się namyśl. Ja nie jestem ciekawa i wszystko wyrozumiem... ale nasz rewirowy to cię jak szklanekę będzie oglądał ze wszystkich stron. Zapyta w tej dzielnicy, gdzie przed wpadką mieszkałaś, i wszystko wyniucha... więc jak się okaże, że twoja ciotka jeszcze się nie urodziła, to lepiej z moim dzielnicowym w ciuciubabkę nie grać i od razu powiedzieć mu prawdę.

Stasiek zapewnił, że nic więcej na sumieniu nie ma, a jego

ciotka jest prawdziwą ciotką i już bardzo dawno żyje na świecie.

Następnego dnia Magda poszła do prowadzącej meldunki, ta jednak nie tylko nie chciała faktu istnienia kuzyna przyjąć do wiadomości, lecz natychmiast pobiegła do dzielnicowego.

- Ta pana pupilka już się puszcza! - poinformowała z satysfakcją osoby wszystkowiedzącej.

Dzielnicy nie darzył nadzwyczajną sympatią pani meldunkowej, uważał ją za dewotkę i plotkarkę, ale starał się nie okazywać tego. Tym razem jednak skarcił ją za odmówienie meldunku, przynajmniej tymczasowego. Rozumował słusznie, że z dwojga złego lepiej, gdy podejrzany facet jest zameldowany.

W taki prosty sposób sierżant już na drugi dzień wiedział o sublokatorze Szkudlarzy. Znowu złożył im wizytę. Magda skwapliwie uczęstowała go całą misternie skonstruowaną opowieścią o kuzynie i jego pobycie w więzieniu oraz zamiarach reedukacji Staśka.

Dzielnicy miał pewne wątpliwości, czy Stasiak musi zacząć nowe życie właśnie w jego rejonie, ale w końcu zgodził się, że jednak znacznie lepiej, aby Stasiak nocował pod dachem Szkudlarzy, niż włóczył się po ogródkach działkowych.

Dziewczyna z satysfakcją, że jednak dopięła swego, przedstawiła Staśka ogrodnikowi. Zapewniła, że zameldowanie jest już załatwione, a dzielnicowy również widział jej lokatora i nic przeciw niemu nie ma.

- Jak pan nie wierzy, to może zapytać sierżanta.

Ogrodnik bez entuzjazmu zatrudnił kuzyna Magdy. Dawał mu najcięższe prace i obserwował, jak sobie radzi. A chłopak radził sobie nie gorzej od innych i nie wymigiwał się od obowiązków. Solidnie zarabiał na swoją dniówkę.

Po pierwszym przepracowanym tygodniu Stasiak odliczył część i wręczył Magdzie.

- Czynsz, opierunek i jedzenie - zawiadomił.

- Staniesz na nogi, to się policzymy - zdecydowała. Wzbraniała się przed przyjęciem pieniędzy i nie było to udane.

- Nie bądź taka hrabina, a ze mnie patałacha nie rób, bo mi wasz chleb przez gardło nie przejdzie, mężczyzna jestem, a nie dziecko! Kup sobie lepiej przyzwoitą kieckę, bo masz same nie- śmiertelnice, a nie sukienki.

- Nie twój interes! - Magda wpadła we wściekłość.

- Czego się wydzierasz, wróg ci jestem? Przytyków ci nie robię, tylko nie musisz bez przerwy biegać w koszulach i portkach po Mańku.

- Eee tam, nawet najlepszy ciuch mi nie pomoże - orzekła ponuro i rozpląkała się z upokorzenia. Na punkcie swojej niedoskonałej urody była bardzo drażliwa. Wtuliła głowę we wsparte o stół ramiona i szlochała, rozcierając łyzy, kułakiem jak dziecko.

Stasiek patrzył na nią ogarnięty nagłą litością. Zbliżył się do dziewczyny i delikatnie położył dłoń na jej pochylonej głowie.

Spod rozsypanych czarnych kędziorów wyglądał chudy dziewczęcy kark. Przypominała nieopierzonego ptaka, który na wątlej szyi dźwiga za ciężki łebek. Przesunął ręką po tym karku i po wyraźnie odznaczających się, równie chudych łopatkach.

Jak wróbel - pomyślał o niej w przyływie chwilowego wzruszenia - chudy wróbel, warszawski ulicznik. Mignęły mu jakieś obrazy z własnego dzieciństwa i takiej oto nierozkwitłej jeszcze młodości.

Nagle poczuł pod palcami, jak Magda zeszywniała, słyszał, jak trzepocze w niej serce też jakimś takim ptasim rytmem.

Z drobnych, naznaczonych kostkami dłoni dziewczyny wychynał trójkątny pyszczek i czujne, już pozbawione łez, bursztynowe, nakrapiane jak u kota oczy.

- Te! pocieszyciel, weź tę łapę, dobrze? - syknęła ze złością.

- Ech, ty jeżu - opanował uśmiech - lubię cię i nie chcę, żebyś płakała.

- Przyswój, co ci powiem, żeby na przyszłość nie było nieporozumień - ironiczny grymas gorzko wykrzywił kąciki jej ust. - Jak miałam czternaście lat, to już trafił się pierwszy pocieszyciel, nic, tylko, skurdel, chciał pocieszać. Ale, widzisz, w mojej dzielnicy dzieci prędko przestają wierzyć w bociany... no, to wiedziałam, za co chce mi dać te pięćdziesiąt

złoty, kupa forsy, co? Butelki wtedy nad Jeziorem Czerniakowskim zbierałam, więc zaprawiłam go flaszką po winie, bo on już na siłę zabierał się do tego pocieszania... Uciekłam. Ale znałam dziada z widzenia, to był ogródkarz działkowy. A wieczorkiem podesłałam mu Mańka, sama też z bratem poszłam, żeby drań wiedział, za co wycisk bierze...

- I co? - zainteresował się Stasiek.

- Nic. Odwykł od pocieszania, przynajmniej mnie.

- Chcesz na mnie napuścić Mariana? - roześmiał się.

- Na razie nie ma potrzeby, ja ci tylko pod sufitem rozjaśniam, co i jak.

- Magda, Magda! Dlaczego ty w każdym człowieku widzisz nieprzyjaciela? I gotowaś gryźć jak pies.

- Nikt mi nigdy przyjacielem nie był... przeważnie gonili jak bepańskiego kundla, to i kęsam.

- Przesadzasz, a choćby... doktor?

- Co ty wiesz o doktorze, chłopaku! - powiedziała z pobłażaniem, tonem, w którym dźwięczało poczucie wyższości osoby głęboko wtajemniczonej.

- Też cię chciał pocieszać?

- Zgłupiałeś?! - oburzyła się szczerze. - On na mnie patrzy jak na szybę w swojej szklarni, ja dla niego jestem... jestem, no... - nie mogła znaleźć określenia.

- Untermensch - mruknął Stasiek.

- Co to takiego?

- To, co chciałaś powiedzieć, tylko po niemiecku - wyjaśnił jej znaczenie tego słowa.

- Znasz niemiecki? - spojrzała na niego z zaciekawieniem.

- Magda - skorzystał z jej zainteresowania - chcę z tobą pogadać jak człowiek z człowiekiem, tylko nie becz, nie wrzeszcz i nie strasz Mańkiem, dobrze? A... jeszcze i to przyswój sobie, że ja nie należę do pocieszycieli dzierlatek.

- Szanuj się, koleś... - burknęła na wszelki wypadek, urażona tą dzierlatką.

- Słuchaj! nie jesteś ani ładniejsza, ani brzydsza, ani mądrzejsza, ani głupsza niż inne dziewczyny, tylko...

- Powtarzasz się - ziewnęła ostentacyjnie - o te kiecki

chodzi. No, dobrze, kupię sobie kiecki i inne fintifluszki, no i co z tego? Naiwniak i frajer jesteś, jeżeli myślisz, że przed ludźmi ciuch mnie zmieni... że przez lepsze łachy przestanę być, ot! Szkodlarzówną...

- Pewno, że sam ciuch cię nie zmieni. Sama musisz się zmienić. Na przykład powiedz mi, po co ty klniesz jak wozak? Przecież na całej plantacji doktora nawet najgorsza łajza nie bluzga tak jak ty.

- A ty nie bluzgasz?

- Ale ty to robisz, czy trzeba, czy nie trzeba.

- Jakbym przestała, toby mnie te łazęgi na głowę wlażyły albo i co gorszego...

- Mylisz się. Słyszałaś, żeby panna Elżbieta klęła, a nikt jej na głowę z tego powodu nie wlaży, przeciwnie, szanują ją... - urwał, bo zrozumiał, że użył niewłaściwego porównania. Zobaczył błysk rozbawienia na twarzy Magdy.

- Tyś się z choinki wielkanocnej urwał, panna Elżbieta to córka d o k t o r a ! Studentka. Tylko by jej ktoś spróbował zaszurać, tobyś zobaczył, co by z takim było. Wycisk Mańka to betka w porównaniu z tym, co by się z takim stało...

- Gdybyś tylko chciała, też mogła być zostać studentką.

- O rany, bo zdechnę od tego trucia! - zaczęła się śmiać. - Ja i studentka? A kto by na żarcie zarobił, tego mego półgłupka oprął, o starą, jak z odwyku wróci, zadbał... kto by mnie przyjął w te studen- ty, co? Mówisz jak mój dzielnicowy, tylko że on tak wysoko dla mnie nie mierzy, jemu wystarczy szkoła zasadnicza, wiesz?

- Magda - zmarszczył się Stasiak - myślałem, że jesteś niegłupia dziewczyna, tylko cię życie od małego tłuć po karku i niebardzo możesz się wyprostować, ale wygląda na to, że to nie tak. Po prostu żadnych ambicji w tobie nie ma... ot, drobna cwaniaczka... nawet porozmawiać z tobą o życiu nie idzie... szkoda.

Nagle przestała się śmiać. Wlepiała w niego dropiate, teraz wściekle oczy. Widać było, że łamie się z sobą i zastanawia, jak zareagować na jego opinię. Przekleństwem, kpiną, gniewem?

- Słuchaj - przemogła się, chociaż drżał jej ze wzburzenia

głos - już taka głupia to ja nie jestem. Wiem, że mi dobrze życzysz... - starannie, z namysłem dobierała słowa, aby pokazać mu od zaraz, że jeżeli tylko zechce, to potrafi ładnie mówić. - Jesteś z nami wprawdzie tylko tydzień, ale przyglądałam się tobie uważnie, nie bój się! Wiesz, takie drobiazgi, jak jesz, jak rozmawiasz, ty nawet klniesz z innym fasonem... i rozumiem, że jesteś lepszy gość...

- Urodziłem się na Targówku, a to, siostrzo, coś mówi. Twój Mokotów to salon i parłę franse w porównaniu z moją dzielnicą, oczywiście, za czasów mojego szczeniactwa.

- Przed chwilą sam mi wtykałeś do głowy, że nie to ma znaczenie... Ty odpadłeś od swoich przez to flekowanie i tyle... Minie jakiś czas i wrócisz do nich, do tych swoich lepszych ludzi, no, przecież nie będą ci tego kicia pamiętali do śmierci, nie martw się, przyschnie. A ja... zrozum, ja byłam zawsze w tej budzie, ciągle tutaj i tylko z Mańkiem, jak tylko pamięcią sięgnę, zawsze... Ja nie żyję w Warszawie, tylko nad jeziorem Czerniakowskim, tamto jest miasto i cześć! Widzisz, ja nigdzie nie jestem, nigdzie nie przystaję... bo ci, co by ze mną chcieli, to ja ich skreślałam... Przyswajasz, o co mi chodzi?... A ci, z którymi ja bym chciała, to oni na mnie kij kładą... - zamilkła, bo ogarnęła ją złość na siebie, że wypadła z roli dobrze mówiącej dziewczyny.

- Mów, Magda - ocenił jej wysiłki.

- Cóż tu więcej jest do mówienia - mruknęła zniechęcona. - Tak już zawsze pozostanie, tak już zawsze ze mną będzie.

- Coś ci opowiem, posłuchaj uważnie - zastrzegł i znowu ogarnęło go wielkie wzruszenie. - To będzie coś o tobie... Pewien bardzo mądry angielski pisarz już dawno napisał o takiej dziewczynie jak ty. Nawet robotę miała podobną. Ty uprawiasz kwiaty, a ona je sprzedawała, była kwiaciarką... - sam nie zdawał sobie sprawy, z jaką żarliwością zaczął opowiadać o losach małej Lizy Doolittle. W pewnym momencie zauważył tylko, że dziewczyna słucha.

Nazajutrz Magda była niezwykle milcząca. Schodziła Staśkowi z oczu, pracowała gdzieś w najodleglejszym kącie plantacji.

Tymczasem życie mieszkańców willi przy ulicy Szkarłatnej - zakłócone tragicznymi wypadkami - toczyło się znów normalnie. Pływały pracowite dni na plantacji, a major Korosz wiedział o tym tylko z informacji, jakie mogła mu przekazać komenda dzielnicowa.

Kilku wywiadowców, ubiegających się o pracę, Brożek odprawił z kwitkiem. Próbowali więc wejść w krąg towarzyski Elżbiety. Dziewczyna odnosiła się jednak z taką rezerwą do nowych znajomości, że ta droga nie rokowała żadnych nadziei na dotarcie do jej ojca i jego spraw.

Próba nawiązania znajomości z gospodynią zakończyła się podobnie. Weronice najzupełniej wystarczały jej związki rodzinne.

Major liczył już tylko na inwencję porucznika Cieślika, ale kierownik służby X od trzech tygodni nie dawał znaku życia. Irena - jego zastępca - codziennie informowała majora, że porucznik nie nadesłał żadnej wiadomości ani nie pokazał się w lokalu kontaktowym.

Po kilkunastu dniach, nocą, w mieszkaniu inspektora rozdzwonił się telefon. Alarmował długo, major miał niesłychanie twarde sen, a obudzony niespodziewanie wpadał w złość i był niemiły dla rozmówcy.

- Proszę wyleźć z puchów i nie wściekać się. Uprasza się również o niemiotanie przekleństw - uprzedził w słuchawce znajomy głos wywiadowcy.

Zjawił się też niebawem w mieszkaniu Korosza w podnieszczonnej wiatrówce, ale zupełnie nowym, jaskrawym szaliku. Nonszalancko, nie wyjmując rąk z kieszeni, rozwalił się w fotelu.

- Spowinowacilem się ze Szkudlarzami - zawiadomił.

- To słyszałem - ziewnął major. - Dlaczego nie odzywałeś się tak długo?

- Nie mogłem. Jak mi moi chłopcy odpadli w przedbiegach w starcie do mieszania łąjna u Brożka, doszedłem do wniosku, że może się to udać tylko przez Magdę. Przypadek mi pomógł, że mnie pomyjami oblała... I tak trzy dni w charakterze łążęgi za ich szopą biwakowałem. Żeby nie te

pomyje, prędzej bym się zapalenia płuc doczekał niż jej uwagi... Same sprzeczności w tej dziewczynie. Ludziom nie ufa, warczy na nich jak pies, a nieznanego kryminalistę do domu przygarnęła i o pracę zaczęła zabiegać, łącząc przy tym bardzo zgrabnie...

- Nic dobrego z tej dziewczyny - mruknął major.

- Major to nie ma pojęcia o ludziach - oburzył się niespodziewanie wywiadowca. - Jej jest trudniej niż komu innemu, a przecież z niej kawał człowieka, tego nie kupuje się w sklepie, to trzeba szanować... Ona dopiero niedawno skończyła siedemnaście lat, a życie miała takie, że zniszczyłoby i mocnego człowieka... Trzeba to widzieć, zanim tak lekko powie się: nic dobrego...

- Miała trudne dzieciństwo, wiem, wiem - ironicznie skwitował Korosz.

- Co major wie o takim dzieciństwie?! Ja wiem! Major zapomina, że moje szczenięce lata upłynęły wśród takich ludzi, byłem jednym z nich! Pochodzę z Targówka. Jak miałem naście lat, to też tam z królikami i gołębiami różnie bywało, no i co z tego? Widocznie miałem szczęście, że nie trafiłem na takiego glinę, jak major, bez obrazy... Ten dzielnicowy ma więcej serca i pomysłu dla takich jak Magda niż... Szczęście, że major nie jest dzielnicowym, major powinien się tylko zabójstwami zajmować, bo trupy już nie nie czują...

- Człowieku, co się z tobą dzieje, nie chciałem cię dotknąć - majora zdziwił wybuch Cieślika, był tak do niego niepodobny.

- Chyba nie chcesz powiedzieć, że zakochałeś się w tym piegowatym pyszczku?

- Więcej! Ja się z nią ożenię - spokojnie już stwierdził wywiadowca.

Inspektor nie wiedział, czy porucznik żartuje, czy mówi serio..

- Cieślik, nie posłałem cię w celach matrymonialnych, miałeś przyjrzeć się ogrodnikowi, no i przy okazji tym kryształowym Szkudlarzom.

- Nie poszedłem przyglądać się Szkudlarzom, tylko

ogrodnikowi! - znowu zjeżył się wywiadowca.

- Cieślik, uspokój się, ożeń się, czy ja wiem co jeszcze, tylko mi nie wmawiaj, że skłaniam cię do brzydkiej gry - perswadował inspektor. - Poza tym bądź uprzejmy i zanim ożenisz się z Magdą, wyjaśnij, co się dzieje na Szkarłatnej, zgoda? A teraz słucham!

- Pracuję w ogrodzie, czasami coś cięższego dźwigam do oranżerii. Robotnicy ci sami - ośmiu bez Szkuclarzy. Znamy ich. Poza mną nikogo nowego nie przyjął. Pracujemy na dniówkę. Sto pięćdziesiąt złotych plus obiad i godzinna przerwa, razem dwanaście do czternastu godzin orki. Gdyby tak urzędników trochę pozatrudniać, toby im później przewracanie okólników wydało się rajem... Wstępu do domu poza werandą, gdzie serwują obiady, nie mam. Ta reguła stosuje się nie tylko do mnie, a bez wyjątku do wszystkich. Nawet Szkuclarze dalej jak w kuchni nie byli. Dom jak forteca.

- Czy te ostrożności z przyjmowaniem nowych robotników podyktowane są obawą przed naszą ciekawością, jak sądzisz?

- Może... ale również jest to przede wszystkim uraz po mordstwie i splądrowaniu domu. Brożek odnowił całą willę poza piwnicami i pozmieniał wszystkie zamki w domu, wymienił również kasę pancerną na nową. Malarze i inni rzemieślnicy pracowali kilka dni. Ale zamki Brożek sam kupił, a jak je montowano, chodził za ślusarzami krok w krok i na ręce im patrzył. Malarzy pilnowały Weronika i Elżbieta...

- Zmienił zamki, założone przez naszą ekipę - zauważył Korosz.

- A mówiłem, żeby tam nieoficjalnie zajrzeć... być może, teraz nie musiałbym harować jak głupi... - z pretensją odparł Cieślik.

- Lis słuchać nie chciał i profilaktycznie zrobił mi piekielną awanturę, gdy tylko wspomniałem o tajnej rewizji, nie znasz go? A w takich sprawach nie mogę decydować bez jego zgody - westchnął major.

- Ogródnik wystawił żonie pomnik z czarnego marmuru, dewotki twierdzą, że za dwieście tysięcy złotych.

- Rewelacji nie przynosisz - mruknął inspektor.

- Uprawiamy ziemię, mieszamy kompost, obornik... - porucznik pedantycznie wyliczył wszystkie rodzaje nawozów - ale o uprawie przy pomocy kakao ani słyhu. Nie stosujemy tej odżywki. Również nigdzie nie zauważyłem nawet śladu po pudełkach Veneer.

- Kontakty, ludzie?

- Nikogo nowego poza listonoszem, który doręczył jakiś list, ale co to za korespondencja, nie wiem. Widziałem tę scenę z plantacji, nie miałem pretekstu, aby znaleźć się w tym momencie bliżej. Podobno ten brak życia towarzyskiego to konsekwencja żałoby, bo on według wszelkich reguł nosi żałobę, mimo że ta kobieta niewiele go obchodziła. Na wszystkich ciuchach paski czarnej krepy.

- Marta była tam raz czy więcej? Twoi chłopcy ustalili, że tylko jeden raz.

- Dobrze zaobserwowali. Była krótko i nawet do domu nie weszła. Wybrała rośliny i wróciła do kwaciarni. A niech się moi ludzie za blisko nie kręcą. Ostatnio za gęsto od nich na Szkarłatnej. Teren jest naokoło rozległy i raczej pusty, piekielnie trudny do obserwacji, to prawda... Najlepiej niech z dziewczynami udają randki nad Jeziorem Czerniakowskim, przez teleobiektyw i stamtąd zobaczą wszystko, co się dzieje na plantacji...

- Uciekają znad jeziora, bo tam komary - blade uśmiechnął się inspektor.

- Aha!... słyszałem, że pannie Elżbiecie zginęła śliczna, mała zapalniczka firmy Ronson. Nie może jej odżałować, tym bardziej że to prezent od jej chłopca. Szukała jej po całym domu i nawet wpadła do ojca - był wówczas w oranżerii - pytając, czy jej przez pomyłkę nie zabrał.

- Ronson? Ależ to kosztuje kupę pieniędzy, a ten chłopak Elżbiety wcale nie jest tak dobrze sytuowany, otrzymuje stypendium i dorabia w spółdzielni studenckiej,

- Niech się major nie podnieca, ten chłopiec nie jest mordercą ani współnikiem.

- I co z tą zapalniczką, ukradł ją ktoś?

- O rany! Nic - zniecierpliwiał się porucznik. - Daję tylko majorowi przykład, że nawet takie pierdolamenty nie uchodzą mej uwadze.

- Kiedy zginęła ta zapalniczka?

- Ona sama nie wie. Może ją zgubiła?

- Kiedy jej podarował tego Ronsona, przed czy po śmierci jej matki?

- Przed, przed - Cieślik pobłażliwie pokiwał głową. - Chyba major nie myśli, że dla zdobycia zapalniczki Ronsona zamordowano Brożkową.

Na tym się rozstali.

Cieślik wyszedł od majora z głębokim niesmakiem do siebie, do inspektora, do całego świata. Włókł się z rękami w kieszeniach przez puste ulice miasta. Znalazł się w Alejach Ujazdowskich pod starymi drzewami parku łańienkowskiego. O kieszeń wiatrówki uderzył chrapaszcz, odruchowo strzepnął go na ziemię. Szedł dalej nieczuły na uroki ciepłej, majowej nocy. Rosło w nim rozdrażnienie i nużące uczucie beznadziejności poczynań, pracy, życia w ogóle. Starał się otrząsnąć z tego przygnębienia, zaczął szukać przyczyn swego nastroju. Włokące się śledztwo? - medytował. - Nie. Rola Staśka, kuzyna Szkudlarzy? - Nie.

Korosz! Oczywiście, Korosz - skonstatował. Czuł urazę do inspektora, ale za co? Nagle zdał sobie sprawę, że bardzo dotknął go zarówno ton, jak i opinie majora o Magdzie.

Facet jest porządny z kośćmi - rozmyślał - ale czasami nieźnośnie apodyktyczny. Wygłasza sądy znając słabe pojęcie o przedmiocie i nazbyt wierzy w swoją nieomyślność. Bardzo dobrze, że utarłem mu nosa. Ale zbaraniał, gdy mu powiedziałem, że ożenię się z Magdą - prawie uwierzył. Jednak zrobiłem z siebie idiotę - znowu poczuł niezadowolenie z siebie... Ale czy aby tak zupełnie Korosz nie miał racji, mówiąc o Magdzie? Przecież ta dziewczyna to rzeczywiście łgarz, jakich mało, i wcale nie jest taka niezwykła, jak mu to usiłowałem wmówić... Wygłupiłem się przed nim jak szczeniak, dlaczego aż tak mnie poniosło, w końcu co ona mnie obchodzi? O kogo tak walczyłem? O to przebiegłe, kłamliwe, nieporządne... zwie-

rzątko?

W tej chwili stanął mu przed oczyma czarny, kędzierzawy łebek, trójkątna twarz i skośne, dropiate oczy, wyraźnie zobaczył złociste piegi na małym nosie. Zawsze go marszczy, gdy się nad czymś zastanawia - przypomniał sobie niemal z czułością.

Wtem zorientował się, że znalazł się dlatego w tej części miasta, ponieważ obiecał Magdzie, że zdobędzie dla niej książkę o Pigmalionie. Po prostu nie myśląc o tym szedł do domu, aby wybrać kilka tomów ze swojej biblioteki.

- Cholera! - zaklął głośno. - Czyżbym się zadurzył w tym niewypierzonym chuliganie? Ładna historia, tylko tego mi brakowało. - Wpadł w popłoch. - Niemożliwe - przekonywał siebie - przecież to prawią dzieciak, i to w dodatku stary-malutki, chudy, nastroszony wróbel. Nie! - a jednak uczucie, teraz już prawie przerażenia, nie mijają.

Glina-Pigmalion - naśmiewał się z siebie. Kiepski melodramat! Na dobre zaniepokojony i zły sumował w pamięci wszystkie niedobre rzeczy, jakie wiedział o Magdzie; ordynarna, prymitywna i w gruncie rzeczy nieładna... Wreszcie doszedł do wniosku, że po prostu tylko żał mu tego... stworzenia.

Uspokojony o stan swego ducha zabrał z domu stertę książek, nawet nie bardzo troszcząc się o dobór lektury; później złapał taksówkę i około drugiej nad ranem wszedł do baraku Szkuclarzy.

Z głębokim niezadowoleniem stwierdził, że w pierwszej połowie izby tli się krótko przykręcony płomyczek lampy naftowej. W kręgu słabego światła, z głową w ramionach, wsparta o stół, drzemała Magda. Ocknęła się natychmiast, mimo że wszedł bezszelestnie.

- Gdzieś ty się podziewał, cholernie się martwiłam!

- Co to, kontrola? - warknął. Postanowił być dla niej bardzo surowy. Nie odpowiedziała, w przyływie jeszcze większego niezadowolenia zauważył, że zakrzętnęła się przy piecyku, w którym przez cały czas podtrzymywała ogień.

- Napij się herbaty - postawiła przed nim parującą szklanekę - i przegryź coś, pewno jesteś głodny. - Podsunęła mu jakieś

zimne mięso i chleb. - Nie wtrącam się do ciebie. Tylko naprawdę martwiłam się, czy ci się co złego nie przytrafiło - usprawiedliwiała się nieśmiało.

- Nie musisz się martwić, nikt cię o to nie prosi... - odsunął szklankę i zapalił papierosa. - Czego siedzisz, idź spać!

- Na jedzenie nie ma co się obrażać - zauważyła, ale nie ruszyła się z miejsca; ukradkiem gładziła grzbiety przyniesionych książek i patrzyła na niego nieruchomymi oczami.

Zauważył to spojrzenie. Przecież te oczy mają zupełnie psi wyraz - pomyślał. Poczul do siebie obrzydzenie za ten ton, za sposób, w jaki ją potraktował. Znowu ogarnęło go wzruszenie i czułość dla tej dziewczyny. Zapragnął pogłodzić ją po czarnych kędziorach i drobnej, nieco mongolskiej twarzy z wypukłymi ustami. Powstrzymał się jednak.

- Przepraszam, Magda, ale jestem piekielnie zmęczony - uśmiechnął się do niej.

- Coś ty! Wcale się nie gniewam - odpowiedziała z uśmiechem. - Co to, ja nie wiem, że nieraz człowieka wkur... - urwała w pół dosadnego słowa - nieraz człowieka tak udręczy, że gryzłby dookoła.

Mimo woli pochlebily mu te wysiłki Magdy. Od tamtej pamiętnej rozmowy, zaczętej przez niego ot tak, wskutek chwilowego nastroju, Magda z całą właściwą sobie pasją, bohatersko zmagala się z opornym słownictwem, ze swoim cwaniackim sposobem bycia, z całym swoim dziedzictwem zaniedbanej, od dziecka samotnej dziewczyny. Nic już nie mogło jej powstrzymać w tym pędzie do doskonalenia się. Nie zwracała uwagi na niewybredne kpiny robotników Brożka i ostentacyjne zdumienie samego ogrodnika, zaskoczonego tą metamorfozą.

- Te książki miałem u ciotki, więc poszedłem po nie zaraz po robocie... Okazało się, że stara leży ciężko chora. Musiałem biegać do ubezpieczalni, do doktora, później załatwiać szpital, i tak zeszło... - wyjaśnił Cieślik.

- Nie mam serca do tej szantrapy - poniosło Magdę. - Niech ją piekło pochłonie, niech zdycha sama, jak... - Cieślik już

dawno zauważył, że spontaniczność była dominującą cechą Magdy. Nie знаła umiaru ani w dobrym, ani w złym.

- Ale jednak to ona mnie wychowała - przypomniał, ciekawy reakcji dziewczyny.

- To prawda - zreflektowała się. - Chyba masz rację, że jej pomagasz - przyznała z ciężkim westchnieniem.

- A wiesz! Jej mieszkanie jest piękne, dwa słoneczne pokoje, parkiet, centralne, łazienka....- sam nie rozumiał, co go podkusiło, aby rozsunąć przed nią tę wizję - albo się stara do mnie przekona, albo... - chciał powiedzieć: umrze i będę miał mieszkanie, ale nie dokończył, bo przeraził się opinii, jaką sam sobie mógł wystawić przed tą dziewczyną.

Ale Magda nie domyśliła się znaczenia słowa, którego nie dopowiedział. Spojrzała na niego z namysłem i zmarszczyła piegowaty nos.

- Ja wiem, że ci tu z nami w tej naszej ruderze ciężko... źle...

- Magda! - przykrył dłonią jej chudą rękę - a na ogródkach działkowych to lepiej, co? Zapomniałaś, jak po altankach urzędowałem?

- ...ale wiesz - nie usunęła swych palców - ja albo bym poszła do niej do szpitala, albo nie, nie wiem! Ale jeżeli w chorobie, tobym o nią zadbała, przecież człowiek, jak chory, to biedny... Więc jakbym już zadbała, to nie dla mieszkania. I jeżeli życzyłam jej zdechnięcia, to nie dlatego, że mieszkanie...

Przyznał jej głośno rację i pomyślał, że oto otrzymał krótką, lecz bardzo dobitną lekcję moralności. Poczul wstyd za to wszystko, co o niej myślał złego. To człowiek! - był dumny, jak gdyby to on miał jakiś udział w tym jej kalekim człowieczeństwie. Muszę tę rozmowę powtórzyć Koroszowi - postanowił.

A tymczasem inspektor starał się wykorzystać wszelkie możliwości odnalezienia sprawcy zabójstwa. W całym kraju, przy każdej okazji, milicja zwracała uwagę na mańkutów i ludzi oburęcznych. Zdaktyloskopowano około tysiąca osób. Niestety, badania linii papilarnych nie wykazały podobieństwa z odciskami ręki, pozostawionymi na miejscu przestępstwa.

Podobnie rzecz się miała z porównaniem śladów rąk przestępców notowanych w kartotekach milicji.

Wśród nich znalazło się wiele osób leworęcznych, ale po sprawdzeniu okazało się, że żaden nie może być brany pod uwagę jako zabójca Brożkowej.

Major łączył wiele nadziei z rozpoznaniem środowiska waluciarskiego. Ten trudny sondaż wykonała służba X. Inspektor usiłował dowiedzieć się, czy walory pozostawione przez mordercę w sejfie Brożka, w tym kilka banknotów sfalszowanych, rzeczywiście kupiła Brożkowa - jak twierdził ogrodnik - czy też transakcji dokonał Brożek, czego major był prawie pewien. Poza tym interesowało inspektora, czy Brożek zakupił walutę jednorazowo, czy też był częstszym klientem czarnej giełdy.

Czarnym rynkiem zajmowała się Irena, jako że Cieślik był unieruchomiony na Szkarłatnej.

Pewnego dnia major otrzymał od niej interesujące sprawozdanie - poszedł z nim do Lisa.

Z sondażu przeprowadzonego przez służbę X wśród specyficznego środowiska nielegalnej giełdy wynikało, że panowie i panie, trudniący się sprzedażą twardych i miękkich, są oburzeni na ogrodnika, który kilka miesięcy temu sprzedał im fałszywe dolary. Giełda miała do niego olbrzymie pretensje, a ponieważ w takich sprawach była solidarna, Brożek został wykreślony spośród ewentualnych klientów solidnych handlarzy dewizami. Giełdciarze zieli nienawiścią i czekali momentu, aby się odegrać na plantatorze ze Szkarłatnej.

- Przekaż te wiadomości do wydziału walki z przestępstwami dewizowymi - polecił Lis.

- Już im dałem kopię sprawozdania Ireny. Dla nich to znowu nie taka niespodzianka.

- Obrotne i płynne środowisko - powiedział o waluciarzach pułkownik. - Czy Brożek był częstym klientem giełdy?

- Trudno ustalić na pewno. Jednak można śmiało powiedzieć, że nie jednorazowym. Irena zauważyła bardzo ciekawe zjawisko. Ostatnio Brożek w wielkim pośpiechu skupował duże ilości zarówno dolarów, jak i funtów

angielskich, nawet franki belgijskie, w ogóle obiegu waluty niemal wszystkich krajów zachodniej Europy, nie wyłączając holenderskich guldenów.

- Czym za nie płacił? - zaciekawiał się pułkownik.

- Prawdopodobnie złotymi polskimi, ale o tym nawet najbardziej rozżaleni waluciarze nie mówili. Znamienny jest natomiast jeden fakt: kupował tylko banknoty bardzo wysokiej wartości. Ponieważ nasi giełdciarze mają raczej niższe odcinki, były więc pewne trudności z zaspokojeniem zamówienia Brożka. Ale giełda jest ruchliwa i przedsiębiorcza, więc niektórzy panowie kopnęli się na Wybrzeże i klient otrzymał towar, jaki chciał. Zamówienie Brożka było wydarzeniem wśród waluciarzy. W pierwszym rzucie kupił walory, które szacuje się - oczywiście w przybliżeniu, a nie szczegółowo - na łączną sumę piętnastu milionów złotych polskich... Hossa była więc kolosalna i cena wysokich banknotów gwałtownie wzrosła.

Pierwsze zamówienie plantatora orchidei przypada na drugą połowę września.

- Było jeszcze drugie?

- Oczywiście. Posłuchaj, w jaki sposób nasz ogrodnik zabrał się do niego. Gdy zabrakło już dużych odcinków, Brożek, jak gdyby zniecierpliwiony i poganiany pilnym zobowiązaniem, zaczyna skupować, i to również masowo, małe odcinki, nie gardzi nawet jedno- dolarowymi. Teraz znowu cena małych biletów gwałtownie idzie w górę. Ta tendencja utrzymuje się przez okres, w którym giełda ugania się za dużymi banknotami. Rezultat: ich cena jest znacznie niższa niż początkowo. Co się dzieje dalej? Orodnik wykupuje następną partię tysiąc dolarowych banknotów. Oczywiście, płaci znacznie niższą cenę niż poprzednio. Giełdciarze zgrzytają zębami - spodziewali się oszałamiających zysków, a zarobili przeciętnie - ale sprzedają je Brożkowi, ponieważ jest jedynym amatorem na tak wysokie bilety bankowe. W taki sposób kupuje on walory na ponad dwadzieścia milionów złotych po nader korzystnym kursie.

- Zachował się jak rasowy giełdciarz. Zastanawiam się, czy

jest lepszym ogrodnikiem, czy waluciarzem - roześmiał się Lis.

- Na tym nie koniec - podjął major. - W tym czasie Brożek posiada znaczne zapasy walorów w małych odcinkach, na które cena powoli, lecz ciągle pnie się w górę. Więc między innymi wymienia małe bilety na duże, znacznie przy tym zarabiając na wahaniach kursu... Znów się śpieszy, przynajmniej sprawia takie wrażenie wobec waluciarzy.

- Niewiele zarobili na nim.

- Niewiele. Operacja, która wydawała się olśniewająca przy pierwszym zamówieniu ogrodnika, w sumie okazała się bardzo przeciętna dla ich kieszeni. Ale to jeszcze nie wszystko. Otóż wśród tych małych odcinków Brożek sprzedaje waluciarzom fałszywe, czyli tak zwane „wyskrobki”. Gdy to wychodzi na jaw, giełda wpada w furję tym bardziej, że są zupełnie bezsilni, ponieważ nie mogą z tym przyjść do milicji ani dochodzić swych praw w sądzie. Więc od września Brożek został wyklęty przez warszawskich waluciarzy i żadnej transakcji z nimi już nie załatwił! Tylko nie wiadomo, czy on podejmował próby kupna od tego czasu.

- Skąd on miał ponad dwadzieścia milionów? - zastanawiał się Lis.

- Chciałbym to wiedzieć - odpowiedział inspektor. - Podliczyliśmy dochody z jego plantacji, uwzględniając, że nawet połowę ukrywa przed wydziałem finansowym. Wypadło nam, że takiej sumy nie mógł uciulać nawet przez kilka lat...

- A kontrakty zagraniczne na orchidee?

- To jest raczej dziedzina hobbystyczna, ambicjonalna. uprawa storczyków i zagraniczne kontrakty nie przynoszą mu nawet dziesięciu procent jego łącznych dochodów z ogrodnictwa.

- Sądzisz, że zabójstwo Brożkowej ma związek z waluciarzami?

- Tę możliwość należy brać pod uwagę. Ale gdyby nawet naślali zabójcę, to przecież na Brożka, a nie na jego żonę. Wbrew temu, co utrzymuje ogrodnik, jego żona nie miała

kontaktów z czarnym rynkiem.

- Zabójstwo Brożkowej to przypadek - stwierdził Lis. - Być może, że środowisko waluciarzy wysłało kogoś, aby odzyskać swoje walory albo przynajmniej ich część. Rzeczywiście, Brożek złupił ich niczym gangster.

- Bardzo prawdopodobne - zgodził się inspektor. - Tylko podejrzewam, że w czasie gdy popełniono zabójstwo, Brożek nie posiadał już tych dolarów.

- Na jakiej podstawie tak przypuszczasz?

- Brożek tych pieniędzy nie wydał na żadne inwestycje, przynajmniej nic takiego dotychczas nie ustaliliśmy. Nie zostało również stwierdzone - a przyglądaliśmy mu się ostatnio bardzo dokładnie - aby jego wydatki wzrosły w jakiś widoczny sposób, i to od września do teraz. Przejrzałem jeszcze raz sprawę napadu na Van der Meneera. Holender wyjechał w październiku. Operacje giełdowe Brożka zaczynają się we wrześniu. Gdy skojarzy się te daty nieodparcie nasuwa się przypuszczenie, że walory skupował Brożek dla Holendra. Chyba mu za coś płacił.

- Za co? Za cebulki storczyków, za kakao, którego zresztą nie dostał?

- Nie wiem. Ciągłe mi się płące to kakao, ale przecież to zupełny nonsens - westchnął Korosz. - Nie ma tak cennego kakao, żeby za nie płacić obcymi walutami sumę ponad dwudziestu milionów złotych. Tym bardziej, że go nie otrzymał. Czegoś tu brakuje... wydaje mi się, że nie wiemy o czymś bardzo istotnym i dlatego jest to pozbawione sensu... widocznie przez ten brak nie mogę domyślić się powodu, dla którego Brożek zapłacił, bo przecież nie podarował, taką sumę.

- Owszem, jest duże prawdopodobieństwo, że pieniądze zabrał Van der Meneer. Ta olbrzymia suma obcych walut w dużych odcinkach stanowi niewielki zwitek banknotów. Łatwo go było ukryć i przemycić.

- Zupełnie możliwe; ktoś sądził, że Brożek ma te pieniądze u siebie, i usiłował je ukraść. Nie znalazł, czego szukał, i zaskoczony przez Brożkową - zabił. Może był jej znany, przynajmniej z widzenia? Biżuterii nie zabrał bo to wielkie

ryzyko. Jest charakterystyczna, kosztowna, a zatem trudna do sprzedania. Mógł przewidzieć, że przede wszystkim będziemy szukali tej biżuterii i jeśli się tylko pokaże na rynku... przepadł. Jak widzimy, nie zaryzykował, można z tego wnosić, że to znowu nie taki bandyta-amator... Ale dlaczego nie zabrał również dwóch tysięcy dolarów, które były w sejfie?

- Mogło ich być więcej - wtrącił Lis. - Mógł wziąć część, a kilka banknotów zostawił, aby upozorować, że morderstwo zostało dokonane nie dla rabunku. Lub tak przestraszył się swego czynu, jeżeli z góry nie założył zabójstwa, że w popłochu pozostawił i biżuterię, i pieniądze.

- Mogło być tak, jak mówisz - przyznał inspektor. - Ale równie dobrze mógł je podrzucić Brożek. - Miał czas na pewne retuze, zanim sprowadził milicję.

- W jakim celu miałyby podzucać banknoty?

- Po pierwsze, aby sprawić wrażenie, że absolutnie nic nie zginęło, a zabójstwa dokonano z innych przyczyn niż rabunek. Po drugie, aby odwrócić uwagę od rzeczywistego przedmiotu rabunku, który sprawca zabrał, a który Brożek postanowił spisać na straty i nie przyznać się nie tylko, że mu zginął, ale zataić, że w ogóle go posiadał... Tylko co to takiego mogło być?

- Andrzej, trzeba przede wszystkim poznać źródła fortuny Brożka. Jeżeli je określimy, jestem pewien, że wiele to wyjaśni.

- Chciałbym pojechać do Słubic - zawiadomił major. - Van der Meneer był kontrolowany przez tamtejszą komorę celną.

- Czego się tam chcesz dowiedzieć?

- Nie wiem - mruknął inspektor. - Skoro jednak podejrzewamy go o przemyt...

- Jeżeli przemyczał walory, to zrobił to skutecznie. W przeciwnym wypadku mielibyśmy już dawno sygnał od celników.

- Masz rację - przyznał major. - Ja chcę prześledzić wszystkie etapy drogi Van der Meneera, więc i punkt kontrolny... Wydaje mi się, że popełniłem jakiś błąd,

niedopatrzenie... Tylko że gdy dostałem akta sprawy napadu na Holendra, nie było go już w Polsce.

- Dobrze, jedź do Słubic - zgodził się pułkownik. - Mogą tam pamiętać cudaka z osiemdziesięcioma kilogramami kakao.

Tuż przed wyjazdem major otrzymał sygnał od Cieślika. Tym razem wywiadowca pojawił się w południe.

- Cieślik, czy te twoje wyjścia nie wzbudzają podejrzeń? - zaniepokoił się inspektor. - Jeżeli się zdradzisz, boję się, że nikt z nas nie dostanie się więcej do willi na Szkarłatnej...

- Moja ciotka, no, wie major, ta megiera, co mnie wyrzuciła, jak wyszedłem z więzienia, teraz jest ciężko chora i leży w szpitalu. Chodzę więc ją odwiedzać dwa razy w tygodniu. Wprawdzie Magda była zdania, że niech stara zdechnie, ale i ją sumienie ruszyło, no bo przecież ta ciotka jednak mnie wychowała jako okrągłego sierotę. Jeżeli będzie potrzeba, to ciotce się jeszcze bardziej pogorszy i będę mógł nawet częściej jeździć do szpitala. Moja troskliwość nie jest taka zupełnie bezinteresowna, ponieważ, gdy ciotka kojfnie, będę miał mieszkanie... nawet mój badylarz to rozumie.

Położył przed majorem dwie różnej wielkości paczuszki, następnie pomajstrował przy guziku od kurtki i odczepił go od tkaniny, również wręczając majorowi. Otoczka imitująca guzik ochraniała i maskowała wewnątrz mikroaparat fotograficzny.

- Kakao oraz pudełko firmy Veneer i mikrofilm korespondencji - lakonicznie zawiadomił Cieślik, wskazując kolejno wymienione przedmioty. Pozezował na majora, chcąc sprawdzić wrażenie, udając przy tym, że dla niego te zdobycze to rzecz najzwyczajniejsza na świecie.

- Cieślik! - major był bardzo poruszony. - Skąd jest ta korespondencja?

- Z Belgii, nadana w Antwerpii. Niech major da to prędko do ekspertyzy. Sam jestem ciekawy jak cholera! - porucznik nie wytrzymał długo w swej pozornej obojętności.

Inspektor natychmiast przekazał zdobycze Cieślika biegłym. Był bardzo podniecony; wydawało mu się, że najdalej za kilka godzin gdy zostaną przeprowadzone badania - nareszcie

przeniknie tajemnicę dziwnego kakao.

- W jaki sposób udało ci się zdobyć korespondencję? - z niepokojem nalegał major. Bał się, że porucznik zniecierpliwiony brakiem wyników swojej misji postąpił nieostrożnie.

- Poprosiłem uprzejmie Brożka, żeby mi ją dał sfotografować - uśmiechnął się wywiadowca.

- Cieślik, jak się zasypiesz...

- Major się powtarza - skrzywił się wywiadowca. - Teraz to się major trzęsie nade mną jak nad dzieckiem... A jeszcze niedawno to były krzyki, kto tu jest wywiadowcą! - wypominał porucznik, naśladując głos inspektora.

Wyjaśnił jednak, że po kolejnej wizycie listonosza skorzystał z nieobecności ogrodnika i sforsował otwarte zresztą okno pokoju Brożka. Tam zadanie okazało się już proste; karta pocztowa z Antwerpii leżała na biurku. Sfotografowanie jej byłem dziełem jednej chwili.

- Kakao długo nie było i nie było - podjął porucznik. Nie, stosowaliśmy go do uprawy i żadne znaki nie zdradzały obecności tego artykułu w gospodarstwie, chyba że w kuchni... Cztery dni temu Brożek zawołał Mariana i ten po chwili przytaszczył dwie bańki, takie, jakich używa się do przewożenia mleka, pełne kakao. Ogródnik pouczył nas krótko, że preparat jest niejadalny, i poszedł sobie.

- Nie nadzorował was, nie dawał jakichś wskazówek, jak macie postępować z mieszanką?

- Owszem, dał - przyznał wywiadowca. - Kazał wysypać i wymieszać z kompostem. Tam jest na kompost specjalny basen. Zlecił wysypać kakao do basenu i więcej się tym nie interesował.

- Gdy u niego byłem, stosował ściśle proporcje, laboratoryjne dozy.

- Nie mogę nic pewnego powiedzieć o jego doświadczeniach prowadzonych w oranżerii, bo rzadko tam bywam i tylko po to, aby coś przynieść lub odnieść, ale te dwa pojemniki kakao poszły w nawóz bez zabawy w jakiejkolwiek dawkowaniu. O ich zawartość Brożek nie dbał więcej niż o gnój.

- Czy tym kompostem nawozi się ziemię pod storczyki?

- Na razie do niczego go się nie stosuje, ponieważ kompost jest niedojrzały. Trzeba majorowi wiedzieć, że kompost leżakuje i dojrzewa niczym najprzedniejszy koniak. Wszystkie substancje organiczne, z jakich się składa, muszą dokładnie zgnić, zmacerować się.

Dopóki to nie nastąpi, takiego nawozu nie stosuje się do uprawy, bo się podobno nie nadaje. Podczas procesu fermentacji należy go systematycznie mieszać, aby dochodziło powietrze, i właśnie to między innymi robię - Cieślík sumienie przekazał swoje świeże wiadomości z dziedziny wiedzy ogrodniczej.

- Skąd on wziął to kakao?

- To ja mam wiedzieć? - obruszył się wywiadowca. - Przecież siedzę na Szkarłatnej i nie mogę jednocześnie wiedzieć, co facet robi na mieście.

- Widzisz, nie stwierdziliśmy dotychczas, czy Brożek kupował kakao w sklepach, a zakupienie około czterdziestu kilogramów, bo tyle mieści się mniej więcej w dwóch pojemnikach na mleko, nie uszłoby naszej uwagi. Również nie wiemy, czy otrzymuje jakieś przesyłki.

- Nie zauważyłem, aby Brożek lub Marian, czy też kto inny, przywoził kakao - odparł porucznik. - Przecież takie ilości, i to do tego w pudełkach, musiałbym zauważyć. Chyba że przywiózł je już po zakończeniu pracy, to znaczy po godzinie siódmej wieczorem, ale wówczas musieliby zaobserwować ten fakt moi chłopcy z zewnętrznej obserwacji.

- Skąd Marian przyniósł te bańki wypełnione kakao?

- Z werandy. Stały tam już, gdy Brożek go zawołał. Przyniósł również worek pełen blaszanych opakowań, które dał mu ogrodnik, aby je sprzedał. To forma napiwku dla Szkudlarza, on jest bardzo łasy na wszelkie pudełka, blaszanki, butelki...

- Przecież Brożek nie produkuje holenderskiego kakao w domu - biedził się inspektor. - Musi je skądś przywozić.

- Zgadza się z tym odkryciem! - roześmiał się wywiadowca.

- Widocznie moi podwładni źle pilnują faceta; oto skutki, gdy ich szef pełni obowiązki parobka.

Dział fotografii zwrócił wywołany mikrofilm i jeszcze wilgotne, powiększone zdjęcia. Załączony opis stwierdzał, że zapis widniejący na sfotografowanej karcie nie odpowiada żadnemu znanemu szyfrowi. Nie zaobserwowano również jakiegoś innego zapisu, dokonanego tajną techniką. Podano jeszcze rodzaj papieru, format i szereg różnych szczegółów.

- Z nimi to zawsze tak! - ze złością powiedział Cieślik o ekspertach. - Nie odpowiada, możliwe, prawdopodobnie... - burczał rozczarowany. Major, równie rozczarowany, oglądał fotografię. Przedstawiała jedną stronę zwykłej karty pocztowej; widniał na niej adres Brożka i adres nadawcy, wypisany dużym, wyraźnym pismem: Belgia - Antwerpia. Stempel pocztowy i ślad po oderwanym znaczku. Drugą stronę, przeznaczoną na korespondencję, pokrywał zapis szachowy, ciągnący się słupkiem w dziewięciu pozycjach. Wszystkie pozycje były skreślone grubymi, niedbałymi krechami.

- W oryginale te skreślenia są dokonane czerwonym ołówkiem uzupełnił Cieślik - i najprawdopodobniej zrobił je Brożek. Leżała tam na biurku zwyczajna kredka „Color-technica”. Ten ołówek jest uwidoczniiony na dalszych odbitkach, bo też go ująłem w kadr. Brak znaczka niech majorowi nie nasuwa jakichś fantastycznych pomysłów. Otrzymuje je od badylarza listonosz-filatelista.

Major poprosił pułkownika Lisa do obejrzenia dziwnej korespondencji. Pułkownik był doskonałym szachistą i posiadał bogatą literaturę z tej dziedziny.

- Co to jest, Heniu? - inspektor podsunął mu odbitkę fotograficzną z zapisem. Zaciekawiony pułkownik pochylił się nad diagramem i przebiegł oczami symbole oznaczające pola szachowe i ruchy figur.

- Debiut orangutana - stwierdził po chwili.

- Że co... że małpy? - Cieślik z podejrzaną dociekliwością domagał się wyjaśnienia definicji.

- To jest potoczna nazwa - wyjaśnił pułkownik i powiedział,

na czym rzecz polega. Otóż był to zapis pewnej rozgrywki szachowej, którą obmyślił i wprowadził arcymistrz Tartakower, również wybitny teoretyk tej gry. Ten sposób był jednak nader rzadko stosowany przez graczy i obecnie niemal już zapomniany. Znali go ci, których interesowała obszerna literatura fachowa w tej dziedzinie, pasjonujący się rzadkimi lub niezwykłymi kombinacjami szachowymi.

- Poza tym nie jest pełny - dodał Lis. - To nie jest zapis całej partii orangutana, tylko jej części. Wygląda na to, że facet gra korespondencyjnie. To dość częste zjawisko wśród szachistów i nie ma w nim nic niezwykłego. Sam mam partnerów w połowie Europy i nawet jednego w Australii...

- Dotychczas nie zauważyłem, aby on wysyłał podobne pocztówki - zaprzeczył Cieślik.

- Często otrzymuje tego rodzaju korespondencję? - zainteresował się pułkownik.

- Odkąd tam jestem, listonosz był drugi raz. Ale co było w poprzedniej, nie wiem. Musiała chyba być także z zagranicy, bowiem doręczyciel tylko pocztę zagraniczną - taką ma umowę z Brożkiem - przynosi jemu osobiście. Inne wrzuca do skrzynki umieszczonej na furtce.

- A co zawiera ta inna? - dowiadywał się inspektor.

- Dotychczas nic ciekawego. Prospekty nawozów sztucznych, nasion, zawiadomienia o przelewach bankowych, prasa... - wyjaśnił porucznik.

- Van der Meneer mieszka w Eindhoven, więc to nie od niego - stwierdził inspektor.

- Wydaje mi się - podjął z wahaniem Cieślik - że kakao pojawiło się po tej korespondencji...

- Cóż z tą ekspertyzą? - zniecierpliwiał się Lis, również ciekawy analizy kakao. Zadzwoił do Zakładu Kryminalistyki i zażądał przyspieszenia badań.

Niebawem major miał okazję do drobnej satysfakcji. Przyczyną jej była ekspertyza pudełka po kakao Veneer, które zdobył Cieślik. Biegły stwierdził, bez najmniejszej wątpliwości, że pudełko, które otrzymał do badań porównawczych, jest z metalu o cechach właściwych oryginalnym

firmowym pudełkom, pochodzenia holenderskiego.

- ...wyklucza się, aby to opakowanie było wyprodukowane w Polsce... - z triumfem przeczytał inspektor ostatnie zdanie opinii biegłego. - Widzisz, Heniu, gdyby nie moje śmietniki, tak przez ciebie wykzione, teraz nie byłoby wiadome pochodzenie tego kakao. A tak mam pewność, że jest z Holandii!

- Ślicznie, cześć ci i chwała za śmietnikowe operacje, tylko w jaki sposób z Holandii trafiło ono do Brożka?

- Właśnie, w jaki sposób? - powtórzył major. - Przesyłek żadnych nie otrzymywałem, przynajmniej nic takiego dotychczas nie zauważyliśmy. Nikt do niego nie przyjeżdżał...

- Czterdzieści kilogramów w pudełkach to przecież pokaźna paka. Musiałbym ją zauważyć! - upierał się Cieślik. - Może przywiózł ją w nocy, ale skąd? Co na ten temat moje baranki?

- Nic - mruknął inspektor.

- Należy dokładnie sprawdzić na pocztach - polecił Lis. - Trzeba koniecznie wyjaśnić, czy gość nie otrzymuje żadnych przesyłek. Przecież to kakao mogło nadejść nie w jednej paczce, ale w kilku, a nawet kilkunastu przesyłkach, a takie pakunki nie rzucają się w oczy. Nastawiliście się na hurt i zupełnie nie zwracacie uwagi na małe pakunki...

- Mój personel... - zaczął Cieślik.

- Wiem, wiem! - przerwał Lis. - Twój personel jest genialny. Ale ja dopuszczam możliwość, że przeoczył taki drobiazg, jak przesyłki niewielkiej objętości. Przecież to kakao nie spada jak manna wprost na Szkarłatną- a ty, przy całym swoim przekonaniu o własnej nieomyślności, nie możesz tego zauważyć, siedząc tam w środku po całych niemal dniach.

- Nikt mnie nie wpuścił dalej niż za próg werandy - bronił się Cieślik.

- To wpuść się sam - mruknął major.

Ekspertyza kakao zdobytego u ogrodnika - oczekiwanie na jej wyniki rozpałiło ciekawość całej trójki - przyprawiła ich o głębokie rozczarowanie. Produkt, jak już tyle razy, okazał się zwykłym artykułem spożywczym, bez żadnych domieszek.

Jedno natomiast nie ulegało wątpliwości. Brożek kłamał twierdząc, że kakao jest preparowane ze związkami azotu lub wapnia. Widocznie w ten sposób chciał uzasadnić posiadanie tego produktu w olbrzymich ilościach i odwrócić uwagę od jego rzeczywistego przeznaczenia. Było również oczywistym, że do swoich tajemniczych celów ogrodnik używał wyłącznie kakao paczkowanego w Holandii, i tylko marki Veneer.

Jakie ukryte właściwości mógł mieć ten produkt? - inspektorowi przychodziły różne pomysły, jeden fantastyczniejszy od drugiego, ale żaden z nich nie trafiał mu do przekonania. Oceniając chłodno swoje podejrzenia uzyskał pewność, że w rękach Brożka kakao traciło nieznane właściwości, a to, co ogrodnik pozostawiał w bańkach po mleku na werandzie, było znowu zwykłym kakao, które po prostu wyrzucał, ponieważ nie miał co z nim robić. Mógł wprawdzie je sprzedawać, ale wymagało to czasu i zachodu. Ponadto legenda o uprawianiu storczyków uzasadniała wysypywanie kilogramów tego artykułu w nawóz. Była również zasłona, która kryła właściwe przeznaczenie holenderskiego kakao.

Ogrodnik wbrew pozorom nie był fantastą ani maniakiem. Przeciwnie, major przekonał się, chociażby na podstawie operacji walutowej, że doskonale umie kalkulować i liczyć... A więc nie z fantazji wyrzucał w nawóz tysiące złotych. To było celowe działanie - w sumie musiało się opłacać.

Inspektor był przekonany, że tajemnicę Brożka kryją pudełka jednokilogramowe!

Zabrał się więc ze zdwojoną energią do sprawdzania przesyłek w urzędach pocztowych. Zanim mógł podjąć tę żmudną robotę - razem z nim również kilku ludzi ze służby X - pułkownik Lis musiał uzyskać zgodę prokuratora na dyskretne skontrolowanie dokumentacji pocztowej. Uzyskał takie pozwolenie dla swoich podwładnych, a ci przedzierzgnęli się przy tej okazji w kontrolerów z centrali.

Szukano śladu, który zdradziłby otrzymywanie przez Brożka paczek z Belgii lub Holandii. Nie poprzestano na urzędach pocztowych, położonych w pobliżu miejsca zamieszkania ogrodnika, dopuszczając możliwość przekazywania przesyłek

na poste restante lub skrytkę pocztową w jakimś urzędzie w innej dzielnicy.

Podejrzanie to nie potwierdziło się. Wydawało się, że Brożek nie otrzymuje żadnych paczek z zagranicy za pośrednictwem poczty.

Major był jednak uparty. Usiłował zebrać najdrobniejsze nawet wiadomości na temat korespondencji Brożka. Stwierdził, że ogrodnik odpowiada swoim korespondentom na ich pocztówki. Trwało to już około czterech lat. Co w nich pisał - nie udało się ustalić.

Inspektor zwrócił uwagę na częstotliwość tej korespondencji i istniejące prawidłowości.

Ponieważ były to zwykłe karty pocztowe, w diagramach czy listach przewozowych nie było po nich śladu. Jedyнным źródłem mógł być tylko listonosz. Wahał się, czy nie porozmawiać z doręczycielem, ale uznał tę metodę za zbyt ryzykowną.

Z pomocą przyszła służba X i hobby listonosza. Ustalono, że był zapalonym filatelistą, miał imponujące zbiory znaczków różnych serii i z różnych dziedzin. Często też wymieniał niektóre egzemplarze, a nawet je sprzedawał, szczególnie dublety.

Niebawem więc wywiadowca, orientujący się wszechstronnie we wszelkich subtelnościach filatelistyki, wdał się w handel wymienny z listonoszem.

W taki sposób, między innymi, inspektor stał się posiadaczem wielu znaczków pochodzących z korespondencji otrzymywanej przez Brożka z Belgii i Holandii.

Znaczki nosiły daty stempli pocztowych zagranicznych urzędów, w których nadano listy. Major zrobił chronologiczne zestawienie tych dat.

Wynikało z nich, że w poprzednim okresie korespondencja nadchodziła z regularnością chronometru co czterdzieści pięć dni. Odchylenia od tej reguły zdarzały się rzadko i wahały od jednego do pięciu dni. Ostatnia data pochodziła z września ubiegłego roku, następnie aż do grudnia była przerwa.

- W październiku przyjechał Van der Meneer - skojarzył ten fakt major.

Było to tym bardziej przekonujące rozumowanie, że następny znaczek nosił datę z grudnia ubiegłego roku.

- Bierz pod uwagę wymianę kart z dwoma korespondentami, belgijskim i holenderskim - przypomniał Lis.

- Tu nie zauważyłem żadnej prawidłowości, na podstawie znaczków nie można ustalić związków zachodzących między korespondencją z Belgią, a korespondencją z Holandią.

- Z jakiego okresu znaczki listonosz pozostawił sobie?

- Z poprzednich lat, i to też tylko niektóre. Z ostatniego roku mamy wszystkie te, którymi dysponował doręczyciel. Ale sądzę, że Brożek oddawał mu wszystkie.

Obaj z pułkownikiem Lisem badali dalej daty znaczków.

Ostatni pochodził z początków grudnia, następnie była przerwa, a więc korespondencja ustała. Pojawiła się znowu dopiero przed kilkoma dniami, była to owa karta sfotografowana przez Cieślaka, z fragmentem zapisu debiutu orangutana. Jednak znaczka z tej karty pracownik służby X nie odkupił, ponieważ listonosz nie bardzo chciał się z nim rozstać. Wywiadowca nie nalegał, aby natarczywością nie wzbudzić podejrzeń.

- Prawie cztery miesiące przerwy w szachowej wymianie ruchów. Bardzo chciałbym znać zapis ruchu, jakim odpowie Brożek. Może wówczas uda się odkryć rzeczywisty cel wysyłania kart pocztowych, bo podejrzewam, że z szachami niewiele mają wspólnego - głośno myślał inspektor.

- Pilnuj dobrze ogrodnika - poradził Lis. - Jest prawie pewne, że odpowie niebawem temu Belgowi i mogą to być następujące warianty... - pułkownik nakreślił diagram, w który wpisał dziewięć ruchów podanych przez nadawcę i kilka innych. - Jedno z tych rozwiązań powinno znaleźć się w odpowiedzi ogrodnika, jeżeli zrobi to prawidłowo i jeżeli rzeczywiście chodzi tu o korespondencyjną grę w szachy - pokazał majorowi przewidziane ewentualności. - Natomiast jeżeli Brożek źle oceni sytuację i nie przewidzi pułapek ukrytych w tej rozgrywce, może zrobić takie posunięcie... lub takie... - pułkownik naniósł na diagram inne możliwości rozstawienia figur.

Służba X czuwała nad urzędami pocztowymi i wreszcie udało się sfotografować odpowiedź Brożka. Ogrodnik nie krył się ze swoją korespondencją. Odkrytą kartę do adresata w Antwerpii nadał z najbliższego urzędu pocztowego.

Inspektor z nieukrywaną niecierpliwością oczekiwał na wywołanie filmu, dlatego też sam pojechał do laboratorium fotograficznego i zabrał odbitki.

Mimo że przewidywał ukryty cel tej korespondencyjnej gry w szachy, teraz, gdy sprawdziły się jego przewidywania, nie mógł ukryć satysfakcji.

Na karcie wysłanej przez Brożka widniało zapisanych w identycznym szyku i identycznymi symbolami dziewięć pozycji fragmentu debiutu orangutana. Ani jedna litera i ani jedna cyfra nie odróżniały tego zapisu od diagramu nadesłanego kilka dni wcześniej z Antwerpii.

- To jest szyfr - przyznał Lis porównując oba zapisy. - Te diagramy nie mają nic wspólnego z grą w szachy.

- Umowny język, tym gorzej dla nas, bo nie znamy klucza do jego odczytania - stwierdził inspektor. - Prawdopodobnie posiadają go tylko trzy osoby, Brożek, Van der Meneer i ktoś w Belgii.

- I, zdaje się, oni go wymyślili - dodał Lis. - Nic z tego - odsunął fotografię z zapisem szachowym. - Te sygnały pozostaną dla nas niezrozumiałe. W normalny sposób nie odczyta tego żaden ekspert. Klucza należy zatem szukać inaczej.

- Jedno jest przynajmniej jasne, w tej korespondencji nie chodzi ani o grę w szachy, ani również o kwiaty, ani o tajemnicę wyhodowania brązowego storczyka, jak mi to kiedyś prawie wmówił Brożek - stwierdził major.

- Można przyjąć, że Brożek trudni się skupem obcych walut. Waluty te opuszczają kraj drogą nielegalną, a więc jest współnikiem przemytników. Tylko co oni mu dostarczają w zamian, przecież nie kakao? - zamyślił się pułkownik.

- Tyle już wiemy, a nie uzbierało się tego nawet na marną sankeję, gdybyśmy chcieli go zatrzymać - powiedział o Brożku major.

- Nie należy zdradzać naszych zainteresowań - zastrzegł Lis. - Trzeba go nadal utrzymać w przeświadczeniu, że zajmujemy się wyłącznie poszukiwaniem mordercy jego żony.

Zdarzył się niebawem fakt, który jeszcze bardziej zagęścił atmosferę wokół Brożka. Otóż major, przeglądając dokumenty w urzędzie pocztowym, natknął się na ślad interesującej przesyłki. Okazało się, że ogrodnik pod koniec listopada wysłał do Holandii paczkę: adresat Arvid Van der Meneer - Eindhoven. Zawartość przesyłki, odzież.

Cóż to za odzież przesłał Brożek zamożnemu plantatorowi kwiatów? - głowił się inspektor. Nie sądził, aby ogrodnik zrobił Holendrowi prezent z polskiej konfekcji. Ponadto, jeżeli już nawet, to miał wystarczającą okazję, by obdarować tamtego, gdy był w Warszawie. Co wobec tego miała znaczyć ta przesyłka z odzieżą, wysłana w dwa tygodnie po wyjeździe Van der Meneera?

- Zupełnie się nie zdziwię, jeśli okaże się, że Brożek przemyca przy pomocy Holendra zegarki firmy Błonie - westchnął major.

- W takim wypadku byłby wart dużej premii! - roześmiał się Lis. Osoba Van der Meneera coraz bardziej interesowała majora. Na wszelki wypadek zapytał o Holendra w Interpolu. Może to znany im przemytnik? Mogłoby to wiele wyjaśnić i rzucić światło na zagadkowe interesy ogrodnika ze Szkarłatnej w Warszawie.

Inspektor wyjechał do Słubic.

Mimo że od czasu wyjazdu Van der Meneera minęło kilka miesięcy, a przez komorę celną przewinęło się wiele osób, celnicy pamiętali tego trochę dziwnego cudzoziemca. Utkwiła im w pamięci jego przesadna troskliwość o nasiona i bulwy kwiatów. Zanudzał ich opowiadaniem o wartości, cenie i rzadkości tych nasion. Pamiętano również olbrzymie ilości kakao, które przywiózł, i jego ubolewanie nad wysokością cła.

- Co mówił o przeznaczeniu kakao? Może twierdził, że to odżywka dla kwiatów? - dowiadywał się inspektor.

Celnik roześmiał się, sądząc, że major żartuje. - Mówił, że to

prezent dla kolegi po fachu w Warszawie, bo słyszał, że podobno u nas kakao jest horrendalnie drogie. W ogóle ekscentryczny facet...

Major poprosił o pokazanie mu protokołów z odprawy celnej, dotyczącej Holendra. Wszystko się zgadzało, ilość kakao, bulw, nasion. Już tylko dla porządku przeglądał protokół z odprawy celnej, gdy Holender opuszczał Polskę.

Uderzył go i zaskoczył jeden szczegół. Otóż w protokole figurował aparat filmowy marki Bauer, ze starannie odnotowanym numerem fabrycznym.

W pierwszej chwili sądził, że celnikom zdarzyła się pomyłka, zwrócił na to ich uwagę.

- To nie jest pomyłka - zaprzeczył celnik. - Nie ulega wątpliwości, że Holender przyjechał z kamerą Bauer i również z nią opuścił Polskę.

Fakt ten bardzo zdziwił Majora. Bowiem Van der Meneer, podając milicji przedmioty zrabowane podczas napadu, umieścił w ich spisie również aparat filmowy Bauer o tym samym numerze fabrycznym.

Inspektor doszedł do wniosku, że istnieją dwie możliwości. Pierwsza: Holender jest ubezpieczony. Podając w spisie utratę kamery, wartości trzystu dolarów, zaokrąglił sobie sumę odszkodowania, jakie niewątpliwie wypłaciło mu Towarzystwo Ubezpieczeniowe po przedstawieniu uwierzytelnionej kopii protokołu sporządzonego przez milicję. Biorąc pod uwagę drobiazgowość i skrzętność cudzoziemca, graniczącą - zdaniem Cieślika - ze skąpstwem, ta nieścisłość, a raczej nadużycie, było do niego podobne.

Tylko skoro napastnicy ograbili go doszczętnie, to czy jest możliwe, aby pozostawili - zabierając mniej cenne przedmioty - właśnie kosztowny aparat filmowy?

- Druga możliwość - mówił do Lisa - to sfingowanie napadu... Nie, co ja wygaduję - zaprzeczył sobie natychmiast. - Napad istotnie musiał się zdarzyć. Panowie, mający coś do ukrycia, bez przymusowej sytuacji nie zwracają się do milicji o pomoc. Napad więc zdarzył się, tylko mogą tu występować dwa warianty. Holendrowi zrabowano część przedmiotów, a

on nałgał milicji, że skradziono mu wszystko. Następny: Van der Meneer albo Brożek, albo obaj razem w jakiś sposób odzyskali na własną rękę część lub nawet cały łup...

- To rozumowanie ma sens - przyznał Lis. - Nawet się zajął. Odzyskali najpierw kamerę, a potem ubranie, które Brożek wysłał do Holandii w dwa tygodnie po wyjeździe cudzoziemca.

- Oni mogli odzyskać również przynajmniej część kakao - stwierdził inspektor. - Teraz zaczynam wiązać pewne daty różnych wypadków z tym kakao... Ono traci tajemnicze właściwości w momencie, gdy z pudełek trafia do pojemników po mleku. Produkt, który nam się dotychczas udawało uzyskać, jest już nieciekawym i zupełnie zwyczajnym.

- Zgoda - przerwał Lis. - Rozwijając tezę, że Brożek lub Hollender, lub obaj razem odzyskali łup albo jego część, dochodzimy do wniosku, że musieli pertraktować ze sprawcami napadu...

- ...lub paserami - uzupełnił major.

- Słusznie! To znaczy, musieli ich znać lub w jakiś sposób poznać... - pułkownik zamyślił się. - Andrzej! W takiej sytuacji w napadzie mogli brać udział Szkudlarze... Ogrodnik od dawna ich zna... Odzyskał łup, na którym mu bardzo zależało, ofiarowując w zamian ochronę przed odpowiedzialnością... może dlatego tak się martwił o Szkudlarza, gdy ten został zatrzymany... oto właściwy powód jego opieki nad rodzeństwem.

- Czy to możliwe, aby Szkudlarze niczym się nie zdradzili do tej pory? Przecież z nimi rozmawiałem, i to niejednokrotnie! - nie mógł uwierzyć major.

- Możliwe, możliwe - mruknął Lis. - Miałeś przykład, gdy Szkudlarz nic nie powiedział o pobycie psa w ich domu, mimo że postawiłeś mu zarzut o morderstwo... ale teraz ich nie ruszaj. Przewiduję, że do niczego się nie przyznają, a i dowodów przeciw nim nie mamy. Natomiast ta sprytna, mała diablica natychmiast poinformuje Brożka i skutecznie zepsuje nam całe nabożeństwo. Wiesz co, przejrzyj jeszcze raz te wszystkie dziwne kakaowe przypadki, które cię tak

fascynowały, łącznie z napadem na Holendra.

- Nareszcie przyznajesz, że coś w tym jest! - z nieukrywaną satysfakcją stwierdził major.

- Przyznaję! - roześmiał się Lis. - Ale teraz zacznasz już mówić o faktach, a nie o przeczeniach.

Inspektor ponownie zajął się aktami włamania dokonanego przez Siwego i Łyska, notatkami o zatruciu Amelii Kowalskiej, osobą Antczaka. Ściągnął również dokumenty dotyczące nieudanego włamania do Delikatesów.

Bracia-bliźniacy siedzieli jeszcze w więzieniu, dopiero za miesiąc mijał termin ich kary. Inspektor jeszcze raz rozmawiał z nimi o przedmiocie kradzieży. Milczeli tępo, apatyczni, obojętni na zadawane pytania.

Łysek, który z powodu gruźlicy znowu miał przerwę w odbywaniu kary, również nie dostarczył inspektorowi żadnych nowych szczegółów.

Korosz zastanawiał się, jak postąpić z Antczakiem. Przypuszczał, że on jedynie - z dotychczas znanych osób - dysponował kakao zrabowanym Van der Meneerowi. Musiał je kupić od rabusiów lub od pasera.

Po naradzie z pułkownikiem Lisem uznali, że nad handlarzem roztoczy opiekę służba X.

Niespodziewanie zjawił się Cieślik, i to po południu, w dniu nie przewidzianym na wizyty w szpitalu.

- Moja ciotka jest prawie umierająca - uspokoił inspektora. Z jego miny widać było, że tym razem wywiadowca przynosi bardzo interesujące wiadomości.

- Majorze, to zboczenie! - zawołał dramatycznie.

- Jaki zboczenie? - nie zrozumiał major.

- Brożek - oznajmił z przekonaniem Cieślik. - Autentyczny gerontofil... medycyna doskonale zna takie przypadki. Otóż on kocha się w kilku starszych paniach, i to naraz! - Cieślik udawał zgorzienie. Wszystkie emerytki w wieku potrolejbusowym. A jedna z nich, nigdy major nie zgadnie, kto to jest! - wywiadowca zawiesił głos. Gdy uznał, że pauza jest dostateczna dla spotęgowania ciekawości, powiedział: - pani Emilia!

- Cieślik, to miała ustalić grupa Ireny, Twoje zadania...

- Major się powtarza! - westchnął Cieślik markotny, że jego rewelacje nie wywołały dostatecznego wrażenia - Oczywiście, że to ustalili moi wyrobnicy, ja tylko zebrałem informacje mego wydziału w całość i...

Inspektor powściągnął uśmiech. Znał słabostkę porucznika, który bardzo lubił osobiście przekazywać ciekawe wyniki pracy swego wydziału.

- ...w dniu, w którym sfotografowałem kartę pocztową z Antwerpii - podjął porucznik - mogłem to zrobić tylko dzięki temu, że po południu ogrodnik wyjechał z domu. A odbiглоwał się jak lordzi- sko, łuna od niego biła, taki był wytworny, podejrzewam, że ze trzy razy się wykąpał... Najpiękniejszych kwiatków naścinał w oranżerii i wybył...

- Jakim samochodem pojechał?

- No, przecież nie półciężarówką, tylko Mercedesem. Tego dnia dniówkę wypłacała robotnikom Weronika. Gdy o siódmej wychodziłem z plantacji, jeszcze go nie było, taki romansowy... Bałem się, że moi chłopcy nie zdążyli sięść mu na zderzaku, bo ta Szkarłatna to paskudna ulica do obserwacji. Zawsze prawie pusta. Skontaktowałem się z Ireną, uspokoiła mnie, że miała meldunki z trasy o trzeciej po południu. Personel dopadł go na Czerniakowskiej i prowadził dalej. Następnie rozmawiałem z nią około dziewiątej wieczorem, ale ona nie miała jeszcze dalszych wiadomości. Brożek uszarpał mi chłopaków nieziemsko. Bo te jego pięknotki mieszkają w różnych dzielnicach Warszawy. Początkowo zaniepokoił się, sądząc, że facet kluczy, bo domyślił się naszej opieki. Krewa! dawaj zmieniać wozy, ludzi. Ale nic z tych rzeczy, badylarz walił jak w dym zupełnie się nie konspirując, tylko te wysłużone królowe piękności nie mieszkają w jednym miejscu ani blisko siebie, więc stąd to miotanie się po całym mieście. Wizyty ukończył około jedenastej wieczorem, ma chłop zdrowie! I... pojechał do Marty. Parkował u niej długo po północy, jednak jeszcze przed świtem wrócił do siebie na Szkarłatną. Jako pierwszą odwiedził matkę, czyli panią Emilię, a zakończył na córce! Z Martą równa

dziesiątka kobiet. W tym tylko ona jedna młoda, reszta takie więcej zabytkowe, wszystkie grubo po pięćdziesiątce.

- Co to za kobiety?

- Emerytowane panie różnych zawodów.

- Jakież prawidłowości?

- Wszystkie mieszkają samotnie, wszystkie żyją wyłącznie z emerytur, wszystkie nobliwe, o nieposzlakowanej opinii, nigdy nie karane i... wszystkie mają telefony.

- Tych kobiet jest d z i e w i ę ć!... - inspektor namyślał się patrząc na wywiadowcę.

- Starszych pań jest równo dziewięć, plus Marta - poprawił porucznik. - Wiem, co major ma na myśli, mnie to również uderzyło...

Pułkownik po wysłuchaniu relacji Cieślaka zgodził się z przypuszczeniem Korosza i wywiadowcy, że dziewięć pozycji fragmentu diagramu debiutu orangutana, podanych w karcie pocztowej, nadesłanej do Brożka z Antwerpii, odnosiło się do dziewięciu pań mieszkających w różnych dzielnicach Warszawy.

- A więc tą drogą Brożek zaopatruje się w kakao - podkreślił inspektor. Teraz wydawało mu się to zupełnie oczywiste. Proste w swej zasadzie, a trudne do wykrycia. Pomysł nie był nowy, zdarzał się poprzednio w niektórych sprawach, szczególnie gdy w grę wchodził przemyt.

W tym wypadku nadawcy z Antwerpii i Eindhoven musieli otrzymać dziewięć adresów - niczym nie wyróżniających się z otoczenia uczciwych kobiet - na które wysyłali paczki. O przekazaniu ich zawiadamiali Brożka umownym sygnałem, tym właśnie fragmentem partii szachowej. Ten zaś po otrzymaniu zawiadomienia odbierał przesyłki od swoich zaufanych pań i odwrotną pocztą powtarzając ten sam sygnał, informował nadawcę, że towar otrzymał. To wszystko! A szachowy szyfr był tak z pozoru niewinny, że trudno byłoby nań zwrócić uwagę lub powziąć jakieś podejrzenia. Jest przecież wielu graczy, którzy prowadzą taką korespondencję niemal ze wszystkimi kontynentami.

- Wszystko to pięknie, tylko że mój personel nie zauważył,

aby Brożek wynosił jakieś paczki od tych zwiędłych piękności - zastrzegł wywiadowca. - Wprawdzie nie mieli warunków, aby obserwować go z bliska...

- Ile ostatnio było u Brożka tego kakao? Około czterdziestu kilogramów - przerwał inspektor. - Miałeś rację - zwrócił się do Lisa

- on je otrzymuje w małych paczkach. Podzielić tę porcję na dziewięć, wypadnie na pojedynczy pakunek cztery kilogramy i trochę... Cztery pudełka można z powodzeniem zmieścić w teczce.

- Czy te kobiety znają się między sobą? - chciał wiedzieć Lis.

- Nie wiem, to dopiero wstępne rozpoznanie - odpowiedział Cieślik. - Ale nie przypuszczam, aby je łączyły jakieś zażyłe stosunki.

- Otrzymują paczki?

- Tego również nie wiem. Trzeba sprawdzić na pocztach. Nakaz kontroli korespondencji, wydany przez prokuratora, dotyczył tylko Brożka. Nie ośmieliłem się działać na dziko. Pracownicy poczt są bardzo uczuleni na te tam różne tajemnice przesyłek, korespondencji... Jeżeli dziewięć pań jest rzeczywiście związanych z ogrodnikiem, to trzeba koło nich chodzić na palcach...

Lis jeszcze tego samego dnia załatwił potrzebne dokumenty, aby jego funkcjonariusze mogli swobodnie przeprowadzić operacje w dziewięciu urzędach pocztowych.

Badania poczty poszły dość gładko. Okazało się, że do adresatek ujawnionych przez służbę X przychodziły systematycznie paczki z zagranicy.

Na przykład pani Emilia regularnie odbierała przesyłki z Holandii, pojawiające się przeciętnie co czterdzieści pięć dni. Ich zawartość: kakao i galanteria, kilka par pończoch lub jakiś inny szczególnie damskiej konfekcji. Waga jednorazowej paczki nie przekraczała nigdy sześciu kilogramów.

Przesyłki nie zwracały uwagi; można było sądzić, że to skromna pomoc dla emerytowanej kuzynki od jakichś krewnych.

Starsza pani uiszczala cło, cieszyła się przy tym, że znów

przysłali coś z konfekcji. Sugerowała - wdawała się w pogawędki oczekując na wydanie paczki - że rodzina nie jest zamożna, pracuje w zakładach Veneer i kakao otrzymuje jako bezpłatny deputat do swoich zarobków.

Wszystkie panie opowiadały mniej lub bardziej powściągliwie - w zależności od temperamentu - w swoich urzędach pocztowych podobne legendy, różniące się tylko w szczegółach. Ponieważ każda z nich otrzymywała paczki na innej poczcie, rzecz była najzwyczajniejsza i nawet nie wzbudzała zainteresowania.

Major porównał te wiadomości z zagadkowym zachowaniem plantatora ze Szkarłatnej. Fragmenty łamigłówek złożyły się teraz łatwo i bezbłędnie pasowały do siebie.

Cykl wyglądał tak: ogrodnik otrzymywał kartę wysłaną w takim czasie, że panie zdążyły już odebrać swoje paczki. Zabierał więc od nich przesyłki i zawiadamiał o tym swoich przyjaciół za granicą. W ten sposób system funkcjonował bez zakłóceń.

Porównując daty - stwierdzone na znaczkach pocztowych oraz daty w listach przewozowych, gdzie były odnotowane przekazy dla zaufanych kobiet - przez blisko cztery lata co czterdzieści pięć dni powtarzał się cykl: karta - paczki - karta. Przerwa w korespondencji pokrywała się z przerwą w otrzymywaniu paczek. Gdy tylko znów pojawiła się wymiana kart między zagranicą a Brożkiem, natychmiast zjawily się i przesyłki. Następnie na Szkarłatnej znalazło się kakao, które zostało wysypane do nawozu.

- Korespondencja urwała się w grudniu - powiedział z niezadowoleniem inspektor. - W grudniu byłem pierwszy raz na Szkarłatnej i interesowałem się przeznaczeniem kakao.

- Ciągle jednak nie mamy pojęcia, co w nim tkwi! - wykrzywił się Cieślik, markotny, że będąc tłumaczem Van der Meneera niczego nie podejrzewał, uważając Holendra za nieszkodliwego maniaka.

- Następnej przesyłki możemy spodziewać się mniej więcej za kilkanaście dni... - namyślał się major. - Zanim paczki trafią do adresatek, musimy poznać wreszcie skład chemiczny przysłanego kakao. Jak to zrobić?

Pierwszy wyrwał się Cieślik.

- Ja zrobiłbym to tak... hm... - pozezował na Lisa. - Gdy pani Emilia, bo ją sobie najbardziej upodobałem, odbierze paczkę, podejmuję się popełnić bezszmerową kradzież...

- Niewątpliwie - powiedział zimno Lis - pomysł znakomity. Cieślik! czy nie za bardzo przyzwyczyłeś się do metod swoich podopiecznych?

- Nic podobnego, ostatnio przebywam w bardzo wytwornym towarzystwie. Mój ogrodnik to prawdziwy lord - Cieślik zrobił niewinną minę.

- Cieślik, nie dręcz subtelnego sumienia naszego szefa - roześmiał się Korosz. - Gdyby ten sposób był dobry, sam bym to zrobił.

- Zdaje się, że obaj przeceniacie swoje uprawnienia - bardzo serio powiedział Lis.

- Nie ma o czym mówić, ponieważ pomysł jest chybiony. Emilia, czy którakolwiek z nich, natychmiast zawiadomi o kradzieży Brożka i pozostanie nam tylko wiedza o właściwościach kakao, a to przecież nie jest jedyny cel naszego dochodzenia. Trzeba jeszcze dojść do sprawy zabójstwa... Nie wolno płoszyć ogrodnika ani jego współpracowników fingowanymi kradzieżami czy napadami. Natomiast rola pani Emilii w świetle tych informacji wydaje się co najmniej niejasna. Okazuje się, że jej związki z Brożkiem nie ograniczają się tylko do Marty. Ten uciekający morderca, którego rzekomo widziała... Mętny, mimo jej wyjaśnień, cel wizyty na Szkarłatnej w dniu śmierci Brożkowej...

- Magda też go widziała - przypomniał Cieślik.

- Obie mógł poinstruować Brożek. Nie dowierzam ani Emilii, ani Magdzie, oczywiście każdej z innego powodu...

- A ja Magdzie ufam - z naciskiem podkreślił porucznik.

- ...podejrzewam ponadto - ciągnął major - że ogrodnik wie lub domyśla się, kto zabił jego żonę. Nie chcę przez to powiedzieć, że on inspirował zbrodnię - dodał szybko, patrząc na sceptyczną minę Lisa. - Ale odnoszę wrażenie...

- O wrażeniach innym razem - przerwał pułkownik. -

Proponuję, aby dopilnować nadejścia przesyłek i zbadać jedną z nich, zanim trafi do rąk adresata. Znów będę musiał pertraktować z prokuratorem - westchnął.

Po tej naradzie Cieślik wrócił do swego życia na Szkarłatną. Przychodzili teraz razem z Magdą coraz później do domu, jako że dzień się wydłużał, a razem z nim praca na plantacji. Umowa o dniówkę wyraźnie mówiła, że czas pracy ma trwać od siódmej rano do zachodu słońca.

Któregoś dnia Cieślik przyszedł do baraku w szczególnie złym nastroju. Ogrodnik zakupił większą partię azotniaku i porucznik przez pół dnia prznosił razem z Marianem pięćdziesięciokilogramowe worki z samochodu do składu.

Teraz dotkliwie czuł w mięśniach te kilka ton, ale nie tylko zmęczenie mu dokuczało; zajęty na wahadłowej trasie między samochodem, a znajdującym się w odległej części plantacji magazynem, Cieślik nie miał możliwości obserwacji willi.

- Pańszczyzna, cholera! - przerwał milczenie. - Przecież to wyzyskiwacz! Do zachodu słońca! - nie mógł darować tej klauzuli umowy. - Nie miałem pojęcia, że w naszym państwie toleruje się jeszcze takie średniowieczne stosunki.

- Przecież on dobrze płaci - zauważyła Magda. - Sto pięćdziesiąt złotych i obiad, to ładny grosz. A przecież nikogo siłą nie ciągnie... Po dobrej woli...

- Niech go szlag trafi! - prychnął porucznik. - Nie mogę patrzeć, jak ty się, dziewczyno, mordujesz.

- Eee, przyzwyczaiłam się.

- Musisz się czegoś nauczyć - powiedział stanowczo - bo zmarniejesz u tego sakramenckiego dobrodzieja.

- Dobrze - zgodziła się potulnie, aby nie drażnić go jeszcze bardziej - trzeba jednak skończyć sezon u doktora. Nie mogę mu zrobić takiego świństwa, żeby odejść w środku najgorętszego okresu.

O tej porze nie jest łatwo o robotnika...

- Jakby tak z tymi łażęgami pogadać i przymusowy antrakt badylarzowi urządzić - zrewolucjonizował się porucznik - to albo dzień pracy musiałby skrócić, albo... - nie dokończył, bo w porę uprzytomnił sobie, że te sprawy nie mogą go w tej

chwili absorbować. Cholera - zdziwił się w duchu - ale wlałem w to swoje wcielenie.

- Stasiiek, co ty wygadujesz? - przeraziła się Magda. - Nie możemy zrobić takiego gnoja doktorowi. Mam wobec niego dług wdzięczności - dodała cicho.

- Nie bój się, mała, nie narozrabiam.

Cieślik zwalił się, tak jak stał, na łóżko, a gdy Magda zagrzała wodę i naląła do wanienki, z trudem zmusił się do umycia.

- Ty jeszcze masz siłę, żeby coś robić? - dziwił się szczerze, rozchlapując kałuże wody po podłodze. Marzył o zimnym tuszu, szklance mocnej kawy i o tym, żeby już nie udawać. Myślał o swoim mieszkaniu, wygodnym fotelu, o pozostawionej butelce koniaku. Nagle złapał się na tym, że pragnie, by tam na „Latawcu” być razem z Magdą.

Zakochałem się w niej? - ogarnął go niepokój, a później fala świeżego rozdrażnienia i niechęci do Magdy.

- Masz widocznie niewolnicze inklinacje - rozmyślnie chciał ją dotknąć - bo ja nie nadaję się na niewolnika.

Jego niedobry nastrój spotęgował się, dziewczyna wyczuła to natychmiast.

- Toteż kiedyś wolałam butelki i... króliki - powiedziała z żalną autoironią. - Wiesz - podjęła po namyśle - ja tak patrzę na ciebie i myślę, że ty się nie przyzwyczaisz... za długo byłeś w lepszym życiu.

Cieślikowi wydało się, że w jej tonie było lekceważenie - zaskipiała w nim obraza, gniew.

- Może byś chciał szoferem zostać? - jej twarz rozjaśniła się z zadowolenia, że znalazła jakieś wyjście.

- Nie chcę! - odparł ponuro i pomyślał o swoim międzynarodowym prawie jazdy i o tysiącach kilometrów, jakie przemierzył prowadząc wozy różnych marek. Prawie rozczulił się nad sobą na wspomnienie, że w garażu stoi bezużyteczny jego własny Fiat, a on tutaj zdziera się jako parobek u ogrodnika. Nienawidził w tej chwili Brożka. Studia, języki, szkoła oficerska - rozżalał się nad sobą - i to wszystko po to, aby nosić worki. Miał pretensję do Lisa.

- Namysł się - Magda perswadowała łagodnie, jak rozkap-

ryszonemu dziecku - praca lekka. Jeżeli Marian się nauczył, to ty nauczysz się na pewno! Poproszę dzielnicowego i załatwi ci kurs, tak jak Mańkowi. Mam trochę pieniędzy odłożonych na martwy sezon, resztę się skombinuje i załatwione. Nauka kosztuje trzy tysiące...

Cieślিকা do reszty rozwścieczyły te pieniądze, które chciała ofiarować na koszty jego edukacji. Poczul się obrażony. Co ta dziewczyna sobie wyobraża?

- Skończ wreszcie z tymi prośbami, z tym żebractwem. Ciągłe tylko o coś prosisz, to badylarza, to dzielnicowego, rzygać się chce! - krzyknął brutalnie.

- Koleś... - wycedziła i zamilkła, bo zabrakło jej tchu. Wszystka krew odpłynęła jej z twarzy. Błada, wpatrywała się w niego zwięzonymi oczami.

Cieślik myślał, że dziewczyna zaraz zemdleje. Ogarnął go wstyd, zdał sobie sprawę, że zachował się podle, że zranił ją dotkliwie, trafił w najczulsze miejsce. Oddałby wiele, żeby cofnąć te słowa. Wyciągnął do niej rękę.

- Magda - bezwiednie włożył w to imię całe uczucie, jakie do niej żywił, przed którym się bronił.

- Koleś... - powtórzyła i odtrąciła jego dłoń - ...wiesz, ja wolałam kraść niż prosić... Nigdy dla siebie o nic nie prosiłam, zapamiętaj to sobie. Ja nie jestem taka pani jak ty i nie czytałam Pigmaliona, wiesz, gdzie go mam razem z tobą? - określiła dosadnie. - Nie myśl tylko sobie, że jestem taka giętka i na dwóch łapkach... Dla ciebie chciałam pójść zgiąć kark, chociaż dla mnie to gorsze niż mieszanie gówna na plantacji... Dla ciebie - powtórzyła zagryzając wargi i hamując łyzy - a ty jesteś cham, złób i zły człowiek, nie szanujesz innych ludzi, chociaż masz się za lepszego, bo czytałeś Pigmaliona... - odwróciła się, chwyciła torbę i nim Cieślik się zorientował, trzasnęły drzwi. Poderwał się i wybiegł za nią.

- Odwał się, gnojku, do sklepu po chleb idę, a coś ty myślał, że do jeziora może, utopić się, tak? Aż tak to mi to twoje parszywe gadanie nie dopiekło... Nie bój się nic, gorsze rzeczy słyszałam i żyję. Jeśli ci się zdawało, że tak mi na tobie zależy, toś głupi.

- Dziesiąta... sklepy pozamykane.

- Mordownia otwarta do jedenastej - zawiadomiła rzeczowo. - Jakiś komiśniak tam dostanę.

- Pójdę z tobą, Magda - zaniepokoił się o nią, gdy wyobraził sobie wnętrze tego baru, pełne pijanych mężczyzn.

- Odknaj się, pókim dobra - Magda bohatersko łykała łzy. - Bo Marianowi powiem!

Patrzył, jak jej krucha figurka znika na ścieżce wiodącej przez łąki. Czuł się winny - bo to już też wiedział, że w najcięższych chwilach wspomnienie ślepo przywiązanego do niej brata było jej jedynym żalosnym schronieniem.

Począł chwilę w cieniu okapu dachu i pobiegł łąkami na przelaj. Chciał uprzedzić Magdę i spotkać ją pod barem. Gdy przyszedł w pobliże knajpy, jeszcze jej nie było. Znowu czekał, i te kilka minut wydały mu się wiecznością. Targany niepokojem, potęgowaną pustką, ciemnością dalekiego przedmieścia i wrzaskami dobiegającymi z baru, pośpieszył uliczką, z której powinna nadejść Magda

Zauważył ją wreszcie; stała z jakimś mężczyzną. Porucznik w pierwszej chwili sądził, że to Marian. Sylwetka, tamtego krępa, zwalista, przypominała brata Magdy.

- Nie znam pana, odknaj się, staruszkule, i nie zaczepiaj przyzwoitej dziewczyny - rezonowała Magda łamiącym się ze zdenerwowania głosem.

- Słuchaj, mała... - mężczyzna nie dokończył rozpoczętego zdania, bo spostrzegł nadbiegającego Cieślaka.

Rozwścieczony porucznik szarpnął go za kłapy wiatrówki, cienka tkanina pękła, z suchym trzaskiem.

- W mordę chcesz? - wycedził z zimną furią wywiadowca, wykręcając mu rękę. Przerażliwie jasno zdawał sobie sprawę, że jest na służbie, że w żadnym wypadku nie wolno mu wdawać się w przygodne awantury, i równie jasno wiedział, że zaraz stłucze tego faceta na kwaśne jabłko.

- Zostaw go, ten pan się pomylił... - Magda przeraziła się o bezpieczeństwo chłopaka. Przy zwalistym opryszkule wydawał się szczupły, chłopiący. Podbiegła usiłując ich rozdzielić.

Porucznik łagodnie odsunął dziewczynę, tamten chciał

skorzystać z nieuwagi Cieślaka, wywinął się z uścisku i pięścią wymierzył cios, na knykciach palców błysnęła szpadryna.

- Uważaj! - ostrzegła Magda i podbiegła z tyłu do napastnika, chcąc się na niego rzucić.

- Odejdź! - krzyknął Cieślak, zrobił błyskawiczny unik i krótki, straszny sierp zwałił tamtego z nóg.

- Masz dość? - mruknął wywiadowca czując ból w prawej dłoni. Jednak tamten usiłował podnieść się z ziemi. Następny cios rozciągnął go dokładnie w tym samym miejscu. Porucznik dołożył mu jeszcze na wszelki wypadek i z wiotkiej teraz ręki wyszarpnął mu szpadrynę.

- Flekami chcesz? - zapytał retorycznie.

- Stasiu, nie... chodźmy już - błagała Magda pamiętając, że przecież chłopak miał wyrok właśnie za kopanie w bóje.

Porucznik był daleki od wykonania tego, czym zagroził, i chciał jak najszybciej zniknąć z miejsca niesubordynacji służbowej, tym bardziej że napastnik nie przejawiał już wrogich zamiarów.

- Wiejemy - pociągnął dziewczynę za sobą.

Zdyszani wpadli do mieszkania. Mariana jeszcze nie było.

- Coś ty zrobił - załamała ręce Magda.

- Dałem chamowi po mordzie - roześmiał się porucznik prawie zadowolony z awantury, która zatarła wrażenie poprzedniej scysji z Magdą. - A ty więcej nie będziesz łaźła sama po nocy, żebym nie musiał rozbijać kolejno łbów hewrze z Siekierek.

- On nie jest z Siekierek - szepnęła Magda.

- Znasz go? - dzika, irracjonalna zazdrość zakipiała w poruczniku. - Mów mi zaraz, skąd go znasz? - chwycił ją za rękę.

Magda roześmiała się. Poczula się w tej chwili ogromnie szczęśliwa, ale zaraz targnął nią straszny lęk o niego.

- Znam. To... to paser z Brzeskiej.

- Paser? Tym lepiej - odetchnął. - Nie poleci z donosem na glinowo, że dostał po ryju.

- Zadarłeś ze straszonym człowiekiem...

- Widziałaś, jaki był straszny - prychnął - dwa razy po

pysku i już grzeczny.

- On ci tego nie daruje... on... on trzęsie całą Pragę, Targówkiem i Zaciszem. Ma mir u wszystkich worychów, oni się jego boją...

- Skąd ty to wiesz, skąd ty masz takie znajomości, dziewczyno? - przyglądał jej się ponuro.

Milczała. Pobladła, aż piegi na nosie zrobiły się zupełnie wyraźne. Ale cętkowane kocie oczy nie umknęły przed jego spojrzeniem. Było jej strasznie ciężko. Nie chciała, ale jakiś kategoryczny, wewnętrzny nakaz zmuszał ją, aby powiedziała mu wszystko.

- Czego on od ciebie chciał? - nie ustępował porucznik, znowu ogarnięty zazdrością.

- Żebym trzymała buzię na kłódkę... Powiem ci wszystko - zdecydowała i miała uczucie, jakby rzuciła się w zimną wodę Czerniakowskiego Jeziora.

Cichym, łamiącym się głosem opowiedziała mu, nie pomijając żadnego szczegółu, o napadzie na Van der Meneera, Hilarczyku i interwencji Brożka.

- Teraz już wiesz, jaka jestem - westchnęła z rezygnacją i rozplakała się ze strachu, z upokorzenia i niepokoju, jak on to przyjmie.

Po co ona mi to powiedziała, po co - myślał porucznik. Zdał sobie dotkliwie sprawę, jak ważną, a może decydującą rzeczą jest jej wyznanie, wyjaśnia bowiem wiele nie rozwiązanych dotychczas szczegółów i wyraźnie określa kierunek dalszego dochodzenia w sprawie śmierci żony ogrodnika. Jak ja o tym opowiem, jak ją uchronię od konsekwencji? - męczył się porucznik. Ale też mam szczęście do rozplątywania supelków! Co za parszywa sytuacja. Czy ja muszę być aż tak dobrym wywiadowcą? - Nie muszę.

Magda na swój sposób wytłumaczyła sobie jego ponure milczenie.

- Nie łam się - dzielnie panowała nad drżącym głosem. - Nie musisz się mną przejmować... Ja mam Mariana - próbowała dodać sobie otuchy tą jedyną niezawodną dotychczas ucieczką. - ...Ślubu ze mną nie brałeś...

- Ale wezmę - przygarnął dziewczynę do siebie. - Daję ci słowo, że nigdy cię nie zostawię i już żaden parszywy Hilarczyk nie zrobi ci nic złego... No, co tak się na mnie gapisz? Słyszysz, regularnie ci się oświadczam, odpowiedz chociaż słowo - było mu lekko, że wreszcie się zdecydował, ale i trochę głupio.

- Strasznie fajno! - na nic innego nie mogła się zdobyć, zaskoczona jego wyznaniem, Magda.

*

Wywiadowcy pracowali jako rewizorzy w urzędach pocztowych. Nadzorowano również Antczaka oraz dziewięć pań, współpracowniczek Brożka.

Obserwacja kobiet nie przyniosła żadnych ciekawych spostrzeżeń. Major doszedł do wniosku, że Brożek nie wyjawiał współpracownikom tajemnicy kakao. Każda z nich była utrzymywana w przeświadczeniu, że czyni mu drobną grzeczność, pozwalając na swój adres przysyłać niewielkie paczki. Prawdopodobnie wynagrodzeniem za przysługę była konfekcja załączana do paczek i kwiatki z jego plantacji.

Wreszcie nadeszły oczekiwane przesyłki. Na polecenie milicji wstrzymano ich doręczenie adresatkom, a tego dnia wieczorem pracownik służby X przywiózł majorowi kilogramowe pudełko holenderskiego kakao. Nie wzywany pojawił się z nim Cieślik, ale tym razem major nie zrobił porucznikowi żadnej wymówki. Rozumiał doskonale, że wywiadowca także nie może się doczekać wyjaśnienia tajemnicy tej zagadkowej sprawy, która zabrała im kilka miesięcy pracy.

Pudełko, etykieta, wreszcie waga odpowiadały wszystkim cechom artykułu firmy Veneer.

Ekspert delikatnie podważył wieczko - odskoczyło ukazując wnętrze. Dostęp do kakao zamykała szczelnie zamocowana do brzegów pudełka osłonka ze srebrzystej cynfolii? Biegły namyślał się przez chwilę - jednak nie złamał tej kruchej pieczęci.

- Zrób analizę widmową - poradził zniecierpliwiony Cieślik.

- Widmo dają tylko cząstki spalone. Przecież nie mogą spalić tego pudełka. Wolalbym go nawet nie otwierać -

wyjaśnił ekspert. - Spróbujemy najpierw promieni rentgena.

- Co tu da rentgen - mądrył się Cieślik. - Pruj tę osłonkę, spał trochę kakao, później jakoś zaklepiesz cynfolię... Co, głupiej osłonki nie potrafisz spreparować?

- Cicho bądź, znawco obornika! - ofuknął go biegły.

Ustawił pudełko i uruchomił aparat. Na mleczej, opalizującej powierzchni ekranu zawartość pudełka widoczna była jako ciemna, zwarta masa, usiana jasnymi punkcikami.

- Metal - stwierdził zdziwiony ekspert.

- Magik! - prychnął Cieślik. - Pudełko jest z metalu, ty odkrywco.

- W substancji, znajdującej się wewnątrz, jest metal w drobinach nie większych niż drobiny substancji - poinformował biegły.

- Otwórz pudełko i przeprowadź szczegółowe badania chemiczne oraz widmowe - zdecydował pułkownik Lis. Ekspert bez słowa zabrał się do spełnienia poleceń. Nie zerwał jednak osłonki. Pudełko zostało otworzone od spodu przy pomocy specjalnego przyrządu, który nie pozostawiał śladu na ściankach i nie naruszał firmowej etykiety.

Biegły delikatnie odgiął okrągły rąbek spojenia denka. Szczypczykami nałożył na szklaną płytkę odrobinę brunatnego pyłu. Tylko najczulsza waga mogłaby wykazać ten ubytek.

- Weź więcej - nie wytrzymał Cieślik, zaniepokojony, czy z tej minimalnej ilości da się określić właściwości preparatu.

- Wystarczy - uśmiechnął się tamten.

Badania trwały ponad godzinę. Najpierw biegły wykonał analizę widmową. Nic nie powiedział o jej wynikach, tylko coraz bardziej zdziwiony i podniecony zabrał się do analizy chemicznej. Oficerowie, widząc jego pośpieszną pracę i całkowite pochłonięcie badaniami, czekali cierpliwie, nie przeszkadzając mu rozmową. Nawet Cieślik uzbroił się w cierpliwość i zaprzestał dawania rad. Siedział cicho, zaabsorbowany krzątaniem biegłego. Wreszcie ekspert zanotował ostatnie dane i odsunął narzędzia.

- Złoto! - oznajmił pełnym emocji głosem. Nawet Korosza, który od początku najbardziej ze wszystkich podejrzewał

dziwne i nie związane z kulturą agrarną właściwości holenderskiego kakao, ogarnęło zdumienie.

- Złoto - powtórzył biegly. - Żółty, ciągliwy metal w stanie koloidalnym, barwy niebieskofiołkowej. T.T. 1062,4 temperatura wrzenia 260° , rozpuszczalne w KCN, w wodzie królewskiej i gorącym H_2SO_4 .

- Masz jednak nosa, Andrzeju! - Lis klepnął po plecach majora. - To afera!

- Teraz pułkownik już nie żałuje śmietnikowych operacji? - wypominał Cieślik, nie chcąc pamiętać, że przede wszystkim on sam był przeciwny koncepcji majora i podporządkował się tylko decyzji Lisa, pomawiając go w dodatku o uleganie fantazjom inspektora.

- Czy kakao z tym preparatem może być trujące? - inspektor pragnął wyjaśnić wreszcie wypadek Amelii Kowalskiej.

- Spożyte w dużej ilości może spowodować nawet śmiertelne zatrucie - przyznał ekspert. - Proporcje złota w tej mieszance wynoszą nieco ponad dziesięć procent. Już pięć - do ośmiu dekagramów tego etalu powoduje stan ciężkiego zatrucia, oczywiście, gdy się go zje.

- Jak sądzisz, dlaczego w tej mieszance użyto takich proporcji złota, a nie wyższych? - zainteresował się Lis.

- Wiąże się to bezpośrednio z wagą. W takich proporcjach można najidealniej wytarować ciężar. To znaczy, ciężar całego preparatu. Kakao jest lżejsze od blaszek złota, więc większa ilość musiałaby spowodować, że kilogramowa puszka byłaby rażąco niepełna i różniłaby się znacznie od analogicznego pudełka z czystym kakao o tej samej objętości i wadze. Większe ilości niż wymieniony procent blaszek metalu również zmieniłyby jego barwę. A stosując taką proporcję, ani kolorem, ani konsystencją, ani smakiem wreszcie nie zdradzają swej obecności, i nie ma mowy, aby ktokolwiek mający dostęp do preparatu, poza wtajemniczonymi, łatwo wpadł na rzeczywiste właściwości i przeznaczenie tego kakao. Pomysłowo i sprytnie urządzone. Ci, którzy je preparują, muszą niezgorzej znać się na chemii - zakończył ekspert.

- Dlaczego używasz terminu blaszki złota, przecież to proszek? - dopytywał się Cieślik.

- W mieszance jest on zmielony na pył tak mialki, jak kakao. Ale pod silnym mikroskopem te drobiny złota widoczne są jako blaszkowate. Ich molekuly mają taki właśnie kształt.

- W jaki sposób można oddzielić blaszki złota od kakao? - zapytał major.

- Dość prosty, rzekłbym, metodami chałupniczymi - wyjaśnił ekspert. - W tym celu potrzebny jest łuk elektryczny. Następnie uzyskany w ten sposób proszek wystarczy rozpuścić w gorącym H_2SO_4 . Potem trochę płukania w odpowiednich płynach chemicznych i ciepłe jeszcze złoto scala się w bryłki niczym masło w maselnicy. Można je wówczas dowolnie uformować w sztabki lub krążki o pożądanej wadze.

Inspektor przypomniał sobie oranżerię Brożka i precyzyjną laboratoryjną wagę, wskazującą ciężar do jednej tysięcznej miligrama, na której tamten z taką uwagą odmierzał dozy do rzekomej odżywki dla orchidei. Niewątpliwie służyła do ważenia kruszcu, a odważanie dawek rzekomego preparatu i całe to misterium z nowym gatunkiem storczyków Brożek zainscenizował dla niego.

Przypomniał sobie także pomieszczenie piwniczne, znajdujące się dokładnie pod stylowym hallem, i panujący w nim prawie dekoracyjny bałagan.

Już wówczas, podczas oględzin po zabójstwie Brożkowej, uderzył go nieporządek panujący w piwnicy. Beładnie i jakby w popłochu leżały zrzucone na stos najprzeróżniejsze przedmioty. Dziwne przemieszanie zupełnie nieprzydatnych rupieci i świetnie utrzymanych, potrzebnych w ogrodnictwie narzędzi, których miejsce ze względu na ich przeznaczenie i częste używanie winno być w składzie przy oranżerii.

Teraz dopiero jednak stało się jasne, że mieściło się tam laboratorium, w którym miłośnik storczyków przeprowadzał swoje alchemiczne praktyki. Przemawiały za tym okute blachą drzwi, stalowe sztangi zabezpieczające zawiasy i system specjalnych zamków, chroniący tę niby-rupieciarnię. Potężny wentylator,

wmontowany w zakratowane okienko, służył oczywiście do oczyszczania powietrza z niebezpiecznych dla zdrowia oparów chemikaliów.

Wszystko to major powiedział Lisowi, gdy znaleźli się znów u siebie.

- Teraz nareszcie wiem, czym Brożek płacił waluciarzom - zauważył major.

- Tak, nie ulega wątpliwości, że sprzedawał złoto za waluty - przyznał Lis. - Jednak tego faktu giełda nie ujawniła przed nikim, mimo że przysięgła Brożkowi bojkot handlowy. Gdyby nie napad na Van der Meneera, długo jeszcze prosperowałby spokojnie ten przemysłny system przemytniczy. Różnica ceny złota w Belgii, Holandii i Polsce jest znaczna. U nas jest ono o wiele droższe. Nareszcie znamy źródło oszałamiającej fortuny wybitnego plantatora storczyków.

- Ci, którzy napadli na Holendra, trącili kamyk, który pociągnął lawinę. Ich czyn uruchomił cały łańcuch przyczyn i skutków, zupełnie nieobliczalnych i nie przewidzianych zarówno przez ogrodnika, jak i jego współników. Teraz mam dwie hipotezy dotyczące sprawców morderstwa Brożkowej - stwierdził inspektor i przedstawił swój pogląd.

Założenie pierwsze: oszukani przez Brożka waluciarze, domyślając się, że złoto, które sprzedawał za waluty, to jeszcze nie wszystkie jego zapasy, postanowili odzyskać swoją stratę, decydując się na dokonanie włamania do jego sejfu. Ponieważ nie zdarza się, aby ludzie operujący na czarnej giełdzie zajmowali się równocześnie kradzieżami, należy przypuszczać, że wynajęli do tego celu włamywacza.

Sprawca mimo uprzedniego rozpoznania obiektu dał się zaskoczyć Brożkowej i w konsekwencji zamordował kobietę. Był tak przerażony tym, co zrobił, że nie zabrał nawet kosztownej biżuterii albo też obawiał się, że klejnoty w przypadku zatrzymania go będą świadczyły przeciw niemu.

Wypadki, aby włamywacz zabijał człowieka, zdarzają się nader rzadko. Należy się domyślać, że jakieś dramatyczne przyczyny zdeterminowały działanie przestępcy. Ponadto ten złodziej-morderca dotychczas nie figuruje w rejestrach, a więc

nie należy do kadry recydywistów.

Założenie drugie: przestępcy, którzy obrabowali Van der Meneera, sprzedali kakao paserowi - być może jest nim Antczak. Paser w jakiś sposób przeniknął tajemnicę Brożka. Tu się przecięły interesy dwóch światów przestępczych, przemytnika i meliniarza. Paser, zwabiony ogromem bogactwa i perspektywą dość łatwej, prawie bezpiecznej zdobyczy - ponieważ wydawało się oczywistym, że przemytnik nie poprosi milicji o interwencję - przekazał ten wdzięczny obiekt włamywaczowi.

Wyprawa po złote runo zakończyła się tragedią, której nie przewidział prawdopodobnie ani paser, ani wykonawca.

Major był przekonany, że inspiratorem włamania jednak był paser. To on zlecił włamanie komuś ze świata przestępczego. Bowiem nie było precedensu, aby najlichszy nawet meliniarz parął się równocześnie kradzieżami czy rozbojem. Specjalizacja meliniarska opiera się na konsekwentnym przestrzeganiu tej zasady.

Nie było też prawdopodobne, aby tajemnicę kakao rozszyfrowali sami rabusie. Przestępcy, którzy dokonują napadów rabunkowych, nie należą do myślicieli, a i sam uprawiany proceder decyduje o ich postępowaniu. Tutaj rządzi zasada, niemal prawo: natychmiast pozbyć się łupu. Starają się więc zaraz, wprost z miejsca napadu dotrzeć do znanej meliny i uwolnić się od kompromitujących dowodów.

Po odkryciu tajemnicy kakao Veneer stało się oczywiste, że włamanie do domu Brożka i w konsekwencji morderstwo zostało dokonane w celach rabunkowych, jego celem było złoto, mimo scenerii, która sugerowała inne przyczyny zabójstwa.

Inspiratorzy dobrze przewidzieli, że ogrodnik nie zamelduje nawet o włamaniu lub kradzieży, poświęcając raczej znaczne wartości, aby tylko nie wprowadzić w swoje sprawy dociekliwej milicji.

Nikt jednak nie przewidział morderstwa, a tym samym faktu, że plantator ze Szkarłatnej o takim przestępstwie będzie musiał zawiadomić władze. Mimo to, zgodnie z przewidywaniami

inspiratorów włamania, nawet w obliczu potwornej zbrodni nie zdradził on przedmiotu rabunku.

Na czas, o którym sądził, że pozostaje w sferze zainteresowania milicji, odwołał funkcjonowanie przemytniczej poczty i zawiesił wykonywanie swego proceduru. Gdy uznał, że niebezpieczeństwo minęło, spokojny już o swoją tajemnicę, wznowił działalność.

Inspektor postanowił skoncentrować uwagę na środowisku waluciarzy oraz paserów współpracujących z bazarem. Teraz już był przekonany, że morderca ma związek z jedną z tych grup.

Służba X otrzymała polecenie ustalenia waluciarzy, którzy mieli bezpośredni kontakt ze Szkarłatną, i dokładnego zbadania ich znajomych, klientów, przyjaciół, rodzin.

Następnie major zajął się sprawozdaniami o zachowaniu Antczaka. Ale dotychczas nie szczególnego nie zauważono. Zdobyte przez tajną służbę odciski palców - major zlecił to zadanie dla porządku i eliminacji - nie odpowiadały rysunkowi linii papilarnych, pozostawionych przez sprawcę zabójstwa w willi na Szkarłatnej.

- Co robimy z Brożkiem? - inspektor rozmawiał z Lisem. Był ranek, kakao na powrót ulokowano w paczce. Urzędy pocztowe wysłały zawiadomienia do adresatek. Można się było spodziewać, że przesyłki zostaną przez nie jeszcze dzisiaj odebrane, a wieczorem znajdą się w laboratorium ogrodnika. Można też było przewidzieć, że Brożek nie zwlekając, najpóźniej następnej nocy, przystąpi do laboratoryjnej obróbki preparatu.

- Zatrzymać go? - głośno rozmyślał inspektor. Zatrzymanie ogrodnika nie było teraz rzeczą zbyt trudną. Wystarczyło dopilnować jego powrotu do domu i wówczas wkroczyć z nakazem aresztowania i rewizji.

Lis był zdania, że z tym należy poczekać, przynajmniej do czasu otrzymania przez Brożka następnej porcji przesyłek. Przemawiały za tym dwa powody. Przed zatrzymaniem plantatora orchidei należało ustalić, gdzie sprzedaje on złoto i gdzie zamienia je na waluty. Za jednym zamachem zlikwiduje

się więc odbiorców złotego kruszcu i handlarzy walutą.

Drugi powód: na zapytanie majora nadinspektor Alain Dusoge z Interpolu wyjaśnił, że ani Arvid Van der Meneer, ani Andre Loni, człowiek z Antwerpii, nie figurują w kartotekach Interpolu, nie są również znani policjom swoich krajów. Przy czym nadinspektor prosił o informację o ich działalności przestępczej, chcąc przekazać te dane władzom Belgii i Holandii. Należało zatem zsynchronizować akcję policji przeciw Belgowi i Holendrowi z zatrzymaniem przemytnika ze Szkarłatnej; było bardzo prawdopodobne, że fabrykanci mielonego złota pod pretekstem eksportu uprawiają kontrabandę nie tylko do Polski.

- Znowu Interpol na nas skorzysta - uśmiechnął się inspektor, dumny z rangi sprawy, jaką wytropił, ale jemu również była na rękę zwłoka proponowana przez Lisa. Miał nadzieję, że podczas obserwacji Brożka uda się jeszcze rozpoznać jego związki z bazarem, a może nawet z paserem, i wreszcie tą drogą trafi na ślad mordercy.

Tymczasem archiwum akt zawiadomiło majora o pewnym szczególe z życiorysu Antczaka. Teraz bowiem, gdy skromny handlarz z bazaru znalazł się w orbicie sprawy o zabójstwo i afery przemytniczej, badano nie tylko jego obecną egzystencję, ale cierpliwie szperano, starając się odtworzyć niemal dzień po dniu całe jego czterdzieści siedem lat życia.

Dotychczas nie dostrzeżono jego związków ze światem przestępczym, z którego niewątpliwie pochodził zabójca. Sięgano więc do dalekiej przeszłości handlarza, aby dowiedzieć się, w jakim środowisku, wśród jakich ludzi był osadzony ten człowiek, biorąc pod uwagę zarówno związki rodzinne, towarzyskie, jak i handlowe.

Inspektor był przekonany, że Antczak, któremu teraz dałoby się bez trudu udowodnić różne niezbyt czyste interesy, ma głębsze powiązania ze światem przestępczym, tylko umknęły lub uykają one uwadze wywiadowców.

Poprzednio, po wypadku z Amelią Kowalską, badania były bardziej powierzchowne, bo i znaczenie sprawy nie było zbyt wielkie. Wątpliwe zatrucie, a i to nie wiadomo, czy akurat

artykułem pochodzącym ze straganu handlarza.

Teraz, gdy major wiedział prawdę o zawartości pudełek kakao Veneer, był przekonany, że handlarz - nie wiedząc, co naprawdę zawiera kakao - bezpośrednio otrzymał je od człowieka, który posiadał tajemnicę preparatu.

- Czy przypadkiem nie ten człowiek poradził mu, aby na wszelki wypadek trzymał na straganie pudełka Veneer, pochodzące z handlu uspołecznionego? - głośno zastanawiał się inspektor.

- To bardzo możliwe - przyznał Lis. - Miało to stanowić dowód na wypadek zainteresowania się milicji zatruciem Amelii Kowalskiej.

- Kupiłem to pudełko - uśmiechnął się major. - Stop metalu wykazał później, że zostało ono wyprodukowane w Polsce, a nie w Holandii. Zarówno Antczak, jak i jego dostawca byli pewni, że mnie bardzo zrećźnie oszukali.

- Nie miałbym nic przeciwko temu, aby sądzili tak nadal - powiedział Lis. - Ale zdaje się, że zmienili zdanie...

- Masz rację - skinął głową major. - I mnie się tak wydaje. Prawdopodobnie dlatego służba X nie trafiła dotychczas na żadne podejrzane kontakty Antczaka. Sprawa morderstwa na Szkarłatnej była głośna. A zatem inspirator włamania doskonale wie o tragicznym finale, nawet gdyby sam sprawca mu o tym nie powiedział. Wobec tego przedsięwziął wszelkie możliwe środki ostrożności. Ponieważ poprzednio interesowaliśmy się Antczakiem, ten nie znany nam paser ma się również na baczności przed kontaktami ze straganiarzem.

Wiadomość, która wzbogaciła wiedzę majora o przeszłości bazarowego handlarza, pochodziła sprzed osiemnastu lat. Przeglądając kartonową teczkę, wypełnioną postrzępionymi dokumentami, inspektor natknął się, między innymi, na kopię aktu oskarżenia i sentencję wyroku, z których dowiedział się, że Antczak w 1948 roku został skazany na dwa lata więzienia za spekulację artykułami pierwszej potrzeby.

Korosza zainteresował ten odległy, a nie znany dotychczas rozdział życia handlarza. Wprawdzie trop był wąty, ale należało go bezwzględnie podjąć. Może uda się odszukać

ludzi, z którymi współpracował Antczak w tamtym okresie? Być może w więzieniu zadzierzgnął jakieś przyjaźnie z przedstawicielami świata przestępczego, które dotrwały do dziś. Może ktoś z tego kręgu w osiemnaście lat później pośredniczył w sprzedaży kakao Veneer? Może z tego środowiska rekrutują się inspiratorzy włamania do willi na Szkarłatnej lub zabójca Brożkowej?

Wyłowiona z archiwum sprawa pomogła inspektorowi dotrzeć do funkcjonariuszy milicji, którzy prowadzili wówczas dochodzenie, a nawet do funkcjonariuszy więzienia, gdzie Antczak odbywał karę.

Jednak nie pamiętano już tego człowieka, podobnych spraw w tamtych latach było bardzo wiele. I tak utonęła pamięć o paskarzu Antczaku.

Ciekawsze okazały się natomiast dokumenty przechowywane w więziennym archiwum. Między innymi major znalazł tam kopie niektórych listów Antczaka, pisanych z więzienia do żony.

Powtarzały się w nich pozdrowienia dla rodziny, znajomych, prośby o paczki, rady dla żony, jak ma postępować w sprawach codziennego życia. W jednym z nich donosił między innymi, że podczas spaceru na dziedzińcu więziennym spotkał Lolka Zielińszczaka, który odsiadywał trzyletni wyrok.

Inspektor zarządził ściśle rozpoznanie ludzi wymienionych w korespondencji Antczaka. Niełatwo było po osiemnastu latach odszukać osoby niekiedy wspomniane tylko z nazwiska lub imienia. Podjęto jednak ten trud i zidentyfikowano niemal wszystkich. Ale lata zmieniają ludzi, i to niekoniecznie na gorsze.

Na przykład Lolek Zielińszczak okazał się teraz Antonim Zielińskim, człowiekiem po pięćdziesiątce, ojcem trojga dorastających dzieci, kwalifikowanym ślusarzem, pracującym od lat w jednej z warszawskich fabryk, człowiekiem statecznym, o bardzo dobrej opinii; dobry pracownik i obywatel. W niczym nie przypominał tamtego spekulanta sprzed osiemnastu lat i prawdopodobnie sam już zapomniał o swoim niechwalebny zakręcie życiowym.

Pozostali także ułożyli sobie życie, tylko niektórzy, jak Antczak, nadal handlowali na bazarze. Można im było niejedno zarzucić, głównie w dziedzinie podatkowej, ale żaden z nich nie miał bandyckiej, złodziejskiej lub paserskiej przeszłości. Gdzieś w bardzo odległych i pośrednich kontaktach stykali się niekiedy z ludźmi z marginesu społecznego, ale były to znajomości sporadyczne, często przypadkowe.

W jednym z listów, w których Antczak odpowiadał widocznie na ubolewania żony nad brakiem pieniędzy, handlarz pisał: - ...nędza ci nie grozi. Idź na Brzeską, należy mi się u Pawła trzydzieści tysięcy, to je odbierz. Jak je przejecie, to poproś Pawła o pożyczkę, taką, aby ci wystarczyła do mego powrotu. Nic się nie martw, Paweł na pewno da ci pieniądze...

Zidentyfikowano również Pawła z Brzeskiej. Okazało się, że jest nim Paweł Hilarczyk, szofer i właściciel bagażówki. Ten sam, którego nazwisko przewinęło się już poprzednio, gdy sondowano aktualne środowisko Antczaka. Z uzyskanych wiadomości wynikało, że Antczak czasami wynajmuje Hilarczyka do przewożenia towaru. Z tytułu swego zawodu Hilarczyk znany jest i innym handlarzom bazaru, którym świadczy identyczne usługi. Dotychczas nie wydawał się specjalnie bliższy Antczakowi niż innym właścicielom straganów czy kiosków.

Teraz okazało się, że Antczak znał już Hilarczyka osiemnaście lat temu, i to chyba dobrze, skoro do niego wysłał żonę po pieniądze. Jeżeli nawet nie przyjaźń łączyła tych dwóch mężczyzn, to niewątpliwie wspólne interesy. Czy Hilarczyk wówczas również zajmował się spekulacją?

Major na próżno jednak poszukiwał jakiegokolwiek śladu kryminalnej przeszłości Pawła Hilarczyka.

Dane, jakie uzyskał na jego temat, mówiły: zaraz po wojnie wyremontował jakiś stary wrak samochodu, a z czasem dorobił się lepszego wozu i od lat nie zmienił zawodu. Był człowiekiem spokojnym, o dobrej opinii, nie notowanym w rejestrach milicji.

Miejscowy komisariat stwierdził, że kilka lat temu nazwisko Hilarczyka padło przy dochodzeniu o kradzież i paserstwo.

Ujęty złodziej wskazał szofera z Brzeskiej jako nabywcę łupu.

Hilarczyk złożył wówczas oświadczenie, że... owszem, wiół tego człowieka i jego bagaż. Wsiadł on na postoj, pierwszy raz go na oczy widział i nie miał pojęcia, co tamten przewozi. Ot, normalny pasażer, jak wielu innych.

Oświadczenie przyjęto - było bardzo wiarygodne - a dowodów nie posiadano żadnych. Nie było zresztą podstaw do podejrzeń, bo kierowca miał dotychczas nieskazitelną opinię, mimo to przez jakiś czas był pod dyskretną kontrolą, lecz bez skutków. Nie stwierdzono, aby Hilarczyk przewoził inne towary podejrzanego pochodzenia.

Po tym wypadku stał się on bardzo ostrożny. Na bazarze znany był z tego, że przed transportem bagażu sprawdzał faktury lub inne dowody kupna towaru.

Od czasu owego niefortunnego dochodzenia nie zdarzyło się, aby szofer z Brzeskiej wszedł w kolizję z prawem. Również jego standard życiowy nie odbiegał od przeciętnego.

Informacje o Pawle Hilarczyku inspektor wpiął do spęczniałego segregatora wraz z jego fotografią i odciskami palców, które w sposób dyskretny zdobyła służba X.

Pomimo intensywnych poszukiwań nie uzyskano ani w środowisku waluciarskim, ani wśród otoczenia Antczaka najmniejszego śladu czy nawet poszlaki mogącej doprowadzić do mordercy. Major, nie zrażony niepowodzeniem, nie odwołał jednak obserwacji.

7.

ZŁOTY MONOGRAM

W gabinecie inspektora znowu zjawił się Cieślik. Wyciągnął się w fotelu, ale wbrew swemu zwyczajowi nie żartował, nie błaznował i nie narzekał na przedłużającą się pracę u Brożka. Patrzył na inspektora, chmurny, pełen rozterki.

- Stało się coś, poruczniku? - zaniepokoił się major jego niezwykłym zachowaniem.

- Jestem w cholernie podłej sytuacji - mruknął Cieślik. - Muszę porozmawiać, ale... prywatnie! Okazano mi zaufanie jak... przyjacielowi. Rozumie major, dlaczego tak paskudnie się czuję? - dodał ponuro.

- Szkudlarze? - domyślił się inspektor.

- Magda obarczyła mnie tym zwierzeniem - Cieślik długo przypalał papierosa, potem zapatrzył się w okno, bębniąc palcami o blat biurka. - ...Mówiąc krótko, to ona z bratem i jeszcze dwoma znajomymi dokonała napadu na Van der Meneera... To te tępe bliźniaki z Pelcowizny, Kazek i Zenek, pamięta major? Złodzieje z Delikatesów...

- Pamiętam - skinął głową inspektor. - Jednak dzielnicowy miał rację, że do tej sprawy przymierzał Szkudlarzy. Pułkownik też nie wykluczał tej możliwości... Popatrz, tacy prymitywni, a żaden nie puścił pary z gęby... Gdybyśmy wiedzieli o tym wcześniej, ominęłaby nas kupa roboty.

- Magda nie miała i dotąd nie ma pojęcia, co zawierał towar Van der Meneera... Nie usłyszeliście ode mnie tej wiadomości, nie muszę przecież o wszystkim wiedzieć, do diabła! Ale jeden szczegół jest cholernie istotny, właśnie ten, że kakao kupił od nich szofer z Brzeskiej, Paweł Hilarczyk!

Cieślik powtórzył zwierzenia Magdy.

- To dziwne, dlaczego jednak ona opowiedziała właśnie tobie o napadzie, chociaż konsekwentnie zataiła to podczas kilku przesłuchań? - major był zaskoczony, że Magda powierzyła Cieślikowi swą tajemnicę.

- Po pierwsze, to ona przecież nie wie, że jestem... glina. A tak w ogóle to przywiązała się do mnie... A ja do niej też! I co major na to? - Cieślik wyzywająco przyjrzał się inspektorowi. - Myśli major, że zgłupiałem? - porucznik był zażenowany i drażniła go powściągliwość, z jaką Korosz skwitował to trudne dla porucznika wyznanie.

- Nie szalej, Cieślik! Jesteś dorosły, i to są twoje prywatne sprawy - mruknął wreszcie inspektor, nie mogąc znaleźć innej odpowiedzi, bo zwierzenie Cieślika było dla niego niespodzianką.

- To brzmi jak paradoks, lecz ten napad i dalsze jego skutki

- dodał wywiadowca - zatrzymały dziewczynę na krawędzi...

- Szczególna kuracja moralna, nie powiem! - nie wytrzymał inspektor i przypomniał sobie ocenę dzielnicowego, który twierdził, że po podejrzeniu o udział w napadzie dziewczyna radykalnie zmieniła się na lepsze.

- A jednak to prawda, to był dla niej wstrząs. Niech major nie zapomina, w jakich warunkach upłynęło jej dzieciństwo... Niedawno narzekałem przed nią na morderczą pracę u ogrodnika. Rzeczywiście przyszedłem z plantacji wieczorem wyżęty nie tylko z siły, ale nawet ze zdolności do myślenia. Taka orka straszliwie otepia... Zaczęła mnie pocieszać, że przyzwyczaję się, że ona jest przecież słabsza i też nie lubi ryc jak kret. Później opowiedziała mi swoje przeżycia jako przestrogę przed podobnymi czynami. Przekonywała, że później ciężko wrócić na prostą - to jej oryginalne określenie - ponieważ tacy ludzie jak Hilarczyk starają się nie wypuścić człowieka z rąk.

Ten drań groził jej... - porucznik wołał skromnie przemilczeć swoją bójkę z paserem - ...dziewczyna śmiertelnie się boi, sądzi, że on jest zdolny do wszystkiego... - zamilkł, znów długo przypalał papierosa, dziobał zapalką w popielniczce. - ...Cholernie mi zależy na tej dziewczynie - podniósł oczy na inspektora. - ...Bardzo chciałbym jej oszczędzić konsekwencji... że też ten szczeniacki numer ma tak cholerną kwalifikację prawną: N a p a d ! ...I tak się wiercę wciąż w rozterce, tu obowiązek, a tu serce... - usiłował wrócić do swego zwykłego stylu.

- Cieślik, nie musisz się zgrywać, zwłaszcza przede mną... - mruknął major i zamyślił się na chwilę. Doskonale rozumiał nastrój ulubionego wywiadowcy; chciał jeszcze powiedzieć coś ciepłego, ładnego na temat uczucia, lecz w myśli błąkało mu się tylko jakieś takie zdanie: - miłość niejedno ma imię... To chyba tytuł książki? - biedził się. Tak! powieść o Mendelssohnie... jestem idiota - złościł się i gorączkowo szukał potrzebnych słów, które ani rusz nie przychodziły. Był coraz bardziej zakłopotany faktem, że nie potrafi wyrazić najprostszymi słowami tak ludzkiego i pięknego przeżycia, że

nie umie przekazać temu lubianemu chłopakowi swojej solidarności, swojej aprobaty.

Milczenie wisiało między nimi coraz cięższe, stawało się nie do zniesienia. Cieślik chmurzył się coraz bardziej, twarz stężała mu w ironicznym grymasie, a ciemne oczy wyrażały przekorę i stanowczość.

- Jeśli major ma zamiar wyperswadować mi ten związek - mruknął przez zęby wywiadowca - to szkoda fatygi... Ja jej nie zostawię. Trudno! W najgorszym wypadku dziewczyna odcierpi swoje, a jeżeli ktoś będzie uważał, że oficer milicji płami się zawierając takie małżeństwo, to przestanę być oficerem milicji. Jasne?!

- Cieślik! - przerwał wreszcie inspektor. - Żle mnie zrozumiałeś. Nie mam najmniejszego zamiaru odradzać ci tego związku... Na razie przyjmijmy, że ja nic nie słyszałem i nie wiem o sprawcach napadu na Van der Meneera. Muszę ująć przemytnika i mordercę - wystarczy! Nie interesuje mnie nic innego.

- Tylko że jak ci dżentelmeni usiądą - odtajał porucznik - nie oszczędzą mi dziewczyny. Stanowi ona zbyt wdzięczny obiekt, by nie pokusili się o zwalenie na nią choć części odpowiedzialności. Nie zna major podobnych typów? Dla ratowania kawałka własnej parszywej skóry gotowi zrobić z niej szefa groźnego gangu...

- Nie sądzę - zaprzeczył major. - Dostarczymy im tyle faktów z ich nieskazitelnego życia, że czyn Magdy będzie na tym tle niewinną igraszką. Co może powiedzieć Brożek? Dziewczyna brała udział w napadzie, więcej, wymyśliła ten napad - to prawda. A on? Namówił ją, aby zwróciła łup za cenę udzielenia jej alibi, a potem wplątał w kontakty z paserem. Przecież to obciąża przede wszystkim jego. Takimi poleceniami demoralizował niespełna siedemnastoletnią dziewczynę. Według prawa była wówczas nieletnia! A Hilarczyk? Jeżeli udowodnimy mu powiązania z mordercą, to będzie się głównie martwił, jak uwolnić się od zarzutu uczestniczenia w mokrej robocie. Poinformowany o tajemnicy Magdy, pułkownik Lis bez słowa wysłuchał opinii oficerów.

- Czy musicie zawracać mi głowę nie udokumentowanymi podejrzeniami? Macie cholerny talent do znoszenia plotek z całej parafii - gderał bez złości.

Jak było do przewidzenia, Lis podzielał zdanie swoich pracowników. Informacji uzyskanych w taki sposób nie chciał wykorzystywać przeciw bezbronnej dziewczynie.

- Zdaje się, że będziemy mieli na dodatek kłopoty z obroną tego półdiabła - westchnął. - Czy ty, Cieślik, musisz zawsze węszyć mnie w trudne sytuacje?

- Poza dzielnicowym nikt jej nigdy nie bronił, nie okazał serca... - mruknął zakłopotany porucznik. - Myślę, że w najgorszym razie dostanie wyrok w zawieszeniu, co? Jak pułkownik myśli? - wywiadowca był bardzo przejęty najbliższą przyszłością Magdy.

- Jeżeli Brożek uprze się i rozwinie temat Magdy, to nie ma rady, trzeba będzie to umieścić w protokole... Jest w tym wiele okoliczności łagodzących: jej dzieciństwo, dotychczasowa niekaralność, nienaganne zachowanie po popełnieniu przestępstwa, a sędziowie też mają ludzkie serca... Czy milicja, do cholery, jest domem reedukacji trudnej młodzieży?! - zdenerwował się Lis. - Ja osobiście nic nie wiem o tej sprawie i nic nie chcę wiedzieć. Prywatnych zwierzeń jakiegoś dzieciaka nie muszę przyjmować do wiadomości... Ale w śledztwie to może jednak wyjść... - zafrasował się. - No cóż, trzeba będzie jej pomóc.

- Mam nadzieję, że to JA doprowadzę do końca całe to dochodzenie, prawda, Heniu? - niewinnie zauważył major.

- Tylko bez matactw! - zachmurzył się Lis. - A w ogóle, skoroście już narozrabiali, to porozmawiajcie z naszymi babkami od trudnej młodzieży, niech jej znajdą jakąś sensowną szkołę, może z internatem? Trzeba ją wyprowadzić z tej rudery i z tej cholernej plantacji... Ty, Cieślik, do zakończenia sprawy Brożka nie możesz wyjść ze swojej roli przed Magdą, chyba to rozumiesz?

- Oczywiście. Odkąd ma mnie pułkownik za szczeniaka? - obruszył się wywiadowca. - Ale niech szef nie nasyla na nią tej naszej Armii Zbawienia. Magda już skończyła

siedemnaście lat, świetnie wie, że jest pełnoletnia i nikt jej do niczego nie może zmusić. A perswazje nie będą miały na nią wpływu. Ona nie opuści tej swojej rudery, bo... zająknął się - i może być z tego dodatkowa kołomyja.

- Rozumiem, nie opuści ciebie - pokiwał głową Lis. - Ale, widzisz, wolałbym, abyście byli oddzielnie, dopóki to śledztwo się nie skończy. Miłość bardzo absorbuje... Hm - chrząknął zakłopotany; zrobiło mu się przykro, bo nie chciał dotknąć Cieślaka.

Ciemny rumieniec wypłynął na śniadą twarz porucznika. Inspektor widząc, co się z tamtym dzieje, pośpieszył z interwencją.

- Pułkowniku, uważam, że należy pozostawić taki stan rzeczy, jak dotychczas. Wcale nie byłoby dobrze, żeby właśnie teraz dziewczyna zniknęła z plantacji ogrodnika. Naprawdę byłaby podejrzana ta nagła troska milicji o jej edukację, a przecież tego nie dałoby się ukryć. Po zakończeniu śledztwa Cieślak zabierze dziewczynę do siebie i pośle do szkoły, albo i nie, to już naprawdę jego sprawa.

- To w obawie o moją cnotę przyszedł szefowi taki kiepski pomysł... - skrzywił się porucznik.

- Macie rację - roześmiał się Lis, aby do reszty rozładować niezręczną sytuację. - Chwilowo zgłupiałem od tych waszych rewelacji, no i nie mogłem uwierzyć, że nam się Cieślak chce ustatkować. Ale teraz dość tego... proszę, przeczytajcie ten dokument.

Była to szyfrowana depesza, nadesłana z Interpolu. Nadinspektor Alain Dusoge zawiadamiał, że policja Belgii i Holandii jest przygotowana do aresztowania ludzi trudniących się przemytem złota. Akcja Belgów i Holendrów nastąpi natychmiast po wysłaniu kolejnej - tym razem już ostatniej - przesyłki do Warszawy.

Zgodnie z przewidywaniami pułkownika Lisa preparowane kakao szacownej firmy trafiało w podobny sposób do wielu państw europejskich.

Nadinspektor Dusoge przy okazji gratulował sukcesu polskiej milicji i składał podziękowanie w imieniu Międzynarodowej

Federacji Policji za udzielenie cennych informacji.

Aresztowanie Brożka miało nastąpić natychmiast po odebraniu przez niego paczek od dziewięciu kobiet.

Tymczasem milicja wyjaśniła system wymiany złota na waluty obce. Mimo bojkotu zapowiedzianego przez czarną giełdę - widocznie blask złota był zbyt silną pokusą, aby jej się długo opierać - znalazła się grupa handlarzy, którzy złamali ten szczególny strajk, i to bez specjalnych starań ze strony Brożka. Uznali widocznie, że w interesach nie ma gniewów. Na telefoniczne zaproszenie ogrodnika rącho przybył na ulicę Szkarłatną wydelegowany przez nich pełnomocnik.

Ogrodnik był widocznie tak pewny swojej nieskazitelnej opinii, że nie podjął najmniejszych nawet środków ostrożności. Potentata czarnego rynku przyjął u siebie w domu. Ten sposób dokonania transakcji wydawał się najbezpieczniejszy, odbywał się bowiem w czterech ścianach zacisznego mieszkania, bez niepotrzebnych świadków.

Gdy handlarz wyjechał ze Szkarłatnej, jego Volkswagen został zatrzymany przez patrol służby drogowej, wysłany specjalnie w tym celu przez wywiadowców.

Waluciarz zatrzymał samochód i nic jeszcze nie podejrzewając sięgnął po dokumenty; w tym momencie podeszło do niego dwóch panów i stanowczo zaprosiło go do wnętrza parkującej w bocznej uliczce czarnej Wołgi.

Zaskoczony odznakami tajnej służby kryminalnej, nie próbował nawet protestować.

Po przywiezieniu go do komendy, przeprowadzono rewizję. W teczce, wcale nie ukrytej zresztą, leżało cztery tysiące osiemset gramów złota w krążkach po dwadzieścia gramów każdy.

Złoto nie nosiło cech żadnego urzędu probierczego, po zbadaniu okazało się jednak kruszcem wysokiej próby.

- Skąd pan to ma? - zapytał major, gdy delikwent znalazł się w jego gabinecie.

- Stare dzieje... spadek po rodzicach. Wiozłem; aby oddać w komis u Jubilera... pilnie potrzebuję pieniędzy - łągał pechowy przedstawiciel czarnej giełdy; był bardzo pewny

siebie, ponieważ nie miał przy sobie żadnych walut obcych i, jak sądził, milicja nic nie wie o przeprowadzonej niedawno transakcji. - O ile się nie mylę, posiadanie złota nie jest przestępstwem - uświadomił inspektora.

- O ile to złoto nie pochodzi z przestępstwa - mruknął major, ale nic więcej nie dodał. Osobiście dopilnował sporządzenia protokołu rewizji i polecił odprowadzić podejrzanego do aresztu. Handlarz zapalał świętym oburzeniem i natychmiast poszły w ruch cytaty z Konstytucji. Było tam i o wniesieniu skargi do generalnego prokuratora, i znane majorowi do znudzenia narzekania i pogroźki.

- W areszcie otrzyma pan papier i długopis i wszystko pan to ślicznie napisze - przerwał potok jego słów inspektor. - A teraz żegnam, pan mnie śmiertelnie nudzi.

Major był przekonany, że zatrzymany waluciarz spuści z tonu po skonfrontowaniu go z Brożkiem. Przed zatrzymaniem ogrodnika nie warto więc było tracić czasu na słuchanie kłamstw.

Major zastanawiał się nad sposobem aresztowania ogrodnika.

Chodziło o to, aby uniemożliwić mu zniszczenie dowodów, a w szczególności urządzeń laboratoryjnych. Należało również wziąć pod uwagę, że Brożek może próbować ucieczki.

Pułkownik Lis telefonicznie wezwał do siebie Korosza.

- Czytałeś dzisiejszy meldunek? - zagadnął go.

- Nie mam czasu - skrzywił się major. - Jestem wściekle zajęty!

- Nie przesadzaj, to trwa dziesięć minut - mruknął Lis. - Czytaj... - podsunął mu telegramy; interesująca go informacja podkreślona była czerwonym ołówkiem.

Major przebiegł tekst oczami: „...Bydgoszcz. W dniu... o godzinie... w Komendzie Dzielnicowej Śródmieście obywatel N. zameldował, że kilka miesięcy temu przyszedł do niego mężczyzna, podający się za nauczyciela z Torunia...”.

Inspektor aż podskoczył na krześle. Z lakonicznego meldunku wynikało, że rzekomy nauczyciel poprosił obywatela N., chemika z zawodu, o zbadanie kakao firmy

Veneer, w którym tamten odkrył złoto.

- Tak zważniałeś po znalezieniu złota, że lekceważysz informacje z terenu - dogadywał Lis. - To ja mam za ciebie czytać pocztę? Kto tu w końcu jest szefem?

- Następny ślad! - zatarł ręce Korosz. - Trzeba natychmiast ściągnąć tego chemika.

Nazajutrz samochodem Komendy Wojewódzkiej z Bydgoszczy przybył oczekiwany chemik. Był speszony pośpiechem, z jakim wyprawiono go w drogę do Warszawy. Nie wyjaśniono mu celu tej podróży, przypuszczał jednak, że może się to wiązać z meldunkiem, jaki złożył w milicji; obawiał się trochę pretensji z powodu późnego poinformowania władz o wynikach analizy dziwnego kakao. Tłumaczył więc Koroszewi, że nie podejrzewał nic złego, a nobliwy pan, który szukał u niego pomocy, zrobił na nim jak najlepsze wrażenie. Chemik współczuł mu serdecznie ze względu na jego syna.

- Ten człowiek był bardzo przybity, przedstawił się jako profesor gimnazjum, polonista z Torunia... Powiedział, że jego trzynastoletni chłopak włamał się do piwnicy sąsiadki i zjadł prawie kilogram ukradzionego tam kakao... Bardzo ciężko zachorował. Lekarz stwierdził zatrucie... Sprawę włamania zatuszowano, ale nauczyciel bał się śmiertelnie, aby nie wyszło to na jaw i nie dotarło do rodziców dzieci lub do kuratorium, że syn pedagoga popełnił kradzież. Jak twierdził, mogłoby to pozbawić go pracy, no i opinia w Toruniu... to miasto to jednak prowincja... Chciał zbadać dokładnie kakao, ale dyskretnie, podejrzewał ten produkt o trujące właściwości. Przed lekarzem nie ujawnił swych przypuszczeń co do źródła zatrucia, dlatego przyjechał do Bydgoszczy i przywiózł resztkę kakao... Świetnie go rozumiałem, dwa lata temu również miałem przykrości ze swoim chłopcem. Na własnej skórze doświadczyłem, jakie to zmartwienie. Wprawdzie mój chłopak nic nie ukradł, ale uciekł z domu... Odnalazła go milicja w Warszawie na Pelcowiznie wśród jakichś mętów.

- Dlaczego zdecydował się pan zameldować o tym fakcie?

Chemik przez chwilę milczał, przeżywając jakąś rozterkę.

- Mój syn skończył ósmą klasę. Jednak stopnie ma nieświetne. Kiedy służbowo byłem w Toruniu, przypomniałem sobie tego nauczyciela. Chciałem uzyskać jego ewentualną pomoc, gdyby okazało się jesienią, że będą trudności z umieszczeniem mego chłopca w szkole. Ale gdy ani adres, ani numer telefonu, ani nazwisko nie okazały się prawdziwe... doszedłem do przekonania, że uczciwy człowiek nie podaje fałszywych adresów. Nie rozumiem tylko, dlaczego ze swoją dziwną sprawą przyszedł właśnie do mnie?

Major pomyślał, że rzekomy pedagog musiał słyszeć przedtem o kłopotach chemika z synem i to prawdopodobnie było jedną z przyczyn, że zwrócił się do niego. A więc ten fałszywy profesor musiał mieć styczność z Pelcowizną i tam usłyszał o chemiku z Bydgoszczy. Inspektor sięgnął po mapę Warszawy i czerwoną linią zakresił Pragę wraz z Pelcowizną, miejsca, w których grupowało się środowisko ludzi związanych z Antczakiem i Hilarczykiem.

Teraz był prawie pewien, że wśród nich należy szukać człowieka znającego tajemnicę kakao Veneer.

Chemik wyjaśnił, że do badań dostarczono mu ilość produktu nie większą niż piętnaście, dwadzieścia dekagramów. Major pamiętał, jak bardzo pragnął zdobyć te resztki kakao, które rozwścieczony Kowalski rzucił na stragan Antczaka. A więc chyba Antczak, możliwe, że w mniej burzliwej formie zwrócił je wówczas DOSTAWCY, i to widocznie było wszystko, co pozostało w rękach pasera z osiemdziesięciu kilogramów, zrabowanych Van der Meneerowi.

Inspektor wyjął gruby album, zawierający zgromadzone ogromnym nakładem pracy fotografie osób ustalonych przez służbę X w czasie dotychczasowego śledztwa. Rozrzucił je na biurku, układając w wachlarz.

- Proszę poszukać - poprosił chemika. - Może go pan odnajdzie wśród tych odbitek?

Chemik przyglądał się w skupieniu. Leżała przed nim blisko setka zdjęć.

- To on! - chemik przerwał pełne napięcia milczenie i wskazał na fotografię Pawła Hilarczyka.

Major podziękował chemikowi i natychmiast poszedł do Lisa. Położył na biurku pułkownika teczkę szofera z Brzeskiej.

- Ten człowiek wysłał mężczyznę o grupie krwi Zero na Szkarłatną - stwierdził, z trudem ukrywając podniecenie. - Prawdopodobnie także pomógł ukryć się mordercy, gdy dowiedział się o tragicznym finale wyprawy.

- Jeżeli tak rzeczywiście jest, to diablo trudno będzie znaleźć dowody stwierdzające jego związek z mordercą - zmartwił się Lis. - W najlepszym wypadku Hilarczykowi można udowodnić, że kupił kakao pochodzące z rabunku, no i że udawał pedagoga z Torunia...

Trzeba go pilnować. To przebiegła sztuka i prawdopodobnie po morderstwie Brożkowej zabezpieczył się jak należy na wszystkie strony.

- Obserwacja jego domu jest prawie niemożliwa - stwierdził inspektor. - Trzy różne bramy z trzech różnych ulic i cztery klatki schodowe, łączące się ze sobą. Przecież wywiadowcy nie mogą siedzieć na tych klatkach.

- Dopuszczam możliwość, że nie upilnujemy wszystkich ludzi, którzy do niego przychodzą. Rzeczywiście, to idealny punkt dla pasera, dlatego tkwi tam dwadzieścia lat i prawdopodobnie nie najgorzej prosperuje. Ale musicie ustalić, gdzie bywa, z kim się spotyka i tak dalej...

Szofer z Brzeskiej został poddany bardzo ścisłej kontroli służby X. Kilkunastu wywiadowców na zmianę zajęło się osobą Hilarczyka. Jegoteczka pęczniała od meldunków. Rejestrowano tu każde spotkanie, każdą rozmowę telefoniczną, nawet każdy list był pod ścisłą kontrolą. Jeszcze raz sprawdzano jego przeszłość, źródła dochodów i otoczenie osób, które znalazły się nawet w przypadkowym kontakcie z Pawłem Hilarczykiem.

Było to zadanie niewdzięczne, pochłaniające masę czasu. Dodatkowym utrudnieniem była ruchliwość Hilarczyka z racji jego oficjalnego zawodu.

Nadszedł dzień, w którym dziewięć pań odebrało przesyłki zagraniczne. Jak zwykle po otrzymaniu karty pocztowej z zapisem szachowym, tym razem nadanej z Eindhoven,

Brożek natychmiast skontaktował się telefonicznie ze swymi współpracownikami.

Po południu wyruszył samochodem do miasta. Odwiedził wszystkie kobiety, a wieczorem zjawił się u Marty.

Wiadomo już było, że przyjaciółka ogrodnika nie spełnia roli jego „skrzynki pocztowej”. Inspektor wnioskował, że Brożek dlatego w tym dniu spędza u niej czas do późnych godzin, aby otrzymany towar przywieźć na Szkarłatną pod osłoną nocy. To był jedyny środek ostrożności, stosowany przez niego przy odbieraniu kontrabandy.

Pułkownik Lis otrzymał wiadomość od nadinspektora Dusoge, że natychmiast po wysłaniu do Polski paczek i karty pocztowej policja wkroczyła do dwóch zakonspirowanych na terenie Belgii i Holandii ośrodków przemytu złota.

Na czele obu centrali stał chemik z zawodu, Andre Loni, natomiast Arvid Van der Meneer, holenderski plantator kwiatów, był jednym z kurierów gangu. Jego zadaniem, między innymi, było wizytowanie co pewien czas odbiorców kontrabandy.

Inspektor chciał zatrzymać Brożka osobiście. Zdecydował się aresztować go w momencie, gdy będzie wracał od Marty. W ten sposób odbierał ogrodnikowi możliwość zniszczenia dowodów znajdujących się w domu.

Oczekiwał więc teraz w samochodzie, nie opodal ogrodu Brożka. Przez radiotelefon otrzymywał co kilka minut krótkie meldunki od wywiadowców, którzy obserwowali mieszkanie Marty.

Około drugiej po północy z mikrofonu padł sygnał: - Wyjechał!

Teraz już inspektor bez przerwy otrzymywał informacje z trasy przejazdu ogrodnika.

Ostatni meldunek był z Czerniakowskiej. Wówczas inspektor opuścił samochód i w kilka chwil później spotkał Brożka, gdy tamten otwierał bramę ogrodu, aby wprowadzić wóz.

W pierwszej chwili widok majora przeraził go tak bardzo, że nie mógł wydobyć z siebie głosu. Dopiero gdy obok inspektora pojawili się wywiadowcy i w milczeniu zabrali się do rewidowania samochodu, ogrodnik przełamał stan odrętwienia.

- Protestuję! - zawołał z udanym oburzeniem. - To brutalne pogwałcenie wolności osobistej. Pan za to odpowie, majorze!

- Zachowuje się pan naiwnie - westchnął major i pomyślał, że wszyscy niemal, nawet najprzebieglejsi, przestępcy w takiej chwili postępują nierozsądnie.

- Chodźmy do domu - zdecydował Korosz.

- To przemoc - denerwował się ogrodnik, ale ruszył w stronę willi i wprowadził inspektora przez werandę i stylowy hall do swego pokoju. Tam major okazał mu nakaz aresztowania i rewizji, wystawiony przez prokuratora. Brożek na widok tych dokumentów stracił tupet. Dopiero w tym momencie pojął, że akcja milicji została starannie przygotowana. Siedząc więc oniemiały w swoim gabinecie, pod strażą jednego z wywiadowców, zbierał rozproszone myśli i przeżuwiąjąc klęskę sposobił się do obrony.

Co oni wiedzą? - to pytanie osaczało go przez długie godziny beczynnego oczekiwania na wyniki rewizji. A sądząc po odgłosach, dochodzących z wnętrza domu - wiedzieli dużo, coraz więcej.

Pomyślał o laboratorium - dławiący, obrzydliwy lęk chwycił go za gardło - było przecież w stanie pełnej gotowości ponieważ jeszcze tej nocy zamierzał wypreparować złoto. Usłyszał zdenerwowany głos córki i ciche, załężnione szlochanie Weroniki.

- Pan podejrzewa mojego ojca o zamordowanie matki? - Elżbieta była przekonana, że nocna wizyta milicji ma bezpośredni związek z tym faktem.

- Nie. Chodzi o coś zupełnie innego - odparł inspektor. Elżbieta stała bez słowa, z niemym pytaniem w szeroko otwartych oczach. Nie rozumiała, jakie przestępstwo mógł popełnić ojciec, i sądziła, że major się myli.

Inspektor pomyślał, że ta surowa, tak niepodobna do swoich rodziców dziewczyna nic nie wie o podwójnym życiu swego ojca.

Następnego dnia major przesłuchiwał Brożka. Orodnik usiłował powiedzieć jak najmniej i przez kwadrans kłamał, niezbyt zręcznie i bez wielkiego przekonania.

Inspektor podał mu grubą teczkę, pełną dokumentów.

- Proszę to przeczytać - poradził. - Przekona się pan, co jesteśmy w stanie udowodnić. Zapoznanie się z tym materiałem zaoszczędzi nam niepotrzebnych dyskusji.

Brożek w miarę, jak czytał protokoły, zaczynał rozumieć, że poza kilkoma raczej mało istotnymi szczegółami milicja jest świetnie zorientowana. Największe chyba i decydujące wrażenie zrobiła na nim informacja, że ośrodki dyspozycyjne w Belgii i Holandii przestały istnieć. Z przerażeniem stwierdził, że wyliczono nawet orientacyjnie, ile złota wyprzełarował z kakao w ciągu swej czteroletniej kariery. Znano też w przybliżeniu ilość walut obcych, jakie za nie otrzymał, znano wysokość jego prowizji oraz sumy przekazane centrali przemysłowej. Wiedzano również o transakcjach i spekulacjach na czarnej giełdzie oraz o aferze ze sprzedażą fałszywych dolarów-wyskrobków. Ponadto przedstawiono mu listę handlarzy dewizami, z którymi przeprowadzał operacje finansowe. Na koniec został poinformowany o zatrzymaniu dziewięciu wspólniczek.

Zwracając majorowi teczkę z aktami zrozumiał, że wobec tych przytłaczających dowodów niewiele może ukryć.

- One - powiedział o emerytkach - nie znały i nie domyślały się istotnego przeznaczenia przesyłek. Były przekonane, że robią mi niewinną przysługę...

- W jaki sposób poznał pan te kobiety?

- Przez panią Emilię, to jej znajome z klubu emerytów. Ale ona też nie wiedziała, co zawiera kakao. Wierzyła w hodowlę storczyków... że to moja idee fixe. W doświadczenia nad stworzeniem brązowo-złocistej orchidei one wszystkie wierzyły...

- Kiedy pan poznał Van der Meneera?

- Gdy przyjechał do mnie, wysłany przez Andre Loni. Wówczas zetknąłem się z nim po raz pierwszy i ostatni...

- Ile walut obcych zabrał wówczas Holender? Przeliczając na złote polskie, było to ponad dwadzieścia milionów - przypomniał mu major.

Ogrodnik potwierdził, że Van der Meneer otrzymał od

niego dewizy, ale na sumę znacznie mniejszą. Ponadto utrzymywał, że on sam przewiózł waluty tylko raz, przy okazji wyjazdu do Belgii.

Inspektor miał zastrzeżenia do jego prawdomówności zakładał, że Brożek przemyślał dewizy przy każdym swoim wyjeździe za granicę. Miał tu wręcz nieograniczone możliwości. Jego wyjazdy były zawsze znakomicie umotywowane, bowiem prawdą było, że ten człowiek liczył się jako dużej klasy specjalista w swoim zawodzie i jako taki znany był również za granicą.

- Jaka szkoda, że nie poprzestałem tylko na uprawie kwiatów - powiedział ze smutną autoironią ogrodnik. - Zdaje się, że to chciał pan powiedzieć?

- Gdzie pan otrzymał fałszywe dolary?

- Na Wybrzeżu nadarzyła mi się oferta od cinkciarza. Kupowałem je w kawiarni... nie znałem faceta, a kurs proponował bardzo korzystny... Ale w takich okolicznościach sprawę załatwia się szybko. Dopiero w domu przekonałem się, że oszukał mnie na znaczną sumę. Paczki banknotów były sprytnie poprzekładane „wyskrobkami”. Od tej pory załatwiałem podobne transakcje tylko w domu, czym ułatwiłem, zdaje się, panu pracę.

- Odbił pan sobie stratę na warszawskiej giełdzie - mruknął inspektor. - A ci z Wybrzeża nie będą już oszukiwać uczciwych przemytników - skrzywił się. - Koledzy z Gdańska zlikwidowali wytwórnnię fałszywych dolarów.

- Słyszałem - blade uśmiechnął się Brożek. - Tylko w mojej sytuacji nie mogę się już z tego cieszyć.

Brożek czekał na pytania dotyczące jego kontaktów z Hilarczykiem oraz okoliczności, w jakich poznał tamtego, i dziwił się, że inspektor nie pyta go o starego pasera. Czyżby nie wiedział o tym szczególe, od którego prawdopodobnie zaczęły się jego wszystkie niepowodzenia? Opanowała go przy tym złość na Magdę i Van der Meneera, w nich bowiem upatrywał przyczynę swej obecnej sytuacji. Nie pytany, nie chciał mówić jednak o winie dziewczyny, dziecka prawie, którym usiłował wyręczyć się w pośrednictwie z przebiegłym

paserem. Poza tym dla zasady nie miał najmniejszego zamiaru wprowadzać inspektora w szczegóły, których, jak sądził, tamten nie znał.

- Pan odzyskał rzeczy skradzione Van der Meneerowi? - major znów bardziej twierdził, niż pytał. Zaraz też przedstawił mu dokumenty, z których wynikało, że milicja знаła historię kamery Bauer, jak i wysłania paczki z ubraniem.

Brożek pomyślał, że jednak Magda nic nie powiedziała milicji, natomiast Holender zrobił kardynalny błąd, zabierając rzekomo skradzioną kamerę, odebraną od Szkudlarzy, gdy wyłowili ją z Jeziora Czerniakowskiego, a on sam wysyłając paczkę z garderobą do Holandii. Teraz ogarnęła go wściekłość na Van der Meneera za tę małostkowość.

Major nie wspominał o Magdzie; w obecnej fazie dochodzenia ten fragment sprawy stanowił zupełnie odrębną kwestię. Tak manewrował, aby nie padło nazwisko dziewczyny.

- Ile złota zrabował napastnik, który zabił pana żonę? - w pytaniu znów brzmiało twierdzenie.

- Niezbyt wiele... - dwieście gramów - mruknął Brożek.

- Żona wiedziała o przemycie złota?

- Wiedziała - skinął głową ogrodnik. - Przed nią nic się nie ukryło.

Major pomyślał, że tu tkwiła przyczyna, dla której Brożek nie odważył się na rozwód ze swoją nie kochaną żoną - bał się szantażu z jej strony.

- Gdyby pan był z nami bardziej szczerzy, prawdopodobnie mielibyśmy już sprawcę morderstwa.

- Tylko że wówczas też chcielibyście wiedzieć o wiele więcej, niż mogłem wam powiedzieć...

- Wprawdzie w kilka miesięcy później, ale też wiemy - stwierdził sucho major. - Czy pan zdaje sobie wreszcie sprawę, że zbrodniarza nasłał Hilarczyk? - po raz pierwszy od początku przesłuchania padło nazwisko pasera z Brzeskiej. Major pomyślał, że teraz niechybnie ogrodnik wymieni Magdę. Nie omylił się.

- To ta mała złodziejka udzieliła panu informacji? - wysilił

się na ironiczny uśmiech.

- Proszę pana, tutaj to ja zadaję pytania! - zwrócił mu uwagę inspektor.

- Nie wierzę jednak, aby Hilarczyk był inspiratorem zabójstwa mojej żony, pan się chyba myli, majorze - wątpił Brożek i opowiedział inspektorowi o szantażyście wysłanym przez pasera. - Potraktowałem go po męsku, prawdopodobnie ta krew na moim płaszczu, która wzbudziła w panu tyle podejrzeń, pochodziła z jego nosa. Wówczas wstrzymałem przesyłki, bojąc się donosu z ich strony... i tego samego dnia przyszedł do mnie pan, interesując się preparatem stosowanym przy uprawie orchidei...

Brożek upierał się, że stary paser był wprawdzie zdolny do szantażu, ale nie do nasłania morderców nawet za cenę złota.

- Okoliczności, w jakich nieoczekiwanie znalazł się włamywacz, pchnęły go do morderstwa - wyjaśnił major. - Mój pogląd potwierdzają zarówno wyniki ekspertyz, ślady pozostawione na miejscu zabójstwa, jak i sposób jego dokonania. Jestem również przekonany, że sejf, oprócz złota, nic nie zawierał. To pan podrzucił do kasy pieniądze po znalezieniu martwej żony i splądrowanego domu, a potem zawiadomił pan milicję.

Brożek niepewnie milczał.

- Podziwiam pańską zimną krew - ciągnął major. - Zdążył pan jeszcze przed naszym przybyciem przeprowadzić solidny retusz laboratorium i zamienić je w rupieciarnię.

Wreszcie ogrodnik niechętnie wyznał, że rzeczywiście podrzucił pieniądze; waluty w połączeniu z biżuterią, pozostawioną na zwłokach, wykluczały - w jego mniemaniu - podejrzenia o morderstwo rabunkowe.

- Pomysł z pieniędzmi nasunął mi się, gdy zobaczyłem, że nie zrabowano właśnie cennej biżuterii - usprawiedliwiał się.

- No cóż, piwnicę zamaskowałem, musiałem ukryć jej właściwe przeznaczenie.

Brożka niepokoił los córki i Marty. Przekonywał inspektora, że one nie tylko nie brały udziału w działalności przestępczej, ale nawet nie domyślały się źródła jego ogromnych dochodów.

Major bez jego zapewnień wiedział, że rzeczywiście obie kobiety, mimo że Elżbieta mieszkała z ojcem pod jednym dachem, nie miały pojęcia o przemyśle złota. Nie wiedziała o tym także pani Emilia, podobnie jak i pozostałe starsze panie.

Po przesłuchaniu major polecił zwolnić przerażone kobiety - będą miały swój udział w przyszłej sprawie sądowej, ale mogą odpowiadać z wolnej stopy.

Inspektor jeszcze raz zapytał panią Emilię o mężczyznę w nietypowym płaszczu. Przejęta i znękana kobieta ze łzami w oczach podtrzymywała w dalszym ciągu poprzednie zeznania. Powtórzony przez nią rysopis pokrywał się nadal z zeznaniami Magdy.

Cieślik, który po aresztowaniu Brożka z całą właściwą mu energią skoncentrował się na osobie pasera z Brzeskiej, nie zauważył nic istotnego w postępowaniu tego człowieka.

- Żyją jak te gołąbki - mówił o małżeństwie Hilarczyków przy kolejnym sprawozdaniu.

- Aresztować jego i Antczaka? - zastanawiał się Korosz, zniecierpliwiony wyczekiwaniem.

- Nie gorączkuj się - ostrzegwał Lis. - Co przyniesie aresztowanie? - W tym stanie rzeczy możemy mu tylko zarzucić kupienie kakao pochodzącego z rabunku oraz to, że był inspiratorem szantażu wobec Brożka i zleceniodawcą włamań, które popełnili Łysek i bliźniaki. Nie mamy żadnych dowodów, które pozwoliłyby oskarżyć go o skierowanie zbrodniarza do willi ogrodnika. Nawet fakt szantażu wobec Brożka nie został dotychczas dostatecznie udokumentowany.

- Sprowokować go? - głośno myślał major.

- W jaki sposób?

- Dać komunikat do prasy, że zatrzymano Brożka, i podać przyczyny. Śledztwu o przemyt nic to już nie zaszkodzi. Natomiast Hilarczyk poczuje, że robi się wokół niego bardzo gorąco. Posądzam go o umiejętność logicznego myślenia, a więc: jeżeli milicja już zna tajemnicę ogrodnika, ten nie ma najmniejszego powodu milczeć o kontakcie z paserem, który go notabene oszukał, wyłudzając wielką forszę za kakao ukradzione w Delikatesach czy SAM-ie. A zatem w śledztwie

niewątpliwie padło już jego nazwisko.

- Słusznie - przyznał Lis. - Tylko że rozumując logicznie, zada sobie pytanie, co można mu udowodnić przy sprawie Brożka? Dojdzie do wniosku, że tylko to, co przed chwilą powiedziałem. Zwiększy ostrożność, i nigdy nie wskaże nam drogi do mordercy.

- Paser i bez pośrednictwa gazet może dowiedzieć się o aresztowaniu ogrodnika.

- Może - zgodził się Lis. - Ale jeszcze nie tak prędko, bo ze zrozumiałych względów stroni od Szkarłatnej. Nawet jeżeli się dowie, to nie będzie pewny, za co Brożek jest zatrzymany. Może prz y- puszczać, że podejrzewamy go o zabójstwo żony...

- Kумы z parafii tak właśnie komentują to aresztowanie - wtrącił Cieślik.

- Paser nie musi wierzyć w plotki dewotek - zauważył inspektor.

- Na to nic nie poradzimy - stwierdził Lis. - Zawsze mamy czas aresztować go na podstawie posiadanych materiałów... Może jednak uzyskamy jeszcze jakieś istotne informacje.

- Pułkownik ma rację - zgodził się porucznik. - Dopóki jest na wolności, może zrobić jakiś nieostrożny krok, natomiast jeżeli go major przyskrzynie, to finita!

Naradę przerwała oficerom sekretarka pułkownika Lisa; zawiadomiła, że w biurze przepustek czeka od dwóch godzin interesantka i domaga się widzenia z majorem Koroszem. Pragnie przekazać inspektorowi, ale tylko jemu, ważne informacje dotyczące Brożka, lecz nie chce podać swego nazwiska. Twierdzi, że inspektor ją świetnie zna.

Major spojrział na Lisa, wzruszył ramionami i połączył się z biurem przepustek.

- Tu Korosz, dajcie do telefonu kobietę, która chce ze mną rozmawiać - poprosił. - Dzień dobry! - powiedział po chwili z niezbyt wyraźną miną. - Dobrze, przejdź do głównego wejścia, zaraz po ciebie ktoś zjeżdzie... Cieślik, kryj się! - zawołał odkładając słuchawkę. - Zaraz będzie tu Magda.

- A cóż ona może chcieć od majora? - zaniepokoił się

wywiadowca.

- Zjeżdżaj! - inspektor wskazał na drzwi sąsiedniego pokoju i spojrzał wymownie na pułkownika.

- Zostanę z tobą - Lis poprawił się w fotelu i udał, że nie rozumie intencji Korosza. Tak naprawdę był ciekaw dziewczyny porucznika i w tej chwili żadna siła nie ruszyłaby go z pokoju, a cóż dopiero niema prośba inspektora.

Ta sama i nie ta sama - pomyślał major, gdy Magda weszła do gabinetu i niezdecydowanie przystanąła przy drzwiach widząc, że major nie jest sam.

Dziewczyna była starannie uczesana, ubrana w modną sukienkę z jedwabiu w poprzeczne pasy, w rękę trzymała dużą torbę z podobnego materiału jak sukienka; obuta w lekkie, białe sandaalki.

- Chciałam z panem pomówić - zwróciła się do majora, a skośne, bursztynowe oczy pozezowały w stronę Lisa.

- Siadaj, Magda, możesz mówić, to jest mój szef - posłał Lisowi spojrzenie bazyliuszka, ale pułkownik tylko lekko skłonił głowę i zupełnie nie przyjął do wiadomości, że jest osobą niepożądaną.

- O Brożku to gips! - rzekła, z westchnieniem, swym dawnym tonem Magda. - Wstawiłam im na dole komętę, bo musiałam się do pana dostać... - znów pozezowała w stronę Lisa, jego osoba wyraźnie ją peszyła.

- Dlaczego chciałaś się tak koniecznie do mnie dostać, że aż gips i kometa?

Nie odpowiedziała. Pochyliła się nad swoją torbę, wyciągnęła z niej paczkę związaną sznurkiem.

- Panie majorze! - powiedziała błagalnie. - Proszę pana jak człowiek człowieka, niech pan to poda Staśkowi - położyła na skraju biurka pakunek i stużłotowy banknot. - I. proszę powiedzieć, gdzie go trzymacie?

- O co chodzi, Magda? - w pierwszej chwili major nie zorientował się, o kim ona mówi.

- Mam życie! - po dziecinnemu drgnęły jej usta. - Co się z jakiej kałabai człowiek wykarapućka, to od nowa... - machnęła dłonią ze zniechęceniem. - Brożka pan

zapudełkował, tak? Niech pan nic nie mówi, cały Mokotów i Siekierki o tym wiedzą... Tej samej nocy zginął Stasiek, a on u doktora zaczął robić zaraz po śmierci jego żony. Późnym wieczorem na plantację poszedł, bo go doktor na noc zamówił, tak mi chłopak powiedział, a musi pan wiedzieć, że on nie kłamie. Od tej pory kamień w wodę... Kostnice i szpitale obleciałam, w pogotowiu glinowym, przepraszam, milicyjnym byłam. No to gdzie chłopak może być? Razem z doktorem, nie? A od doktora to jest pan, panie majorze, więc...

- Magda, ja go nie zamknąłem - szczerze zapewnił major i spojrzeniem poszukał pomocy u Lisa. Nie uszło to uwagi dziewczyny.

- Mnie pan to mówi? - odparła z wyrzutem. - Panie, byłam u dzielnicowego. Proszę: - panie sierżancie, kuzyna mi przymknęli, niech pan pomoże. A sierżant Staśka znał, sam go zameldować u nas kazał. Wiedział, że Stasiek wyrok odsiedział, ale przyzwoity był i nigdy żadnych kłopotów mu nie sprawiał. Więc mówię: - panie dzielnicowy, lubił pan Staśka, pomóż pan, poświadcz pan, że chłopak jak złoto, przyzwoity. A mój dzielnicowy tylko rękami zamachał i powiada: - Magda, nie pójdę, świadczył nic nie będę i w ogóle w tę sprawę nie będę się mieszał. Panie majorze, mój dzielnicowy cyko- ryjny nie jest i jak o kimś dobre czy złe zdanie ma, to sprawiedliwie nawet przed sądem powie... Jak przyszłam szukać Mańka, to on mi pomógł, a teraz... To co to znaczy, panie majorze?! - podniosła trójkątną twarz na inspektora. Bursztynowe, nakrapiane jak u kota oczy były samym błaganiem.

- To twój kuzyn? - zagadnął Lis, chcąc dać czas do namysłu Koroszowi.

- No... - skinęła głową i cętkowane źrenice, teraz pełne niepokoju, spoczęły czujnie na pułkowniku. Magda gorączkowo sondowała, czy ci dwaj już wiedzą o nie istniejącym pokrewieństwie - ...daleki, bardzo daleki krewny - dodała na wszelki wypadek - a poza tym... - pośpiesznie szukała argumentu, który dałby jej większe prawo do interesowania się losem Staśka niż dalekie pokrewieństwo - jestem w ciąży! -

skromnie spuściła oczy, uszczęśliwiona, że znalazła na poczekaniu tak przekonujące kłamstwo. - Panowie rozumiecie - potrząsnęła czarnymi kędziorami - że muszę wiedzieć, gdzie jest ojciec mojego dziecka, co mu zarzucacie... Może najmi- mordę, przepraszam, mecenasa trzeba będzie mu wziąć?

Obaj mężczyźni stracili na chwilę kontenans; mimo wszystko trochę zatkała ich ta wiadomość.

Magda mylnie oceniła ich reakcję, sądząc, że wrażenie jest zbyt małe; odchyliła głowę na oparcie fotela, kocie ślepki przysłoniła rzęsami, głośno przelknęła ślinę i gwałtownym ruchem przyłożyła chusteczkę do ust.

Lis był przekonany, że dziewczyna zaraz zemdleje.

- Wody! - poderwał się zaniepokojony major.

- Może być - zgodziła się łaskawie. - Przepraszam! - powiedziała biorąc szklanekę od majora - ale miewam mdłości, szczególnie gdy się zdenerwuję. Proszę się nie martwić, to normalne podczas pierwszych tygodni ciąży. Byle do pierwszych ruchów dziecka, tak powiedział lekarz - wsparła się autorytetem nie istniejącego lekarza.

- Słuchaj, Magda! - zmobilizował się Lis, ocierając pot z czoła - major Korosz rzeczywiście nie wie nic o Staśku. Natomiast ja wiem i daję ci słowo, że niedługo do ciebie wróci.

- Pan go sam zamknął? - prześliznęła się wzrokiem po naramiennikach Lisa. - Rany boskie!!! co mu pasujecie, że taki ważny gość jak pan go zakluczył? - rozpląkała się ogromnym, szczerym płaczem.

- Uspokój się... to niezupełnie ja i Stasiak niezupełnie jest zamknięty... - plątał się bezradnie Lis..

Dobra godzina minęła, zanim pułkownik spocony jak mysz przekonał dziewczynę, że może zaufać jego słowu honoru. Przyjął od niej paczkę, przyjął sto złotych - zapewnił, że Stasiak to otrzyma, że będzie opływał we wszystko, z ptasim mlekiem włącznie, i w przeciągu dziesięciu dni, licząc z dzisiejszym, wróci do niej. Obiecał, że Magda może po tym terminie przyjść do niego i wiele innych rzeczy. Wreszcie własną służbową

Wołgą, pod opieką sekretarki, wyprawił Magdę na Szkarłatną. Nie udawał złości, gdy szarpnął obite skórą drzwi do sąsiedniego pokoju i rozwarł je na oścież.

- Wyłaż, bandyto! - wrzasnął z furją.

Cieślik nic nie rozumiejąc przerosił spojrzenie z rozindyczo- nego Lisa na tłumiącego śmiech majora.

- Czego pułkownik szaleje? - wywiadowca wzruszył ramio- nami.

- Nic nie słyszałeś? - ryknął Lis.

- Z zasady nie podsłuchuję - odrzekł z godnością Cieślik - a poza tym... te drzwi są cholernie dźwiękochłonne.

- Ja ci pokażę, gówniarzu! Nieodpowiedzialny gówniarzu!!!

- Heniu - śmiał się w kułak Korosz - przecież chciałem ci oszczędzić tych wrażeń, ale wrosłeś w fotel.

- To przez Magdę? - zmartwił się porucznik.

Inspektor półgłosem streścił mu przebieg rozmowy z dziew- czyną.

- Oskulati! - jęknął Cieślik. - Ale chryja... Co jej strzeliło do głowy, żeby was zrobić... w konia? Majorze, róbcie coś, bo mnie naprawdę pułkownik uszkodzi.

- Więc jak jest? - nieco opanował się Lis.

- Przepraszam, szefie, ona już taka jest... chciała się dowie- dzieć, co jest ze mną, i wymyśliła ojca swego dziecka, żebyście skruszeli... no, żeby się dowiedzieć, gdzie ja jestem i za co siedzę... Ale ja ją tego oduczę, słowo! - porucznik naprawdę w tej chwili bał się Lisa.

- Czego ją oduczysz? - zainteresował się Korosz tłumiąc śmiech.

- Pewno gipsu i komety - sapnął Lis. - Cieślik, ona mnie rzeczywiście nabrała? Ośmieliła się m n i e nabrać? - nie mógł uwierzyć pułkownik. - A to kłamczuch, półdiabie weneckie, kręciel... Mnie, mnie zrobić w takiego konia!

- Widzisz, jak się nasze szefisko przejęło twoją nieślubną progeniturą - parsknął Korosz.

- Głupi jesteś - warknął pułkownik. - No, co się tak kretyńsko śmiejesz? Dla mnie każdy z was może mieć nawet sześcioraczki, tylko, Cieślik! Ty, wywiadowca, znikasz

dziewczyźnie w nocy...

- Major mnie zatrudnił, jak wiązał badylarza - bronił się porucznik. - Musiałem być pod ręką...

- Powiadam, w nocy! - podkreślił Lis. Podajesz durne kłamstwo o tych inspektach, a później przepadasz bez słowa...

- Później uganiałem się za paserami... No i szef pamięta, jak chciał nasłać na nią Armię Zbawienia, bo rzekomo amory przeszkadzały mi pilnować Brożka, tak? Ładnie bym wyglądał, jakby coś teraz nawaliło, a ja byłbym u Magdy...

- Mogłeś wpaść do niej chociaż na kilka minut, coś nałgać, umiesz to nie gorzej od niej.

- Starczy już tego, co jej nałgałem przez te kilka miesięcy - warknął Cieślik. - Minie sporo czasu, zanim odbuduję jej zaufanie.

- I to jest wywiadowca, kierownik wydziału służby X - Lis dramatycznym gestem wskazał Cieślika. - Przypatrz się, Andrzej, on nie potrafi wymyślić niczego, co by uspokoiło dziewczynę.

- Potrafi, tylko nie chce! - zjeżył się porucznik.

- Rób, co chcesz! - wrzasnął znowu Lis - ale jeśli ona jeszcze raz przyjdzie cię tu szukać u mnie, to, daję słowo, wsadzę cię naprawdę do aresztu!

- Heniu - wtrącił się major - ona nie przyszła do ciebie, sam się w to wrobiłeś! A ty, Cieślik, wymyśl jednak coś, bo Magda następnym razem postraszy nam szefa bliźniętami!

- Dość tego - zreflektował się Lis. - Na czym przerwaliśmy naradę?

- Major chciał przy pomocy komunikatów prasowych sprowokować Antczaka i Hilarczyka, a pułkownik z właściwą sobie przenikliwością nie pozwolił tego uczynić. Natychmiast przyznałem pułkownikowi rację - recytował Cieślik robiąc oko do majora - i stanęło na tym, że należy czekać na ich fałszywy krok i nie śpieszyć się z pudłem. Na co major, acz niechętnie, przyznał rację mnie i pułkownikowi, zauważywszy jednak z właściwą sobie głębią filozoficzną, że czekanie jest zawsze najtrudniejsze...

Niebawem zdarzył się fakt z pozoru niewinny. Mianowicie na

Brzeską przyszedł list z Austrii. Jednak zanim trafił do adresata, z jego treścią zapoznał się major. Nie było tam nic szczególnego. Znajomy z Wiednia pisał, że jest zdrow, nieźle mu się powodzi. List kończył się słowami: „...kuzyn może przyjechać...”.

To lakoniczne zdanie zwróciło uwagę inspektora. Dzięki służbie X znał całą rodzinę Hilarczyka i po pewnym czasie wiedział już na pewno, że żaden z jego kuzynów nie wybierał się za granicę.

Natomiast Hilarczyk po otrzymaniu listu natychmiast wysłał depeszę do Cieszyna. Telegram zawierał jedno słowo: Przyjeżdżam.

Ruszył też jeszcze tego samego dnia w drogę swoją bagażówką.

Manewr Hilarczyka był niespodziewany. Cieślik, który od szeregu dni nie spuszczał zeń oczu, pomyślał w pierwszej chwili, że paser zdecydował się na ucieczkę przez zieloną granicę.

Zaniepokojony porucznik poinformował służbę X w sąsiednich województwach i odszedł od krótkofalówki dopiero wówczas, gdy otrzymał wiadomość z Radomska. Poruszony, zjawił się natychmiast u Korosza.

- W Radomsku wziął paru autostopowiczów, to nasi z katowickiej służby - zakończył z ulgą. - Inwigilują go dwa wozy od nas i jeden z Łodzi. Mam nadzieję, że im się nie urwie.

Pułkownik Lis niezwłocznie porozumiał się z Cieszynem - nie było czasu do stracenia - i polecił zatrzymać Hilarczyka, w razie gdyby próbował przekroczyć granicę.

Ale nic takiego się nie stało. Cieszyn - major z Cieślikiem tkwili kamieniem przy odbiorze - zawiadomił, że Hilarczyk udał się pod adres, który widniał na nadanej przez niego depeszy, i tam pozostał. Potem nie działo się nic.

Dopiero po drugiej w nocy otrzymali lakoniczny meldunek, że szofer z Brzeskiej opuścił nadgraniczne miasto i odjechał w stronę Katowic. Następnie jego przejazd meldowały Żary, później Mikołów - miasteczka leżące przy międzynarodowej drodze E-16.

- Minął Katowice, jedzie w kierunku Częstochowy - brzmiała następna depesza, gdy Hilarczyk przejechał przez Koziegłowy. - Pilnują go wozy służby łódzkiej i warszawskiej.

Wyłączył się Cieszyn, później Katowice i Częstochowa. Łączność utrzymywały teraz załogi samochodów służby X.

Gdy paser minął Piotrków, wiadomo było, że wraca do Warszawy. Wówczas łódzka służba wywiadowcza przerwała, obserwację i przez Tuszyn wróciła do swojej bazy.

- Powodzenia! - życzył Cieślikowi na pożegnanie wywiadowca z łódzkiej komendy.

- Miałem cholernego stracha, sądziłem, że klientowi zbrzydła moja czuła opieka i via Cieszyn chce się od niej uwolnić - przyznał się majorowi Cieślik.

- Nie zrobił ci takiego świństwa - roześmiał się Korosz.

Hilarczyk tymczasem, nieświadomy przykrości wyrządzonej

Cieślikowi, powrócił na Brzeską i znowu nic się nie działo. Zarówno major, jak i Cieślik byli zmęczeni po nie przespanej nocy.

- Trzeba odpocząć.- ziewnął Korosz.

Cieślik poszedł do domu i natychmiast zasnął. Porucznik, w przeciwieństwie do inspektora - który długo zasypiał i opornie się budził - zapadał w sen natychmiast, bez względu na czas i miejsce, i z równą łatwością mógł wstać, nawet po dziesięciu minutach, przytomny i rześki.

Po godzinie nad jego uchem zadzwieczał telefon - dzwoniła Irena, j ego zastępca.

- Staszek, Hilarczykowa wybiera się w podróż. Kupiła bilet kolejowy do Ostrowca Świętokrzyskiego.

- Co robi Hilarczyk?

- Pewno śpi. W ogóle nie wychodzi z domu.

- To po to budzisz ciężko przepracowanego szefa? - ziewnął Cieślik.

- Niech przepracowany szef przejmie swoje obowiązki - roześmiała się Irena. - Ja wyjeżdżam do Ostrowca. - Dzwonię z dworca, mamy pociąg za godzinę... Myślę, że lepiej będzie, jeżeli pojedzie za Hilarczykową mieszane towarzystwo. Żadnej z naszych dziewcząt nie mam pod ręką... część na

służbie, a inne też muszą odpocząć... ostatnio prawie nie mają wolnych dni...

- Jak ty cholernie dbasz o ten swój babiniec - wypominał Cieślik - ale dlaczego moim kosztem? No, trudno, jedź! Tylko nie zrywaj ze mną kontaktu.

Pojechał do komendy, zadzwonił do wywiadowcy dyżurującego w lokalu służby X.

- Starać się, chłopaki! - huknął. - Skończyły się babskie rządy, teraz wasz ukochany kierownik was pilnuje z braku lepszego zajęcia! Co się dzieje u naszych klientów?

Ale nie działo się nic ciekawego. Podopieczni nie dostarczyli żadnych kłopotów. Cieślika znowu pochłonęła nuda niedzielnego popołudnia w cichym teraz gmachu.

Pod wieczór nie wytrzymał i zadzwonił do Korosza. O dziwo! Major wbrew swoim obyczajom był zupełnie przytomny.

- Proszę przyjechać, bo zdechnę z nudów... Tylko niech major nie myśli, że wydarzyło się coś szczególnie ciekawego.

Inspektor obiecał, że zaraz przyjedzie. Gdy zjawił się, porucznik opowiedział mu o wyprawie Hilarczykowej.

- Co im się tak zebrało na podróż? - zastanawiał się major. - W przeciągu dwudziestu czterech godzin druga wyprawa. Czyżby to miało jakiś związek z listem?

- Poszukują kuzyna chętnego do wyjazdu do Wiednia - roześmiał się Cieślik.

Major nie mógł przejrzeć celu tych wyojaży małżeństwa Hilarczyków. Znajomi szofera w Cieszynie dotychczas nie byli znani milicji. Minęła zaledwie doba i katowicka służba wywiadowcza jeszcze nie przysłała meldunku na temat ich ewentualnych związków z warszawskim paserem. A już zupełną niespodzianką był wyjazd Hilarczykowej; należało przypuszczać, że łączy się on w jakiś sposób z podróżą jej męża.

Po wieczornym sprawozdaniu o zachowaniu się Hilarczykowej inspektor zdecydował, że mogą iść do domu. Ale i tej nocy nie dane im było spokojnie odpocząć.

Zaalarmował ich dyżurny wywiadowca służby X.

Gdy zaspany inspektor i jak zwykle żwawy Cieślik przyjechali do komendy i weszli do sali operacyjnej działu łączności, tam

już rozpętała się burza komunikatów radiowych. Bez przerwy zgłaszały się załogi wywiadowców na trasie Kielce - Kraków.

- Obiekt minął Chęciny - usłyszeli meldunek, gdy nieco zdezorientowani przystanęli koło pulpitu rozdzielczego.

Korosz nie rozumiał, na cześć jakiego to obiektu zaalarmowano w nocy kieleckich wywiadowców, ale czekał cierpliwie, aż nastanie chwila względnego spokoju.

- Widocznie Hilarczykowa ucieka od Hilarczyka, a nasza Irenka ją goni - skomentował po swojemu Cieślik.

Odezwał się sygnał telefonu specjalnego.

- To do was - dyżurny podał Koroszowi mikrofon. Z kieleckiej komendy wojewódzkiej mówiła Irena.

- Andrzej, wydaje mi się, że trafiłam na bardzo podejrzanego faceta... - zaczęła podekscytowana.

Sytuacja przedstawiała się następująco. Hilarczykowa wysiadła w Ostrowcu i Pekaesem dojechała do Opatowa, następnie taksówką - był już wieczór - dotarła do wsi leżącej między Opatowem a Iwaniskami. Około dwóch kilometrów od wsi, na tak zwanej kolonii, weszła do zabudowań. Pora była późna, teren rozległy i pusty, żadnego wiarygodnego pretekstu, żeby wejść za nią do samotnie stojącego domu. Już poprzednio Irena zawiadomiła kolegów z Kielc, więc pomagali jej w inwigilacji Hilarczykowej. Teraz stanęli na drodze i udawali, że zepsuł im się samochód - markowali, że go naprawiają. Z tej odległości mieli niezbyt dobrą widoczność, ale innych możliwości nie było.

Irena natomiast poszła do miejscowego posterunku, aby dowiedzieć się czegoś o mieszkańcach samotnego domu.

Informacja była interesująca. Mieszkała tam kobieta z dwiema córkami. Siedem lat temu kupiła kawałek gruntu, postawiła ładny dom oraz inne gospodarskie budynki i założyła fermę norek. Ferma prosperowała dość dobrze. Od kilku miesięcy przebywał i pracował na fermie mężczyzna w wieku około trzydziestu lat, narzeczony jednej z córek. Pochodził z Lublina - pracowity, spokojny. Zameldowany tymczasowo.

Nim komendant posterunku zakończył krótką zresztą relację, zjawił się samochód wysłany z Kielc i wezwano Irenę do

natychmiastowego przybycia do komendy wojewódzkiej.

Okazało się, że w pół godziny po wejściu Hilarczykowej do samotnego domu, z fermy wyruszył na motorze młody mężczyzna. Wywiadowcy rozdzielili się, jedni pozostali w okolicy zabudowań, pilnując Hilarczykowej, a ci, którzy stali na szosie, pojechali za motocyklistą. Natychmiast też skomunikowali się z Kielcami, a tam zarezerwowano zmianę, gotową do podjęcia obserwacji młodego mężczyzny.

Gdy Irena dotarła do komendy, wypadki przedstawiały się następująco: młody człowiek przez Łagów - Widelki - Wołę Jachow- ską przyjechał do Kielc. Zostawił motocykl na parkingu i wynajętą taksówką pojechał szosą E-7, prowadzącą do Krakowa...

- Obiekt minął Jędrzejów - padło zawiadomienie z aparatu nadawczo-odbiorczego, ze stanowiska, które utrzymywało łączność z wywiadowcami z trasy.

- ...Hilarczykowa pozostała na fermie - zakończyła informację Irena.

- Pozostaw ją pod opieką kolegów z Kielc, a sama wracaj do Warszawy - zdecydował inspektor.

Teraz już obaj z Cieślikiem nie opuszczali stanowiska łączności. Gdy przyjęli meldunek, że mężczyzna z fermy minął Wadowice, sytuacja zaczęła się wyjaśniać - było prawie pewne, że zdąży do Cieszyna.

- Albo jedzie do znajomego Hilarczyka, albo chce przekroczyć granicę w Cieszynie - domyślił się inspektor. Połączył się zaraz z Cieszynem i narządził: - Gdyby obiekt jadący taksówką nr... nr boczny... z rejestracją kielecką usiłował przejechać na stronę czeską, należy go zatrzymać, nawet gdyby jego dokumenty okazały się w zupełnym porządku. Po zatrzymaniu niezwłocznie wyekspediować do Warszawy!

- Wydaje mi się, że to właśnie kuzyn, o którym była mowa w liście - powiedział Cieślik.

O piątej rano Cieszyn zameldował, że człowiek z fermy został zatrzymany na punkcie granicznym. Na pierwszy rzut oka dokumenty miał w porządku. Wynikało z nich, że jest to

obywatel polski, mieszkający stale po stronie czechosłowackiej. Posiadał dowód osobisty, wydany przez władze czeskie, oraz stałą przepustkę, upoważniającą do przekraczania granicy.

- Interesujące - mruknął inspektor. - Facet, rodem z Lublina, w przeciągu jednej nocy staje się Polakiem z czeskiej części Cieszyna.

Teraz zrozumiał ostatnie dwa wyjazdy małżeństwa Hilarczyków. Paser pojechał do Cieszyna po dokumenty - niewątpliwie autentyczne, chociaż kradzione, a Hilarczykowa dostarczyła je człowiekowi, który nader szybko zrezygnował z planów małżeńskich wobec córki właścicielki fermy.

Cieszyn zameldował, że wysyła zatrzymanego do Warszawy, a niebawem Kielce nadały komunikat, że Hilarczykową opuściła wieś, pod Iwaniskami i znajduje się w drodze powrotnej do Warszawy.

Mimo wczesnej pory Korosz zdecydował się zawiadomić pułkownika Lisa o wydarzeniach ubiegłej nocy. Uważał, że teraz należy niezwłocznie zatrzymać Hilarczyków, ich znajomego z Cieszyna, właścicielkę fermy spod Opatowa, a także Antczaka z bazaru. Był prawie przekonany, że człowiek rodem z Lublina, uciekający do Czechosłowacji, to tak długo poszukiwany mężczyzna o grupie krwi Zero.

Sprawa była poważna, nie chciał sam podejmować takiej decyzji bez porozumienia z pułkownikiem.

- Przygotuj akcję - zgodził się Lis po wysłuchaniu; sprawozdania majora - poza Hilarczykową. Ją należy jeszcze zostawić pod obserwacją. Nie zapominaj, Andrzej, że my nie mamy pojęcia o paserskich melinach tej czcigodnej pary. Możemy je ustalić tylko wówczas, jeśli pozostawimy Hilarczykową na swobodzie...

Ostatecznie postanowili zaczekać z zatrzymaniem pozostałych osób do czasu przewiezienia podejrzanego z Cieszyna.

Po południu do gabinetu majora wprowadzono młodego mężczyznę o przyjemnej powierzchowności. Jego wygląd i ubranie zdradzały raczej mieszkańca wielkiego miasta, a nie hodowcę nerek na zapadłej wsi. A i jego dłonie, delikatne, ze

starannie utrzymanymi paznokciami, nie wskazywały, aby zajmował się pracą fizyczną.

Gdy go fotografowano, daktyloskopowano i wreszcie pobrano krew do badania, panował nad sobą. Poczęstowany przez majora papierosem, skwapliwie skorzystał z propozycji i chciwie zaciągnął się dymem.

Inspektor przyglądał mu się w milczeniu. Wyczuwał, ile wysiłku wkłada ten człowiek, aby zapanować nad nerwami. Zdradzały to ruchy rąk; nieustannie przyglądał, zresztą wcale nie rozwichrzone jasne włosy, obciągał marynarkę, poprawiał węzeł krawatu.

Ależ to mańkut - skonstatował inspektor, patrząc na jego gesty.

- Patrzy pan na mnie jak wąż na królika - nie wytrzymał przygniatającego milczenia mężczyzna. - Dlaczego tu jestem? - zaryzykował pytanie.

- Z tego samego powodu, dla którego chciał pan uciec do Wiednia - powoli odpowiedział inspektor.

- Nie rozumiem, o czym pan mówi - mruknął i odwrócił oczy.

Wyniki ekspertyz nie zaskoczyły już oficerów. Stwierdzały ponad wszelką wątpliwość, że odciski linii papilarnych, rodzaj włosów oraz grupa krwi odpowiadają wszelkim cechom śladów, pozostawionych i zabezpieczonych na miejscu zabójstwa dokonanego na ulicy Szkarłatnej.

Badaniom poddano również dokumenty człowieka o grupie krwi Zero. Było ich łącznie trzy. Paszport czechosłowacki i dwa polskie dowody osobiste. Jeden wystawiony w Lublinie w roku 1965, drugi w Warszawie w pierwszych dniach grudnia roku 1967.

Warszawski dokument był autentyczny. Natomiast pozostałe dwa też były prawdziwe, tylko widniejące na nich fotografie wklejone zostały później, w miejsce usuniętych zdjęć ich prawowitych właścicieli.

- Jak się pan nazywa?

Człowiek o grupie krwi Zero milczał, wahał się, widocznie nie mógł się zdecydować, które nazwisko ma wybrać.

- ...Antoni Fronczak, urodzony w Lublinie w roku... - wyrecytował wreszcie jak wyuczoną lekcję.

- Niech się pan nie wysila - przerwał inspektor. - Już sprawdziliśmy, i nie tylko w Lublinie. Antoni Fronczak ma już od dawna nowy dowód. A ten został mu skradziony wraz z portfelem dwanaście miesięcy temu.

- Do kogo należy paszport czeski?

- Nie wiem - powiedział tym razem zgodnie z prawdą fałszywy Antoni Fronczak.

- Ten trzeci dowód należy do pana - inspektor bawił się zieloną książeczką dowodu osobistego. - Nazywa się pan Szymon Ryś i urodził się pan w Warszawie. Dlaczego nie chce pan przyznać się do swego nazwiska? Zaręczam, że to już nie ma znaczenia i przed niczym pana nie uchroni.

Mężczyzna milczał z nisko opuszczoną głową.

Inspektor powierzył go opiece profosa aresztu i w porozumieniu z prokuratorem zarządził aresztowanie pozostałych osób.

Do Hilarczyka pojechał osobiście. Małżonkowie byli w domu. Hilarczykowa zdążyła już wrócić i żwawo krzątała się po mieszkaniu, będącym zresztą w idealnym porządku.

Paser na widok nakazu rewizji przybladł nieco, ale opanował się i zaczął zapewniać o nieporozumieniu i krzywdzącej dla niego omyłce władz. Ze spokojem obserwował czynności funkcjonariuszy, tylko Hilarczykowa, z natury pedantka, patrzyła ze zgrozą na rosnący bałagan w miarę przeszukiwania szaf i zakamarków mieszkania.

Major od dawna orientował się, jakiej klasy paserem jest Paweł Hilarczyk, i nie spodziewał się znaleźć w mieszkaniu oczywistych dowodów, mogących świadczyć o meliniarskiej profesji szofera z Brzeskiej.

Rewizję prowadził tylko z zawodowej sumienności i aby maksymalnie zdenerwować małżonków, a szczególnie Hilarczykową, która na razie pozostawała na wolności.

Inspektor sięgnął po zamkniętą metalową kasetę. Hilarczyk bez ociągania podał mu klucze, które zawsze nosił przy sobie. Leżały w niej pieniądze. Major wyjmował pedantycznie posegregowane zwitki banknotów, notował ich sumy i numery.

Potem podsunął protokół Hilarczykowi.

- Proszę przeliczyć pieniądze i podpisać dokument - podsunął papier paserowi.

Ten, śliniąc palce, skrupulatnie liczył banknoty.

Dopiero zamykając kasetę inspektor zauważył na jej dnie małeńki, połyskujący przedmiot. Wziął go do ręki.

Była to zapalniczka, cacko obłożone bladioróżową masą perłową, po obu stronach inkrustowana cieniutkimi, złotymi żyłkami, układającymi się w misterne sploty ornamentu. Po bliższym przyjrzeniu się major zauważył, że nieco grubsze nitki złotego filigranu tworzą monogram składający się z liter: E.B.

Major ważył w dłoni wykwinntny drobiazg.

- Skąd pan to ma? - podsunął zapalniczkę pod oczy Hilarczykowi.

- Kupiłem.

Inspektor odcyfrował inicjały i przypomniał sobie o pewnej marginalnej wówczas informacji, na przykładzie której Cieślak udowadniał mu, że żadne wydarzenie w willi na Szkarłatnej nie uchodzi jego uwadze. Teraz nie mógł uwierzyć, że przebiegły Hilarczyk trzymał w domu tak kompromitujący szczegół. Chciwość, nieuwaga, zapomnienie czy wszystko to razem? A może właśnie dzisiaj oczekiwał na umówionego kupca, amatora takiej zapalniczki?

- Ten przedmiot jest własnością Elżbiety Brożek - powiedział z naciskiem. - Będzie pan musiał wyjaśnić, jaką drogą trafił do pana. Jest pan podejrzany o współudział w morderstwie Janiny Brożek.

*

Po konfrontacji Hilarczyka z Brożkiem paser przyznał się do kombinacji z kradzionym kakao i do odkrycia jego tajemnicy po wypadku zatrucia Amelii Kowalskiej. Powiedział również o znajomości z Szymonem Rysiem - człowiekiem o grupie krwi Zero. Wypieranie się tej znajomości było zupełnie bezcelowe wobec dowodów zebranych przez milicję.

Mimo to śledztwo trwało jeszcze dość długo, zanim ci dwaj broniący się zajadle ludzie wyjaśnili inspektorowi wszystkie

istotne okoliczności sprawy.

Szymon Ryś - znany niektórym jako Szymek-Artysta - po zapoznaniu się z materiałem dowodowym zaczął wreszcie mówić. Zrozumiał bowiem, że nie ma już najmniejszych szans.

Brożkowej nie chciał zabić, upierał się rozpaczliwie przy tym twierdzeniu. Przekonywał majora, że uczynił to nieomal w obronie własnej. Kobieta zachowywała się agresywnie i poważnie go zraniła starym, okutym wolumentem. Na dowód tego pokazywał ukośną bliznę nad okiem.

Zaskoczyła go, gdy otworzył sejf w pokoju Brożka. Wywiązała się walka. Sam nie rozumie, co się z nim stało, ale gdy krew ze zranionego czoła zalała mu oczy, rzucił się na Brożkową, która bronila się zaciekle, głośno wzywając pomocy. Gdy ją z powrotem zawłókł do hallu, mimo obrażeń ciągle krzyczała, więc tylko chciał, aby przestała krzyczeć...

Plan okradzenia, i tylko okradzenia, Willi na Szkarłatnej wymyślił i opracował Hilarczyk po nieudanym szantażu. Paser był zdania, że dokonać udanej kradzieży można tylko w święta.

Przez kilka tygodni Tata Hilarczyk sam prowadził obserwację domu i obyczajów domowników. Zdawało się, że plan został opracowany bezbłędnie. Przed włamaniem Szymek ani razu nie pokazywał się nawet w okolicach Szkarłatnej. Ta operacja wydawała mu się łatwa, mimo że w domostwie był pies. Miał go unieszkodliwić zatrutym mięsem. O truciznę także postarał się Hilarczyk. Wszystko poszło z początku łatwiej, niż się tego spodziewał - przede wszystkim nie było psa.

Gdy zorientował się, że Brożkowa nie żyje, ogarnięty paniką usiłował zatrzeć ślady. Ponieważ leżało tam kilka skorup rozbitej porcelany, postarał się rozbić jej jeszcze więcej. Poza złotem, które było w sejfie, niczego więcej nie zabrał.

- Skąd pan miał klucze do kasy? - major chciał wreszcie wyjaśnić sprawę duplikatów kompletu, który miała Brożkowa.

- Dla mnie nie ma zamków - powiedział bez chępliwości Szymek-Artysta wpatrując się w swoje delikatne ręce. - Byłem szpringowcem, i to wysokiej klasy. Najlepszy dowód, że nie macie mnie dotychczas w kartotekach, zresztą ostatnie

dwa lata spędziłem w Wiedniu... Potrafię otworzyć każdy zamek wytrychami, które sam zrobię...

Wyjaśniła się więc i tajemnica kluczy. Brożek, skonfrontowany z Szymkiem, już nie upierał się dalej, że jego żona miała dostęp do sejfu.

- Nie tknął pan biżuterii o wielkiej wartości, dlaczego skusiła pana zapalniczka należąca do Elżbiety? - nie mógł pojąć major.

- To nie kradzież, to odruch - wyjaśnił Szymek. - Gdy wszedłem do tego domu, czułem się pewnie, może zbyt pewnie, że nikogo nie ma. W żadnym wypadku nie byłem przygotowany na czyjąś obecność... stąd ta późniejsza panika. Ale takie wejście mimo wszystko wymaga koncentracji i napięcia... człowiek się jednak bardzo denerwuje... Zachciało mi się palić... nie mogłem się oprzeć, żeby nie zaciągnąć się papierosem, a zapalek nie wziąłem. Zapalniczka leżała w hallu na stoliku, przypaliłem i odruchowo schowałem do kieszeni. Później zapomniałem zupełnie o tym szczególe... Może mi pan wierzyć, że śmierć tej kobiety była dla mnie samego tragedią.

Kiedy uciekał po morderstwie, rzeczywiście spotkała go pani Emilia, a następnie Magda odprowadzająca psa. Domyślił się, że to właśnie ten dog, którego miał otruć. Bał się, że dziewczyna nie utrzyma szalejącego zwierzęcia, wyczuwającego w nim wroga.

Gdy się ściemniło, przybył okrężnymi drogami, w stanie krańcowego wyczerpania nerwowego, do Hilarczyka. Paser nie stracił głowy. Natychmiast rozebrał Szymka i mama Hilarczykowa dokładnie zniszczyła jego ubranie, nie zniszczyła natomiast drobiazgów. W pośpiechu i podnieceniu nikt nie zapytał Szymka, skąd pochodzi zapalniczka, tym bardziej że nikt nie przypuszczał, aby ten wytrawny złodziej przez roztargnienie zabrał ją z miejsca zbrodni. Jako przedmiot wartościowy skrzętna Hilarczykowa schowała ją do kasety męża, gdzie w zapomnieniu leżała pod stertą banknotów.

Jeszcze tej samej nocy Hilarczyk odwiózł Szymka pod Opatów na fermę nerek. W śledztwie ujawniono, że

gospodarstwo jest własnością oszczędnego pasera. Kobieta z córkami była przez niego opłacana, prowadziła je i firmowała, ponieważ sprytny paser nie chciał ujawnić przed władzami swojego majątku.

Szymek żył dobrze ukryty, a Tata poczynił starania, żeby wyprowadzić go do Wiednia. Trwało to jednak dość długo, ponieważ wiedeński kolega Taty miał pewne opory co do przyjęcia Szymka z powrotem. Chciał odczekać, aż zapomni o nim wiedeńska policja, przed którą już raz uciekał z Austrii. Ponadto trzeba było postarać się o paszport, a w tym stanie rzeczy ubieganie się o papiery na wyjazd za granicę - mimo że Szymek wyrobił sobie dowód na własne nazwisko jeszcze przed morderstwem - było ryzykiem, na które nie mógł się zdobyć.

Postępowanie Taty Hilarczyka w ostatnim czasie zdopingowała wiadomość, że Brożek został aresztowany. Nie wierzył w pogłoski, że nastąpiło to w związku z podejrzeniem o zabójstwo żony. Bał się, że teraz już ogrodnik nie będzie milczał. Poczul, jak robi się wokół niego coraz ciasniej. Jeśli milicja zainteresuje się jego osobą po nieuchronnych zeznaniach Brożka, to na pewno trafi i do Szymka. Gdy z Wiednia otrzymał wiadomość z przyzwoleniem, na wyekspediowanie Szymka, był już ostateczny i najwyższy czas, aby pozbyć się pechowego podopiecznego.

Ze zdwojoną zapobiegliwością czynił starania o zdobycie dokumentów. I wreszcie otrzymał wiadomość z Cieszyna, że może tam kupić paszport czeski. Ponieważ w najbliższych dniach nie miał widoków na uzyskanie polskiego, kupił oferowany mu dokument; znany mu specjalista - odkryty również przez służbę X jako przygodny znajomy Hilarczyka - za jedyne pięć tysięcy złotych dopasował paszport do osoby Szymka.

*

- Przydałyby się jakieś małe kwiatki... - Magda krytycznie spojrziała na nakryty do kolacji stół.

- Przecież przyniosłem wielki wiecheć! - bronił się Cieślik; goździki na długich łądogach wypełniały kamionkowy,

pękaty wazon, ustawiony na podłodze pod ścianą.

- Potrzebne są jednak małe... - wyjaśniła Magda - ożywią stół i nie będą przeszkadzały gościom.

- Dobrze, zadzwonię do Korosza, kupi po drodze, nie chce mi się uganiać za kwiatkami - wykręcił się Cieślik.

Pierwszy przyszedł pułkownik Lis.

- Magda, pięknie wyglądasz! - zahuczał swoim głębokim basem; odsunął dziewczynę na długość ramienia i dokładnie ją obejrzał.

- Kołek ubrać, też będzie ładniejszy - Magda zarumieniła się i pozezowała na Lisa, czy przypadkiem z niej nie kpi. Ale szef porucznika mówił poważnie. Dziewczyna, otoczona życzliwością i troskliwym staraniem, rozkwitła, wyładniała. Podkreślił to strój przygotowany dla niej na ten wieczór przez Irenę - zastępcę porucznika, jako że Cieślik nie był zbyt biegły w doborze kobiecych fatalasek. Teraz prezentowała się wdzięcznie w beżowej, prostej sukience z połyskliwej tkaniny i w modnych sandałkach ze złotej skóry. Ciepły odcień jedwabiu podkreślał smagły kolor karnacji i przepych gęstych, czarnych kędziurów.

- Przecież mówiłem, że to piękna dziewczyna - porucznik puchł z dumy.

Razem nadeszli Irena i Korosz; Magda z treścią pełniła obowiązki gospodyni.

- No, to za te bliźnięta! - roześmiał się major przy pierwszym kieliszku - którymi o mały włos nie przyprawiłaś naszego szefa o zawał serca.

Dziewczyna zrobiła się purpurowa, błysnęła przekornie skośnymi oczami. Już miała odciąć się złośliwie, lecz powstrzymała się.

- Mógłby już pan nie wspominać - poprosiła. - Jak się człowiek martwi o drugiego, to gotów nie takie rzeczy wymyślić...